



**Macierewicz dla „Do Rzeczy”:
Kreml zwalcza nasz rząd**

**Korwin-Mikke grozi
likwidacją „500+”**

**Agenci bezpieki
kontra wyklęci**

ISSN 2259-8500
Nr indeksu 288829
9 772299 850000
Nakład: 110 tys. egzemplarzy



**JOHNNY DEPP,
CZYLI JAK
ROZTRWONIĆ
650 MLN
DOLARÓW**



**DODATEK
SPECJALNY
WIELKI SPÓR
O NARODOWY
TEATR: MORAWIEC,
ZWINOGRODZKA,
SIERADZKI, WAKAR**

**Magdalena Ogórek
w szczerej rozmowie:**

**KACZYŃSKI
TO WYBITNY
STRATEG**

**Jego konkurenci grają
w lidze podwórkowej**



WYKLĘTY

PREMIERA 10 MARCA 2017 R.

„Wyklęty” to oparty na faktach film, którego akcja toczy się w Polsce, w drugiej połowie lat 40-tych. Jego bohaterami są członkowie zbrojnego podziemia niepodległościowego, walczący z władzą ludową o powojenny kształt Polski. Ludzie, którzy mimo olbrzymiej przewagi resortu bezpieczeństwa, wspieranego przez radzieckie NKWD, walczyli do końca o swoją sprawę.



**Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo – partner strategiczny filmu,
Fundacja PGNiG im. Ignacego Łukasiewicza – mecenas filmu.**

Dzięki PGNiG oraz Fundacji PGNiG i prowadzonej przez nich akcji „Rozgrzewamy polskie serca” miałem szansę na dokończenie reżyserowanego przeze mnie filmu „Wyklęty”. Cieszę się, że tego typu inicjatywy wspierają tematykę historyczną w produkcji filmowej. Dzięki temu kolejne pokolenia Polaków mogą się czegoś dowiedzieć o okresie powojennym i o walce Żołnierzy Wyklętych. Bez historii nie da się budować tożsamości narodowej. To dowód na to, że można łączyć działalność komercyjną ze społeczną. Jestem bardzo wdzięczny PGNiG za okazaną pomoc.

Konrad Łęcki

reżyser i scenarzysta filmu „Wyklęty”

Gdyby nie fakt, że PGNiG i Fundacja PGNiG zostali partnerami filmu „Wyklęty”, prawdopodobnie nigdy nie zostałby on ukończony lub jego realizacja przeciągałaby się w nieskończoność. Film ten, którego premiera odbędzie się w marcu 2017 r., będzie ważnym głosem w sprawie Żołnierzy Niezłomnych i mam nadzieję, że odbije się szerokim echem – szczególnie wśród polskiej młodzieży.

Marcin Kwaśny

odtwórca jednej z głównych ról i producent filmu „Wyklęty”

Projekty realizowane przez
PGNiG SA i Fundację PGNiG
w ramach programu
„Rozgrzewamy Polskie Serca”:

Mecnat biegu
pamięci Żołnierzy Wyklętych
„Tropem Wilczym”



Współpraca z Muzeum
Żołnierzy Wyklętych
w Ostrołęce



Muzeum Żołnierzy
Wyklętych

Sponsoring
VIII Festiwalu Filmowego
„Niepokorni Niezłomni Wyklęci”



Wsparcie portalu
edukacyjnego Fundacji Łączka
„Żołnierze Wyklęci – Niezłomni”



Sponsoring filmu
„Historia Roja”





PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Sztuka skutecznej gry

Przyzwyczaiłem się do tego, żeby na uprawianą przez PiS politykę zagraniczną patrzeć sceptycznie. Jeśli szukałem przymiotników, które mogłyby ją opisać, to przychodziły mi do głowy takie słowa jak: „prosta” czy „wyrazista”, a może nawet niekiedy „toporna”. To, co wydawało się bowiem cechą charakterystyczną retoryki obozu rządzącego, to mocne przekonanie co do swoich racji i wiara w to, że skuteczność działań polega na głośnym i stanowczym ich deklarowaniu. Im dobitniej i bardziej jednoznacznie przedstawi się własne zdanie, tym lepiej. Przekonanie o moralnej racji i gotowość do jej głoszenia innym zdawało się uchodzić za najlepsze narzędzie walki o polskie interesy. Pora jednak, żebym nieco zmienił zdanie. To, co PiS – niezależnie od tego, kto jest faktycznym autorem lub autorami całego pomysłu – pokazał, wywołując debatę nad kandydaturą Jacka Saryusza-Wolskiego na przewodniczącego Rady Europejskiej, który mógłby zastąpić Donalda Tuska, to majstersztyk. Nagle okazało się,

że polscy politycy potrafią grać. Że wiedzą, iż swoje cele można osiągać metodami subtelnymi.

To, że faktyczne szanse Jacka Saryusza-Wolskiego na objęcie stanowiska są niewielkie, nie ma tu znaczenia. Sama dyskusja o jego kandydaturze jest sukcesem PiS.

Po pierwsze, polskiej opinii publicznej mógł pokazać, że sprzeciw wobec Donalda Tuska nie oznacza rezygnacji z forsowania polskich kandydatów. Czym innym jest prosty sprzeciw wobec Tuska, który można było uznać za przejaw małostkowości, zapiekłości i żądzy zemsty, a czym innym znalezienie innego, lepszego kandydata. Po drugie, pojawienie się kandydata związanego od lat z Platformą Obywatelską, zastępcy szefa Europejskiej Partii Ludowej, sugeruje, że PiS nie kieruje się wyłącznie egoizmem partyjnym. Znacznie łatwiej byłoby przecież namówić do gry kogoś z własnych szeregów. Po trzecie, Saryusz-Wolski – co przyznają nawet jego przeciwnicy – jest politykiem kompetentnym, od lat zaangażowanym w sprawy europejskie, walczącym

skutecznie o realizację polskich interesów.

Dlatego – i to jest już sukces nie tylko medialny, nie tylko opinii publicznej – dyskusja o kandydaturze Saryusza-Wolskiego jest wyzwaniem rzuconym wielkim unijnym graczom. Zakwestionowaniem zasady, zgodnie z którą szef Rady Europejskiej, tzw. prezydent Unii, zostaje namaszczone i wyznaczony przez koncert wielkich mocarstw, w drodze zakulisowych, niejasnych i niedających się tak naprawdę ocenić negocjacji. Dzięki poruszeniu kwestii kandydatury Saryusza-Wolskiego ów niedemokratyczny, uznaniowy tajemniczy system wyboru nagle zostaje ujawniony i publicznie zakwestionowany.

Powtarzam, nie zmienia to faktu, że Donald Tusk najprawdopodobniej pozostanie na stanowisku. Nie ma tu nic do rzeczy też to, że nie wiadomo, czy Saryusz-Wolski będzie kandydatem w sensie formalnym – na razie ani on sam, ani politycy PiS tego nie potwierdzają. Tyle że nawet jeśli obecnie liderzy większości państw Unii nie chcą dyskusji o nowej kandydaturze, to ona i tak się zaczęła. To zaś oznacza też, i to być może punkt najważniejszy, zmianę pozycji Polski w stosunku do innych graczy unijnych. Warszawa nie występuje już ani z pozycji uboższego krewnego, którego rolą jest słuchać i miło się uśmiechać do mądrzejszych, ani niesforne, zbuntowanego ucznia, który obnosi się z ranami i mniej lub bardziej wyimaginowanymi krzywdami. Polska potrafiła wprowadzić do debaty swój punkt widzenia. W przyszłości, kiedy znowu pojawią się kontrowersje, te państwa, które będą niezadowolone ze status quo, o tym nie zapomną, a Warszawa będzie dla nich punktem odniesienia. ©©

RYŚUNEK TYGODNIA

Ukwaździł? Presada, wziął sobie.
Ma prawo jest prawnikiem!



KRAJ

22 PIOTR SEMKA

NIEPEWNE SIEBIE POKOŁENIE JPII

Jak reagować na profanację

25 ROZMOWA Z ANTONIM MACIEREWICZEM

WYMIENIŁEM PRAWIE WSZYSTKICH DOWÓDCÓW

30 KAMILA BARANOWSKA

KANDYDAT MARZEŃ PIS

32 AGNIESZKA NIEWIŃSKA

WYBÓR PRAWDY

34 WITOLD REPETOWICZ

TERRORYŚCI FETÓ W POLSCE?

36 ROZMOWA Z JANUSZEM KORWIN-MIKKEM

MAJĄ BYĆ WOLNY RYNEK I PRAWORZĄDNOŚĆ

40 STEFAN SĘKOWSKI

CYBERBEZPIECZNI?

42 ŁUKASZ ZBORALSKI

EKOUTOPIE

44 KATARZYNA PINKOSZ

FALA DEPRESJI

KULTURA

46 WOJCIECH ENGELKING

ŻYCIE, KTÓREGO SIĘ JUŻ NIE CHCE ŻYĆ

Oscarowe remanenty

48 JAKUB OSTROMĘCKI

KLĄTWA CIEKAWYCH CZASÓW

NIE PRZEGAP

62 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

68 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

CZAS PELIKANÓW

Władza i jej wyznawcy

72 GRZEGORZ KUCHARCZYK

NOWE PAŃSTWO ŚRODKA

TEMAT TYGODNIA

18 ROZMOWA Z MAGDALENĄ OGÓREK

MOCNO KIBICUJĘ RZĄDOWI

Publicystka o Jarosławie Kaczyńskim:
„Jest wybitnym strategiem”

FOT. DAREK GOUK/WPROST.FORUM



HISTORIA

76 SZYMON NOWAK

ZDRAJCY ŻOŁNIERZY WYKLĘTYCH

Bohaterowie i konfidenti

ŚWIAT

80 DOMINIKA ĆOŚĆ

HOLENDERSKI CZARNY KOŃ

Wybory w kraju tulipanów

82 OLIVIER BAULT

ZAMACH NA WYBORY WE FRANCJI

84 ROZMOWA Z LILĄ ROSE

KRUCJATA PRZECIW KLINIKOM ŚMIERCI

87 SZEWAŁ WEISS

DLACZEGO OD POLAKÓW WYMAGA SIĘ WIĘCEJ

88 TOMASZ P. TERLIKOWSKI

OBCE I SZATAŃSKIE ZWIEDZENIE

90 ROZMOWA Z MARCINEM MAMONIEM

OD MILIONA DOLARÓW ZA GŁOWĘ

EKONOMIA

92 ROZMOWA Z ADAMEM ABRAMOWICZEM

POLSKA PODATKOWYM RAJEM?

Cały kraj strefą ekonomiczną

96 JACEK PRZYBYLSKI

DONALD BUDOWNICZY

STYL

98 JOANNA BOJAŃCZYK

JOHNNY DEPP

– EFEKTOWNE BANKRUCTWO

Jak zarobić i stracić
650 mln dol.?



DODATEK SPECJALNY

12
stron

49 ROZMOWA Z WANDĄ ZWINOGRODZKĄ

SPÓR O PRZYSZŁOŚĆ NARODOWEGO STAREGO TEATRU

51 RAFAŁ WĘGRZYŃIAK

DAŁBYM KLACIE DRUGĄ SZANSĘ

52 ELŻBIETA MORAWIEC

POWSTRZYMAĆ RECHOT

54 MAŁGORZATA PIEKUTOWA

POSZUKIWANY, POSZUKIWANA

56 JACEK WAKAR

POWRÓT DO TEATRALNEJ REPUBLIKI

58 MACIEJ NOWAK

KLATA!

59 JACEK SIERADZKI

PARĘ UWAG W ZWIĄZKU Z (NIEPRZEWIDYWALNĄ) PRZYSZŁOŚCIĄ STAREGO TEATRU



Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu głosy bardzo różnorodne, odnoszące się zarówno do naszych publikacji, jak i sprawy „Kłatwy” w Teatrze Powszechnym. Zapraszamy na stronę www.dorzeczy.pl, gdzie odnotowujemy i komentujemy wydarzenia dnia.

„Potrzeba zachęć do oszczędzania”

Mam pretensję do Was o wywiad z prezesem mBanku, Cezarym Stypułkowskim („Do Rzeczy” 7/2017). Nie wiem, dlaczego publikujecie rozmowy, w których dziennikarka nie wytrąca z samozadowolenia przedstawiciela bankowości. I zamiast ująć się za ludźmi krzywdzonymi przez banki, zadowala się opowieściami o tym, jak to sprawnie nabrani na frankowe kredyty Polacy spłacają swoje zobowiązania. Liczyłam, że jednak „Do Rzeczy” reprezentować będzie w tego rodzaju wywiadach stronę klientów banku, a nie prezesa karcącego Polaków za brak zaufania do bankowości.

Pozdrawiam, licząc na odmianę,
Marta Kwaśniewska

OD AUTORKI:

Rozumiem Pani opinię, ale wydaje mi się, że jest nieco niesprawiedliwa. Niejednokrotnie dopytywałam o losy frankowiczów w swoich tekstach. Do tematu na pewno też jeszcze wrócimy. Obiektywny dziennikarz nie powinien ujmować się za żadną ze stron. We wspomnianym wywiadzie są pytania o alarmujące komunikaty Komitetu Stabilności Finansowej i porzucone plany ustawowego przewalutowania, co pozwala poznać pogląd prezesa na temat kredytów frankowych. A właśnie przedstawianiu poglądów rozmówcy służył ten wywiad. Pozdrawiam!
Edyta Hołdyńska

Gdzie ci artyści i redaktorzy?

Mam prośbę o artykuł o naszych aktorach i dziennikarzach, także politykach, prezydentach, którzy za życia Jana Pawła II podobno Go kochali. [...] Można by wymienić długą (!) listę nazwisk. Dzisiaj już nikt z tamtych ludzi, wtedy chcących się ograć w Jego ciepełku, w Jego aurze, nie chce o tym pamiętać. Może się nawet wstydzą tej „słabości”. Przykre, że ważni w tamtych czasach redaktorzy, którzy chodzili krok w krok za Janem Pawłem II

(Żakowski, Michnik i inni), dziś nie bronią godności papieża. Pamiętam „amok” reżyserów, aktorów, którzy wtedy uważali Go za osobę godną uwielbienia, bywali na mszach świętych, modlili się, a dziś też nikt z nich (Stuhr, Opania i inni) się nie odważył stanąć w obronie postaci Ojca Świętego, gdy na scenie wiadomego teatru się Go opluwa, w złym przedstawieniu dla złych ludzi... Smutne...
Danuta Kempieńska

Tradycja „Nie”

Uważam, że „Kłatwa” to nie przedstawienie teatralne, ale spektakl paszkwilancki pomyślany zapewne jako prowokacja do rozróby moralno-politycznej w mediach i wśród ekip obecnie rządzących. Kiedyś na taki pomysł wpadł Jerzy Urban, wypisując w swoim „Nie” najróżniejsze brednie okraszane niekiedy prawdziwymi zdarzeniami. Prezydent RP i premier słusznie lekceważą ten spektakl, podobnie jak to kiedyś zrobiła hierarchia kościelna z bredniami zamieszczanymi w tygodniku „Nie” przez J. Urbana.

Zabawne wydają się ubolewania rzecznika praw obywatelskich z powodu dużej liczby agresywnych wpisów w Internecie. Rzecznik nie widzi tego, że „Kłatwa” jawnie nawołuje do nienawiści i zabójstw. Protestujący przed teatrem niepotrzebnie robią reklamę nędzemu paszkwilowi.

Z poważaniem i pozdrowieniami,
Wawrzyniec Łęcki

Radioaktywny jod

Na str. 9 numeru 9/2017 Waszego pisma umieszczona została krótka notatka, sygnowana „kp”, zatytułowana „Radioaktywny Jod-131 nad Polską”.

W trzecim akapicie pojawia się niedokładna nazwa instytucji, w której mam zaszczyt pracować – nosimy nazwę NARODOWE CENTRUM BADAŃ JĄDROWYCH, a nie, jak podano w tekście, Narodowy Instytut Badań Jądrowych.

Ponieważ Wasza notatka dotyczy bardzo ważnego problemu właściwego informowania społeczeństwa, z „belferskiego obowiązku” chciałabym sprostować podaną w tekście liczbę rozpadów atomów izotopu potasu, K-40. Znakając zawartość pierwiastka potasu w przeciętnym ludzkim ciecie o masie ok. 70 kg (ok. 140 g), można łatwo oszacować średnią liczbę rozpadów izotopu K-40 na ok. 4400 w każdej sekundzie.

Z wyrazami szacunku,
Ewa Droste



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA:

Redaktor naczelny: Paweł Lisicki

I zastępca redaktora naczelnego: Piotr Gabryel

Zastępcy redaktora naczelnego: Andrzej Horubała, Piotr Zychowicz

Z ZESPÓŁEM:

Sekretariat redakcji: Jacek Przybylski (I sekretarz redakcji),

Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas

Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, Piotr Godiek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoni,
Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiński

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojanicz, Grzegorz Brzozowicz,
Sławomir Cendekiewicz, Wiesław Chelminiak, Dominika Coś (Bruksela),
Krzysztof Czabanski, Roman Graczyk, Piotr Cursztyn, Edyta Hołdyńska,
Jarosław Kałucki, Katarzyna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk
(Rzym), Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz
Majchrzyk, Marcin Makowski, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Agnieszka
Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Anna Piotrowska, Jan
Pospieszalski, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński,
Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Matthew Tyrmant,
Paweł Wawrzynski, Szwach Weiss, Piotr Wierzbicki, Piotr Włoczyk, Marcin
Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zaleski

DoRzeczy.pl redaguje Antoni Trzmiel (także dziennikarz Telewizji Polskiej)

z zespołem: Zofia Magdziak (zastępca), Anna M. Piotrowska,

Małgorzata Puzyr, Damian Cysan, Karol Gac

Współpraca: Miłosz A. Ludowski

Studio graficzne: Mariusz Danuk-Skarbek (szef studia),

Wojciech Niedziółko (grafik prowadzący), Jacek Nadratowski,

Anna Sobieska-Wojtowicz, Włodzimierz Zakrzewski

Fotodyscja: Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk

Korekta: Małgorzata Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz

Rysownicy: Andrzej Krauze, Cezary Krzysztofa, Mirosław Owczarek

Okładka: Tomasz Adamowicz/FORUM

WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.

Batory Office Building II

Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi
w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA,
notowanej na GPW



Prezes Zarządu PMPG SA: Michał M. Lisiecki

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: Michał Staszewski (kierownik marketingu i sprzedaży)

reklama@dorzeczy.pl; tel. +48 692 46 40 80

PUBLIC RELATIONS: Anna Pawłowska-Pojawa (PR manager), pr@mpmg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzecki (kolportaż);

Karolina Olchowik (prenumerata wydawnicza),

prenumerata@mpmg.pl; tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 110 tys. egzemplarzy

DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detalicznej ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można

składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta, „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 800 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

FELIETON

Co ma wspólnego wiewiórka z Jethon



FOT. KAMIL LAPINSKI

Dawno nie widziałem dziwniejszej informacji niż ta o zdechłej warszawskiej wiewiórce, która miała stać się symbolem rzekomej degradacji środowiska przez prawo zezwalające na wycinanie drzew bez biegania do urzędu po pozwolenie. I dawno nie czytałem dziwniejszego wywiadu o sytuacji politycznej w kraju od tego, który z była szefową radiowej Trójki przeprowadził w „DGP” Robert Mazurek.

Z wiewiórką było tak: jeden pan zrobił jej zdjęcie na drzewie i puścił w media społecznościowe jako obraz spustoszenia, którego dokonał zły PiS, dając ludziom prawo do decydowania o swoich drzewach na swoich działkach. Wszyscy się wzruszyli i oburzyli. A przynajmniej naprawdę wielu. Część mediów od razu wzięła wiewiórkę na internetowe sztandary, by zasilić tą informacją całe cykle o tym, jak Polsce zaszkodził minister Szyszko. Potem okazało się, że na zdjęciu wiewiórka leży nie na pniu po ściętym drzewie, ale w miejscu ułamanego konaru. I to nie wszystko. Okazało się również, że to nie prywatne drzewo (na którego ścięcie nie trzeba teraz mieć pozwolenia), ale warszawski park. I że – jak sugerowali sami urzędnicy – wiewiórka mogła zdechnąć gdzieś indziej, a potem ktoś ją podniósł i tam położył. Ostatecznie z całego symbolu i dowo-

du na „złą zmianę” zgadza się tylko to, że wiewiórka była wiewiórką. I że nie żyje.

Z była szefową Trójki było zaś tak, że straszenie ją „Kaczor wpieprza”. I że postanowiła o tym opowiedzieć Mazurkowi. A ten indaguje bezlitośnie i wnika w każde zdanie. Zatem Magdalena Jethon najpierw szybko dochodzi do wniosku, że jednak w tym złym kraju PiS „pewne swobody obywatelskie zostały zachowane”. A potem tych, które już zniknęły, nijak sobie nie może przypomnieć. Więc z pomocą Mazurka dochodzi do tego, że jednak „nie odebrano nam swobód tak wprost”. Za to „pojawił się strach przed wyrażaniem poglądów”, który objawia się tym, że część osób z Trójki nie chce z nią rozmawiać. Pani Magdalena twierdzi też, że „konstytucja nie jest przestrzegana”, choć ona akurat się nie zna ani nie wie, na czym to polega. Według niej dokonał się także skok PiS na sądownictwo, ale to też właściwie trudno wyjaśnić, bo to akurat nie jej specjalność. A im dalej w rozmowie, tym sprzeczności pojawia się więcej. Ostatecznie dziennikarka w burzliwym procesie wymiany zdań kruszy własne sądy i przekonan-ia oraz daje dobry dowód tego, że ci, którzy stają z jednej strony mikrofonu, czasem nigdy nie powinni stawiać z drugiej. Dla własnego dobra. ©©

Łukasz Zboralski

BYŁY PREZES SĄDU APELACYJNEGO TRAFI DO ARESZTU?

Prokuratura Regionalna w Rzeszowie wystąpiła w piątek do Sądu Dyscyplinarnego dla sędziów o podjęcie uchwały zezwalającej na pociągnięcie do odpowiedzialności karnej byłego prezesa Sądu Apelacyjnego w Krakowie oraz o zgodę na jego zatrzymanie i tymczasowe aresztowanie.

Prokuratura Krajowa podała, że wniosek prokuratury ma związek z prowadzonym śledztwem dotyczącym przywłaszczenia co najmniej 17 mln zł na szkodę Sądu Apelacyjnego w Krakowie.

„W toku postępowania prokuratura zebrała niezbite dowody świadczące o tym, że ówczesny prezes tego sądu brał udział w zorganizowanej grupie przestępczej, przyjął korzyść majątkową o wartości co najmniej 376 300 złotych, uczestniczył w tzw. praniu brudnych pieniędzy oraz przekroczył uprawnienia związane z pełnioną przez siebie funkcją” – czytamy w komunikacie wydanym przez Prokuraturę Krajową.

Za te przestępstwa grozi kara do 12 lat pozbawienia wolności. „Biorąc pod uwagę bogaty materiał dowodowy i fakt, że były prezes Sądu Apelacyjnego ostentacyjnie wykorzystywał swoją funkcję do zuchwałej działalności przestępczej, realne jest wymierzenie co najmniej kilkuletniej kary pozbawienia wolności” – poinformowała Prokuratura Krajowa. (jap) ©©

RZECZNIK MSZ ROSJI OBURZONA ŚWIĘTEM ŻOŁNIERZY WYKLĘTYCH

Obchody Narodowego Dnia Pamięci Żołnierzy Wyklętych to antyrosyjskie święto – ogłosiła w zeszłym tygodniu rzeczniczka rosyjskiego resortu dyplomacji Marija Zacharowa.

Według przedstawicielki MSZ w Moskwie żołnierze wyklęci mieli strzelać w plecy żołnierzom sowieckiej armii, którzy walczyli z brunatną zarazą. Marija Zacharowa skrytykowała również udział w tym „wątpliwym święcie” amerykańskich wojskowych, przekonując, że rzuca on „cień na wspólną walkę Związku Sowieckiego z USA z nazizmem”.

Narodowy Dzień Pamięci Żołnierzy Wyklętych parlament ustanowił w 2011 r. w hołdzie bohaterom antykomunistycznego i niepodległościowego podziemia. Przypada on 1 marca. (jap) ©©



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Stacja bez jednego pociągu

White Paper Junckera nie przebił się wczoraj u nas w mediach, ale właśnie decyduje się Europa wielu prędkości – tweetuje Bartosz Węglarczyk. „Unijny pociąg wysyła sygnały, że chce odjechać ze stacji i wcale nie zamierza czekać na Polaków. Chyba nie tak miało wyglądać wstawanie z kolan” – ironizuje Michał Szuldrzyński w „Rzeczpospolitej”.

Doprawdy nie wiem, dlaczego ogłoszenie przez szefa Komisji Europejskiej Jeana-Claude’a Junckera katalogu możliwych zmian w systemie funkcjonowania Unii tak szybko zostało uznane za zepchnięcie Polski do unijnego piekła. Owszem, kanclerz Niemiec Angela Merkel podczas szczytu na Malcie wyraziła ostrożne poparcie dla idei Europy różnych prędkości. A 2 marca zrobili to w znacznie bardziej wyrazistym stylu szefowie dyplomacji RFN i Francji Sigmar Gabriel i Jean-Marc Ayrault.

Minęła już jednak epoka, gdy to, co ustalili Berlin i Paryż, rozstrzygało unijne spory. W dniu,

gdy pojawiły się polskie komentarze o „odjeżdżającym pociągu”, w Warszawie spotkała się Grupa Wyszehradzka.

– Podkreślamy, jak kluczowe dla jedności Unii jest zachowanie jej jedności. Każdy model przyszłej współpracy musi gwarantować integralność, spójność wspólnego rynku strefy Schengen i samej Unii – powiedziała Beata Szydło. Zaakcentowała, że państwa Grupy Wyszehradzkiej nie zgadzają się na podziały w Unii ani „nigdy na takie podziały się nie zgodzą”.

Oznacza to, że dyskusja o pomysłach Junckera odbędzie się i Wyszehrad nie ma zamiaru być w niej biernym obserwatorem.

Są i inne wątpliwości co do tezy o rychłej izolacji śmiałków naruszających unijne dogmaty. Niemcy nie muszą wiązać z ideą zamknięcia się w klubie euro samych korzyści. Ich silna pozycja w centrum Unii związana była z ekspansją ekonomiczną na kraje środkowej Europy. Odwracanie się plecami do Pragi, Warszawy, Budapesztu i Bratysławy – z których to tylko Słowacja przyjęła

walutę euro – jest trudne do pomyślenia. A Włochy lub Hiszpania to, owszem, stare państwa unijne, ale ich stosunek do zasad zaciskania pasa lansowanych przez kanclerz Merkel nie jest entuzjastyczny.

Maniera wiecznego lęku, co pomyślą sobie o nas Berlin i Paryż, ma w naszym kraju silną tradycję. Dla odmiany walka o partnerskie traktowanie niesie pewne ryzyko, że wielcy unijni gracze zemszczą się – nawet wbrew swoim realnym interesom – za zbyt wyraziste akcentowanie swoich opinii przez tych, którzy przyzwyczaili Zachód do pokornego podążania za Brukselą. Jednak bez głośnego wyrażania swoich sądów Wyszehrad utknie w roli przedmiotu, a nie podmiotu w europejskiej polityce.

Ado szczytu w Rzymie 25 marca, gdzie dyskutowano będzie przyszłość Unii, jeszcze trzy tygodnie.

Powinniśmy się bać, że brukselski pociąg odjedzie bez nas? A może nie ma już jednego rozkładu jazdy? ©©

PIOTR ŻYŁA
Z MEDALEM
MISTRZOSTW ŚWIATA

Polak wywalczył w czwartek brązowy medal mistrzostw świata podczas konkursu na dużej skoczni w Lahti. Na pierwszym miejscu podium znalazł się Austriak Stefan Kraft. Srebro wywalczył zaś Niemiec Andreas Wellinger. Pozostali Polacy znaleźli się na szóstym (Maciej Kot), siódmym (Kamil Stoch) i ósmym miejscu (Dawid Kubacki).

Już po zamknięciu tego wydania, w sobotę, na dużej skoczni w Lahti miał się odbyć konkurs drużynowy. (jap) ©©

Formowanie piątego rodzaju Sił Zbrojnych, czyli Wojsk Obrony Terytorialnej, nabiera tempa. Szczególną rolę do odegrania w tym procesie ma przemysł obronny skonsolidowany w Polskiej Grupie Zbrojeniowej

Sformowanie Wojsk Obrony Terytorialnej oraz wyposażenie żołnierzy tej formacji w uzbrojenie i sprzęt to jeden z głównych priorytetów Ministerstwa Obrony Narodowej w 2017 r. Mówił o tym szef resortu obrony, Antoni Macierewicz, podczas konferencji „Rok nowych zadań”.

OBRONA TERYTORIALNA – PRIORYTET BEZPIECZEŃSTWA

– Trzy pierwsze brygady, jak wiadomo, zostały sformowane w końcu ubiegłego roku. Trzy następne w województwach mazowieckim i warszawo-mazowieckim będą sformowane w roku 2017. Łącznie doprowadzi to do wzrostu polskiej armii do 125–130 tys. żołnierzy. Jak wiadomo, chcemy, żeby do 2019 r. stan polskiej armii przekroczył 150 tys. żołnierzy. Sprawa obrony terytorialnej ma wymiar zasadniczy dla siły polskiej armii. Obrona terytorialna będzie wyposażona w najnowocześniejszą broń, m.in. bezzałogowe środki bojowe, ale także w najnowocześniejszą broń związaną z rakietami krótkiego zasięgu – podczas konferencji „Rok nowych zadań” podkreślił szef resortu obrony, Antoni Macierewicz.

Wojska Obrony Terytorialnej w 2018 r. mają osiągnąć liczebność 35 tys. żołnierzy, a w 2019 r. – ok. 50 tys. Zgodnie z projektem Ministerstwa Obrony Narodowej obrona terytorialna kraju będzie składała się z 17 brygad (po jednej w każdym województwie oprócz Mazowsza, gdzie działać będą dwie brygady). Żołnierze obrony terytorialnej będą bardzo dobrze wyszkoleni do realizacji powierzonych im zadań. Zadbano o to gen. Wiesław Kukuła, były dowódca legendarnej jednostki komandosów z Lublińska i żołnierz doświadczony na misjach zagranicznych, którego minister Antoni Macierewicz mianował dowódcą obrony terytorialnej.

SZANSA DLA PRZEMYSŁU

Kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy nowego rodzaju sił zbrojnych, których



Zawsze gotowi, pod polską bronią



kować różnego rodzaju wyposażenie dla żołnierzy obrony terytorialnej: od mundurów przez broń strzelecką i sprzęt radiolokacyjny aż do bezzałogowych statków powietrznych. Proces formowania Wojsk Obrony Terytorialnej postrzegamy nie tylko jako misję, lecz także jako szansę biznesową, która umożliwi rozwój zakładów i zapełni portfele zamówień naszych spółek. Jestem usatysfakcjonowany i zaszczyczony, że minister Antoni Macierewicz po raz kolejny obdarzył polski przemysł tak dużym zaufaniem – mówi szef PGZ.

Gotowość do rozpoczęcia dostaw sprzętu dla Wojsk Obrony Terytorialnej zakłady Polskiej Grupy Zbrojeniowej potwierdziły w lutym, kiedy to w warszawskim Przemysłowym Centrum Optyki, jednej z wiodących spółek z grupy PGZ, odbyło się spotkanie robocze przedstawicieli przemysłu z dowódcą Wojsk Obrony Terytorialnej, gen. Wiesławem Kukulą. W spotkaniu wziął udział także szef resortu obrony, Antoni Macierewicz. Polska Grupa Zbrojeniowa przygotowała wówczas ekspozycję sprzętu przeznaczonego dla nowego rodzaju sił zbrojnych.

– Bardzo się cieszę, że ten supernowoczesny sprzęt podkomendni pana gen. Wiesława Kukuli, czyli żołnierze Wojsk Obrony Terytorialnej, będą mieli dostępny, będą mogli mieć na swoim wyposażeniu w najbliższej przyszłości – powiedział wtedy minister Antoni Macierewicz.

KONTRAKTY JUŻ RUSZYŁY

Pierwsze zamówienia na wyposażenie dla żołnierzy obrony terytorialnej już trafiły do spółek skonsolidowanych w Polskiej Grupie Zbrojeniowej. Pod koniec ubiegłego roku został podpisany kontrakt dotyczący dostawy dla wojska 1300 sztuk rakiet oraz 420 mechanizmów startowych przenośnego przeciwnocnego zestawu raketowego „Piorun”. Wartość tej umowy jest niebagatelna – to 932 mln zł. Dokument został podpisany w warszawskim biurze Polskiej Grupy Zbrojeniowej, a obecny wówczas szef resortu obrony Antoni Macierewicz podkreślał, że wyrzutnie „Piorun” trafią także do żołnierzy Wojsk Obrony Terytorialnej.

– To bardzo ważny element naszej myśli strategicznej. Polska jest krajem pokojowym, Polska nikomu nie zagraża, ale Polska będzie się zdecy-

dowanie broniła i każdy agresor musi mieć świadomość, że napotka nie tylko jednostki operacyjne, lecz także Wojska Obrony Terytorialnej kraju, wyposażone w najnowocześniejsze obronne wyposażenie – podczas ceremonii podpisania umowy powiedział minister Antoni Macierewicz.

Z kolei 17 lutego br. została podpisana umowa na dostawę masek i odzieży ochronnej dla żołnierzy Wojsk Obrony Terytorialnej. Kontrakt trafił do Maskopolu – spółki, która w ramach Polskiej Grupy Zbrojeniowej specjalizuje się w tej dziedzinie. Wartość umowy to 273 mln zł. Jakie produkty Inspektorat Uzbrojenia MON kupił dla żołnierzy? 77 tys. masek przeciwgazowych MP-6, 79 tys. kompletów odzieży ochronnej FOO-1 oraz 79 tys. narzutów ochronnych NO-1. To najwyższej jakości sprzęt, który zapewnia ochronę przed niebezpiecznym działaniem zarówno bojowych środków trujących, jak i skażeń biologicznych.

– Umowa podpisana między Inspektoratem Uzbrojenia i spółką Maskopol jest warta ponad ćwierć miliarda złotych. Jako prezesa zarządu Polskiej Grupy Zbrojeniowej bardzo cieszy mnie to, że zakłady skupione w grupie PGZ są zaufanym partnerem Ministerstwa Obrony Narodowej. Pozostajemy gotowi do produkcji także innego sprzętu dla żołnierzy obrony terytorialnej. Dzięki wysokiej jakości i niezawodności produktów oferowanych przez Polską Grupę Zbrojeniową Wojska Obrony Terytorialnej będą należeć do najlepiej wyposażonych formacji tego typu na świecie – podkreśla Błażej Wojnicz, szef Polskiej Grupy Zbrojeniowej.

Do realizacji kontraktów dla Wojsk Obrony Terytorialnej gotowe są także inne zakłady Polskiej Grupy Zbrojeniowej. Skalę zamówień, jakie przed nimi stoją w związku z budową nowej formacji wojskowej, pokazują negocjacje, jakie właśnie toczą się między Inspektoratem Uzbrojenia a radomską Fabryką Broni „Łucznik”. Czego dotyczą? Potencjalnie największego kontraktu dla zakładu w ostatnim ćwierćwieczu. Umowa, nad którą toczą się rozmowy, zakłada dostawę aż 54 tys. karabinków szturmowych Beryl oraz blisko 4 tys. subkarabinków mini-Beryl. Szacowana wartość tej umowy to ok. 350 mln zł.

Szef MON Antoni Macierewicz podczas pokazu sprzętu dla Wojsk Obrony Terytorialnej w Przemysłowym Centrum Optyki, jednej ze spółek Polskiej Grupy Zbrojeniowej. Po lewej stronie gen. Wiesław Kukula oraz Wicyprezes PGZ Maciej Lew-Mirski FOT. CD MON

będzie trzeba umundurować i wyposażać w uzbrojenie oraz różnego rodzaju sprzęt, to duża szansa, ale także odpowiedzialne zadanie dla przemysłu obronnego. Zgodnie z zapowiedziami ministra Antoniego Macierewicza podstawowym dostawcą wyposażenia dla Wojsk Obrony Terytorialnej będą krajowe zakłady skonsolidowane w Polskiej Grupie Zbrojeniowej.

– Jesteśmy gotowi do realizacji zadania, jakie stawia przed nami Ministerstwo Obrony Narodowej – deklaruje Błażej Wojnicz, prezes zarządu PGZ. – Zakłady przemysłowe skupione pod szyldem PGZ mają kompetencje niezbędne do tego, żeby wyprodu-



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Rzepliński obnażony

Trzeba bardzo uważać, gdy się chce być dla kogoś drugiego złośliwym i uszczypliwym. W pogoni za kąśliwym bon motem łatwo można się bowiem obnażyć samemu. Tak się właśnie zdarzyło panu Andrzejowi Rzeplińskiemu, bożkowi „totalnej opozycji” w stanie spoczynku.

Pan Rzepliński – co nie jest żadną tajemnicą – nader nie lubi dr. hab. Kamila Zaradkiewicza. Były dyrektor Trybunału Konstytucyjnego rozwalił mu był bowiem narrację, w licznych wywiadach dowodząc, że decyzje nadętego prezesa TK są co najmniej równie słabo osadzone w prawie i uznaniowe, jak kwestionowane przez niego decyzje Sejmu. Sprovokowało to Rzeplińskiego do zastosowania wobec Zaradkiewicza mobbingu, a potem do wyrzucenia go z pracy, co

jeszcze bardziej prezesa TK i jego sprawę pogrzyżyło, przyczyniając się do ostatecznej przegranej.

Wsukurs Rzeplińskiemu przyszło propagandowe zaplecze „opozycji totalnej”, w taktycznym sojuszu z posłanką Pawłowicz usiłując Zaradkiewicza zdyskredytować narracją, że teraz stał się PiS-owcem, bo wyczuł zmianę wiatru, a kiedyś, jak wiatr był inny, to PiS-owcem nie był. To bardzo wredna demagogia, z lubością stosowana przez „Nie” Urbana, ale wygodna, bo pozwalająca kompletnie zignorować wszystkie merytoryczne racje wyłanego przez Rzeplińskiego dyrektora.

Rzepliński chwycił ochoczo podawaną mu przez agitprop piłkę i aby tym mocniej poniżyć Zaradkiewicza, oznajmił ostatnio, że swego czasu ten ostatni był „najbardziej posłusznym” z jego urzędników.

Mało kto się pewnie nad tym zastanowił – a zachęcam. Chrześcijańska cnota posłuszeństwa nie jest dziś w cenie, a prawdę mówiąc, obrośla w konotacje paskudne, ale na logikę biorąc – jeśli prezes Rzepliński trzymał się prawa (udajmy na chwilę, że nie pamiętamy np. o jego cwaniaczeniu z urlopami), to dyrektor Zaradkiewicz po prostu wykonywał swoje obowiązki i nie było w tym niczego szczególnego. Jeśli prezes sugeruje jakieś szczególne „posłuszeństwo”, to sam przyznaje, że wydawał polecenia, których wykonywanie pozostawało w sprzeczności z procedurami i przepisami. Tylko wtedy „posłuszeństwo” urzędnika staje się dla szefa zauważalne.

Chciał poniżyć Zaradkiewicza, przyznał się sam... Jak mawiali starożytni: „Quod erat demonstrandum”. ☺☺



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O zgubnej statystyce

Pewnie i do was dotarły porażające dane Eurostatu (biuro statystyczne Komisji Europejskiej) o bezrobociu na południu Europy: pośród młodzieży (15–24 lata) w Grecji przekracza 50 proc., w Hiszpanii – 45 proc., a w Italii – 40 proc. Media i politycy załamali ręce: „Bliżko połowa naszej młodzieży nie uczy się ani nie pracuje!”. To jednak humbug – Eurostat wrzucił do jednego worka młodych bezrobotnych, uczniów i studentów. W Italii naprawdę bezrobotnej młodzieży jest 10 proc. Tyle że tego raz puszczanego w ruch kłamstwa w czasach postprawdy odkręcić się już nie da.

Brytyjski premier Benjamin Disraeli już w XIX w. spostrzegł: „Politycy używają statystyki jak pijak latarni: nie szukają światła, ale punktu oparcia”. Co gorsza, statystyka może czekać kara, gdy przynosi złe wieści. Andreas Georgiou, były już szef greckiego instytutu statystycznego, po objęciu stanowiska w 2010 r., ogłosił, że prawdziwy deficyt budżetowy Grecji wynosi 15 proc., a nie 6, jak oszukiwał jego poprzednik. Georgiou został oskarżony o zdradę stanu (czytaj: wyjawienie tajemnicy państwowej). Grozi mu 10 lat więzienia. Ma teraz stanąć przed greckim Sądem Najwyższym.

Zkolei Cristina Kirchner, gdy była prezydentem Argentyny, mocno zirytowana danymi o galopującej inflacji, wyrzuciła na bruk całą wierchuszkę Narodowego Biura Statystycznego. I stał się sąd. W opublikowanych rok później danych, inflacja znikła. Włosi pokpiwali, że argentyńskich fachowców trzeba zainportować, bo to jedyna szansa na likwidację włoskiego długu publicznego i poprawę wskaźników gospodarczych.

I wierz tu danym statystycznym. Winston Churchill przyznał: „Jedyne statystyki, do których mam zaufanie, to te, które osobiście sfałszowałem”. ☺☺

Autor jest korespondentem Polskiego Radia



Feministki liczą, że w marcu powtórzą sukces „czarnego protestu” FOT. KRZYSZTOF KAPICA/EAST NEWS

Bunt na pigułkach

Minister zdrowia Konstanty Radziwiłł zdecydował, że tabletki ellaOne będą sprzedawane na receptę. – Wszystkie hormonalne środki antykoncepcyjne były dotychczas dostępne na receptę, nie ma więc powodu, by pigułkę „dzień po”, która ma silne działanie, sprzedawać bez recepty – tłumaczył minister.

Do kwietnia 2015 r. w Polsce, podobnie jak w kilku innych europejskich krajach (m.in. w Niemczech, na Węgrzech, we Włoszech, w Chorwacji) pigułki ellaOne wydawane były tylko na receptę.

W styczniu 2015 r. Komisja Europejska na podstawie rekomendacji Europejskiej Agencji ds. Leków z listopada 2014 r. zdecydowała, że tabletki te w krajach Unii powinny być dostępne bez recepty. Media przemilczają jednak to, że kiedy agencja wydawała tę rekomendację, Polska (premierem była wówczas Ewa Kopacz, a ministrem zdrowia Bartosz Arłukowicz) w swoim oficjalnym stanowisku była przeciwko. – Polska była przeciwna tej decyzji, głosowaliśmy przeciwko na posiedzeniu Europejskiej Agencji ds. Leków. Jeżeli będzie zapis o decyzji władz krajowych, to utrzymamy przepis o dostępności na receptę – tłumaczył ówczesny wice-minister zdrowia Sławomir Neumann. Dopiero później



Kamila Baranowska

Feministki, wspierane przez część opozycji, wierzyły, że zapowiadany na 8 marca Ogólnopolski Strajk Kobiet wywoła te same emocje, które przyczyniły się do tzw. czarnego protestu. Pomóc w tym ma akcja rozpętana wokół „tabletki dzień po”

rząd niespodziewanie zmienił zdanie, tłumacząc się „bezwątkowością decyzji Komisji Europejskiej”. Sęk w tym, że wystarczyło odpowiednio zmienić krajowe przepisy (znowelizować ustawę lub uchwalić nową), by utrzymać dostępność ellaOne na receptę. Tak zrobiły np. Węgry. Rząd PO uległ jednak naciskom środowisk liberalnych, na których wsparcie liczył w zbliżających się wyborach.

Hipokryzji w sprawie „tabletki dzień po” jest w dyskusji publicznej o wiele więcej. Koronny argument, aby można było ją kupować bez recepty, opiera się na tym, że nie jest to środek wczesnoporonny, lecz jedynie opóźniający owulację i niedopuszczający do zapłodnienia. Tyle że to tylko część prawdy. – Działanie tabletki zależy od tego, w którym momencie cyklu zostanie przyjęta – mówi „Do Rzeczy” dr Maciej Barczentewicz, specjalista ginekolog położnik. – Jeśli do współżycia doszło przed

owulacją, to preparat może ją zahamować, jeśli po owulacji, czyli w okresie niepłodnym, to tabletki nie będzie miała żadnego działania. Jeśli jednak w okresie okołowoowulacyjnym, czyli mogło dojść do zapłodnienia, to wtedy tabletki może blokować zagnieżdżenie się zarodka w ścianie macicy i tu można już mówić o działaniu wczesnoporonnym – tłumaczy.

Tymczasem sprawa „tabletki dzień po” ma być dla feministek jednym z punktów odniesienia podczas Ogólnopolskiego Strajku Kobiet 8 marca.

Organizatorki nie kryją, że liczą na powtórkę tego, co wydarzyło się w październiku ubiegłego roku, gdy udało się zmobilizować rzesze kobiet do wyjścia na ulice. W dużej mierze było to możliwe za sprawą zmanipulowanych informacji, jakie kolportowano na temat projektu zakazującego aborcji. Po pierwsze, udało się wmówić, że jest to projekt autorstwa PiS, choć był to

projekt obywatelski, a po drugie – że są w nim zapisy np. zabraniające badań prenatalnych czy karzące kobiety więzieniem za nieumyślne poronienie. Tego typu „newsy” skutecznie zadziałały na wyobraźnię dziesiątek tysięcy kobiet, które wyszły na ulice.

Feministki odrząbiły sukces i masowe przebudzenie kobiet, wierząc, że na fali niechęci do PiS uda im się to, co nie udawało się od lat – kobiety będą masowo popierać ich lewicowo-liberalne hasła.

„Wygrałyśmy tamtą bitwę, ale nie wygrałyśmy wojny. Mówimy NIE pogardzie i przemocy wobec kobiet, przeciw obecności Kościoła w polityce, przeciw polityce w edukacji” – piszą na swojej stronie organizatorki marcowego protestu.

O ile jednak cel październikowego „czarnego protestu” był jasny i prosty, bo chodziło o zablokowanie ustawy, o tyle hasła strajku 8 marca są dużo bardziej ogólnikowe. „Żądamy państwa wolnego od zabobonów” – piszą organizatorki na facebookowym profilu i domagają się m.in. „rzetelnej edukacji seksualnej”, „opieki medycznej, nie watykańskiej”, likwidacji klauzuli sumienia dla lekarzy, refundacji in vitro, religii tylko w parafiach, komisji ds. pedofilii w Kościele i wymierzenia surowych kar księżom, którzy się jej dopuścili.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



ŁUKASZ WARZECHA

NOTES MALKONTENTA

Frajerzy za sześć tysięcy

Ile zarabiałby prezydent RP, gdyby jego pensję ustalano w głosowaniu powszechnym? Może z 6–7 tys. brutto.

Dzisiaj dostaje ok. 12 tys. pensji zasadniczej, a z dodatkami ok. 20 tys. Premiera wyceniono by pewnie na jakieś 5 tys. (dziś 15 tys.), ministrów na 4 tys. Wolę nie myśleć, ile przyznano by sędziom Sądu Najwyższego po wypowiedzi pierwszej prezes o wynagrodzeniach w wymiarze sprawiedliwości i po ujawnieniu, że ona sama zarabia 27 tys. Mieiliby szczęście, gdyby zostawiono im ze 2 tys.

W sprawie wynagrodzeń najważniejszych osób w państwie toniemy w najtańszym populizmie. Kiedy prezes Gersdorf – prawda, że kompletnie pozbawiona wyczucia – stwierdza, że za 10 tys. da się normalnie żyć tylko na prowincji, niemal wszy-

scy kipią z oburzenia. Zwłaszcza mając w pamięci wypowiedzi wicepremiera Morawieckiego, który właśnie na 10 tys. miesięcznie ustawiał swego czasu granicę „bogactwa”. Władza uderza dziś często w równościowe tony, „zwykłych Polaków” przeciwstawia zepsutej elicie, nic więc dziwnego, że wielu marzy się urawniłowka w wynagrodzeniach.

Mało kto ma odwagę powiedzieć, że to nie sędzia Gersdorf zarabia za dużo, ale zdecydowanie za mało zarabiają polski prezydent, premier, ministrowie i wiceministrowie. Rację miała swego czasu (co samo w sobie jest wydarzeniem doniosłym) Elżbieta Bieńkowska, stwierdzając na nagraniach kelników, że za 6 tys. pracuje tylko idiota. Mówiła bowiem – co łatwo pomijano – o wiceministrach.

Faktycznie, wynagradzanie ludzi na stanowiskach tej rangi takimi pieniędzmi jest kompromitujące i korupcjogenne.

Oburzeni słowami pani Gersdorf również odrzucają kontekst. Co nim jest? Koszty życia w dużym mieście inne niż na prowincji, lata poświęcone na naukę i budowanie sędziowskiej kariery, praca obciążona ogromną odpowiedzialnością. Świat składa się z nierówności, jakkolwiek zaklinalibyśmy rzeczywistość.

Tu wielu się oburzy i zacznie pokrzykiwać, że sędziowie są zepsuci, że kradną pendrive'y, a pani Gersdorf jest niemila. Na tym polega jedno z polskich nieszczytów: myślimy w kategoriach konkretnych osób, a nie instytucji państwa. Oraz jak pies ogrodnika: mniej ważne, żebym ja zarabiał więcej – ważne, żeby „oni” zarabiali mniej. ©©

PiS kontra prezes Sądu Najwyższego

Grupa 50 posłów PiS chce, by Trybunał Konstytucyjny sprawdził legalność wyboru prof. Małgorzaty Gersdorf na stanowisko prezesa Sądu Najwyższego.

Zdaniem posłów PiS istnieją wątpliwości co do zgodności z konstytucją przepisów, na których podstawie została powołana na funkcję prezesa SN. Jak tłumaczył poseł Arkadiusz Mularczyk w programie „Gość poranka”, chodzi o sprawdzenie, czy na podstawie regulaminu, który jest ogłaszany przez Zgromadzenie Ogólne Sędziów Sądu Najwyższego, można wybrać kandydata na prezesa SN, a następnie przedstawić go prezydentowi.

– W naszej ocenie tak funkcjonujący regulamin i ten tryb wyboru ma charakter niekonstytucyjny. To w ustawie o Sądzie Najwyższym powinny być regulowane kwestie procedury wyboru oraz przedstawiania prezydentowi



FOT. SIMONA SUPINO/FORUM

kandydatów na prezesa SN – mówił Mularczyk. – Kolejną wątpliwą kwestią jest brak uchwały przez Zgromadzenie Ogólne SN o wyborze prezesa SN – dodawał.

Posłowie Prawa i Sprawiedliwości chcą, by orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego w tej sprawie miało charakter aplikacyjny. Oznaczałoby to, że gdyby TK uznał wybór prezesa Sądu Najwyższego za dokonany w sposób sprzeczny z konstytucją, to nie tylko sam akt wyboru byłby uznany za nieważny, lecz także czynności podejmowane przez prof. Gersdorf, a związane z pełnioną przez nią funkcją.

Opozycja uważa zaś wniosek posłów PiS za zamach na niezawisłość sądów i polityczną zemstę na prezes Gersdorf, która w ostatnim czasie w wywiadach ostro krytykowała PiS. – To jest bolszewicki sposób prowadzenia polityki, który nie ma nic wspólnego z zasadami państwa prawa – stwierdził poseł Jan Grabiec, rzecznik klubu parlamentarnego PO. ©©

Wojciech Wybranowski



PROW 2014-2020: portal i nowe nabory

W marcu Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa uruchamia specjalny portal ofertowy dla korzystających ze wsparcia finansowego w ramach PROW 2014-2020, a także trzy nabory wniosków z tego programu

Portal Ogłoszeń ARiMR, służący realizacji zasady konkurencyjności przy wyborze dostawców usług, towarów i robót w ramach PROW 2014-2020, **rusza 18 marca 2017 r.** Od tej daty wszelkie zakupy w ramach poszczególnych działań nowego PROW, np. wykonanie robót budowlanych, dostawa maszyn i urządzeń rolniczych, będą możliwe po uzyskaniu oferty od sprzedawców czy wykonawców za pośrednictwem tego portalu.

Obowiązek stosowania konkurencyjnego trybu wyboru wykonawców czy dostawców **dotyczy wszystkich korzystających z pomocy i pomocy technicznej przyznawanej w ramach PROW 2014-2020 w formie refundacji kosztów kwalifikowanych**, czyli:

- wnioskodawców/beneficjentów, którzy nie są zobowiązani do stosowania przepisów ustawy Prawo zamówień publicznych – dla wszystkich zadań ujętych w zestawieniu rzeczowo-finansowym operacji o wartości **powyżej 20 tys. zł netto**;
- wnioskodawców/beneficjentów zobowiązanych do stosowania ustawy Prawo zamówień publicznych – dla wszystkich zadań ujętych w zestawieniu rzeczowo-finansowym operacji o **wartości powyżej 20 tys. zł netto i zamówień o wartości poniżej 30 tys. euro** oraz dla zamówień wyłączonych spod ustawy o zamówieniach publicznych na podstawie przepisów o zamówieniach sektorowych.

Portal będzie dostępny od 18 marca pod adresem **www.portalogloszen.arimr.gov.pl**.

Opublikowanie zapytania ofertowego na Portalu Ogłoszeń ARiMR będzie możliwe po zalogowaniu się loginem i hasłem nadanym przez Agencję. O uprawnienia do zamieszczania ogłoszeń na portalu należy wystąpić, składając wniosek o nadanie takich uprawnień. Przed jego wypełnieniem warto zapoznać się z instrukcją, jak zrobić to poprawnie. Formularz wniosku oraz instrukcja dostępne są na stronie internetowej www.arimr.gov.pl oraz w biurach powiatowych, oddziałach regionalnych i centrali Agencji. Z kolei przeglądanie opublikowanych na portalu zapytań ofertowych będzie możliwe bez konieczności logowania.

W trzech marcowych naborach wniosków, które uruchomi ARiMR, obowiązek wyboru oferty w trybie konkurencyjnym będzie dotyczył tylko ubiegających się o dofinansowanie

z działania „**Wsparcie inwestycji w przetwarzanie produktów rolnych, obrót nimi lub ich rozwój**”. W tym przypadku pomoc jest adresowana do firm z branży przetwórstwa produktów rolnych lub zajmujących się ich sprzedażą hurtową. W całym okresie realizacji PROW 2014-2020 mogą one liczyć na wsparcie w wysokości do **3 mln zł**. Jeśli są przedsiębiorstwami będącymi związkiem grup producentów rolnych lub zrzeszeniem organizacji producentów, kwota ta rośnie do **15 mln zł**. Pieniądze są wypłacane w formie refundacji kosztów kwalifikowanych poniesionych na realizację inwestycji, w tym związanych z utworzeniem nowych zakładów zajmujących się hurtową sprzedażą czy przetwórstwem: **mleka, mięsa oraz owoców i warzyw, a także hurtowym obrotem zbożami**. Maksymalny poziom refundacji może wynieść 50 proc.

Od 13 marca do 11 kwietnia 2017 r. będzie trwał nabór wniosków o „**Premię na rozpoczęcie działalności pozarolniczej**”. O **100 tys. zł** będą mogli ubiegać się rolnicy, domownicy, małżonkowie rolnika ubezpieczeni w KRUS. Firma, która zostanie założona dzięki temu wsparciu, może zajmować się m.in. przetwórstwem i sprzedażą produktów nierolniczych, rzemiosłem, turystyką wiejską, usługami opieki nad dziećmi, osobami starszymi, działalnością informatyczną, usługami księgowymi lub działalnością weterynaryjną.

30 marca rusza z kolei nabór wniosków na „**Restrukturyzację małych gospodarstw**”. Do 28 kwietnia 2017 r. o **60 tys. zł** premii będzie mógł ubiegać się ten, kto zdecyduje się na rozwój swojego gospodarstwa, przeprowadzi w nim zmiany, dzięki którym stanie się ono bardziej rentowne i konkurencyjne. Rolnik na restrukturyzację gospodarstwa będzie miał trzy lata. W tym czasie wielkość ekonomiczna gospodarstwa powinna wzrosnąć do co najmniej 10 tys. euro oraz o co najmniej 20 proc. w stosunku do wielkości z roku, w którym złożono wniosek o przyznanie pomocy.

Więcej informacji o pomocy oferowanej przez Agencję można uzyskać: na stronie internetowej www.arimr.gov.pl, pod bezpłatnym numerem infolinii: 800 38 00 84, w punktach informacyjnych w każdym biurze powiatowym i oddziale regionalnym ARiMR, a także poprzez specjalny formularz ZADAJ PYTANIE na stronie internetowej Agencji.

www.portalogloszen.arimr.gov.pl



„Europejski Fundusz Rolny na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich: Europa inwestująca w obszary wiejskie”. Materiał opracowany przez Agencję Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa. Instytucja Zarządzająca PROW 2014 - 2020 - Minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi. Materiał współfinansowany ze środków Unii Europejskiej w ramach Pomocy Technicznej Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2014-2020.

Mamy lęki. Chodzi o kukistów. Otóż Liroy-Marzec postawił Pawłowi Naczelnemu Kukizowi ultimatum. Chce być kandydatem na prezydenta Warszawy. Paweł jednak się wściekł, bo bardzo nie lubi być stawiany pod ścianą. Więc przymerza się do puknięcia Liroya. Kielecki szczyryk zapowiada jednak, że założy ruch Liroy'19 i wystartuje z własnego komitetu.

Andrzej też ma lęki. Halicki. Chodzi o PiS (cóż za sensacja). Otóż Andrzej boi się, że Kaczor-Dyktator tak kombinuje z ustawą o ustroju Warszawy, żeby prezydenta stolicy nie wybierano już w wyborach powszechnych. Tylko na przykład przez burmistrzów wszystkich gmin tworzących Wielką Warszawę. No i wtedy ze snów Halickiego o prezydenturze nici. Naszym zdaniem warszawiacy i bez pomocy Kaczora-Dyktatora ofiarują Andrzejowi te nici.

Peło ustami Jana Grabca oburza się, że ambasadorem dobrej zmiany w Berlinie jest Andrzej Przyłębski. Czegoś nie rozumiemy. Przecież Przyłębski był wcześniej w Berlinie na tej samej placówce za rządów Włodzimierza Cimoszewicza oraz Jerzego Buzka. Jako attaché ds. kultury i nauki. Janie Grabcu! Jak możesz nie mieć zaufania do tych autorytetów!

Jest zabawniej. Peło uważa, że Przyłębskiemu brak kwalifikacji, bo ma teczkę w IPN, na której napisano jak byk: TW Wolfgang. Martwi to tę samą Peło, która uważa, że świetne kwalifikacje mają TW Bolek (Wąłesa Lech) i TW Znak (Boni Michał). Może po prostu chodzi o to, że Grabcowi nie podoba się imię Wolfgang.

Jest jeszcze zabawniej. Na przykład w tweecie zatroskanego Kondzia Piaseckiego, który zajął 2 marca 2017 r. na stronie IPN i wykrzyknął: „Nie wierzę, żeby służby tego nie sprawdziły, ale nazwisko i data urodzenia rzeczywiście się

zgadzają”. Nie wierzymy, że Kondzio jest niepiśmienny, ale na wszelki wypadek podajemy numer „Do Rzeczy”, w którym wspomnianą teczkę Przyłębskiego opisaliśmy: numer z 16 maja roku 2016.

Tak przy okazji. Różni ludzie czytają teraz on-line inwentarz IPN i strasznie się ekscytują. A na razie wrzucono do sieci zaledwie 10 proc. cyfrowego archiwum instytutu.



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

dwaj
panowie **g**

Parafrazując znanego księdza poetę (nawiasem mówiąc też rejestrowanego jako TW), radzimy – śpieszcie się czytać inwentarz, bo może szybko zniknąć. Rzecz w tym, że nie tylko Grabiec, lecz także miliony zwykłych Polaków czytają go z wypiekami na twarzy. A to śmiertelne zagrożenie dla apologetów III RP.

Jeszcze o Internecie. Chciał się z nami na fejsiku zaznajomić Bartłomiej Misiewicz. Co wzbudziło nasze zdziwienie, gdyż po pierwsze jesteśmy ruską agenturą, a po drugie już jesteśmy z nim zaznajomieni. Okazało się, że to fałszywy Misiewicz, więc pewnie i oferta znajomości fałszywa. Uważajcie. Jak to śpiewał Andrzej Rosiewicz: „Coraz więcej przebiegaczy, coraz trudniej o oryginał”.

Apropos księży, niekoniecznie poetów. Przy Franciszkańskiej w Krakowie dojrzewa myśl o odebraniu „Tygodnikowi Powszechnemu” przymiotnika „katolicki”. Nowy metropolita dla Krakowa jest bowiem zdania, że tak byłoby uczciwiej. No i krakusy mają problem – abp Jędraszewski nie pochodzi z grodu Kraka, pod nikogo nie jest tu podwiązany i w ogóle nie ma go jak ugryźć. No i (o zgrozo!) wszystko można o nim powiedzieć, tylko nie to, że ceni tygodnik z Wiślniej.

Ciekawostka związana z Narodowym Dniem Pamięci Żołnierzy Wyklętych. Niektóre resorty stanęły na wysokości zadania. Na przykład w ministerstwie środowiska była pogadanka pracownika IPN. Był sukces. Przyszło całe 20 osób. W ministerstwie zaś pracuje coś z niecały tysiąc. Na szczęście ilość przeszła w jakość. Średnia wieku – emerytalna.

Tymczasem w innym resorcie. Na Szucha, czyli w gmachu MSZ, błąd strach padł na słoiki. Nie, nie chodzi o warszawiaków przyjezdnych. Słóikami są tu nazywani członkowie Służby Ochrony i Kontroli (SOiK), formacji powołanej przez Radka Sknerusa Sikorskiego, który swego czasu spławił BOR z ochrony placówek dyplomatycznych. Chodzi o to, że słoiki nie mają statusu dyplomatów, więc nie podlegają lustracji. A nasze wiewiórki twierdzą, że SOiK stała się przytuliskiem dla pośledniejszego sortu bezpieki i milicji.

Skąd zaś błąd strach? Ano posłowie też to wiedzą. I w nowej ustawie słoikom nie przepuszczają.

Swoją drogą ciekawa jest historia powstania SOiK. Swojego czasu Radek Sknerus Sikorski po spławieniu BOR wynajął do ochrony gmachu przy Szucha prywatną firmę ochroniarską. W owym czasie BOR było powszechnie szanowaną (w PeŁo) instytucją, bo na jego czele stali ludzie Mańka Janickiego. Niestety, wiele im to nie pomogło, kiedy Radek się wściekł, bo podczas powrotu z Chobielina Dworu do Warszawy limuzyną BOR strzeliły mu dwie opony. Wtedy Sknerus zatrudnił prywatniarzy.

Niestety, oni także nie zdali egzaminu – kiedy Radek chciał wejść do pracy, nie został wpuszczony przez prywatnego ciecia-ochroniarza, który go nie rozpoznał. Radek więc wściekł się ponownie. I tak powstała SOiK.

Z życia wyższych sfer. Z najwyższym zainteresowaniem śledzimy, jak wicepremier Gowin ręcznie naprawia reformę szpitali wymyśloną nożnie przez ministra Konstantego Radziwiłła. – Czy minister Radziwiłł jeszcze z panem w ogóle rozmawia? – zapytaliśmy Gowina. Ten zamyślił się. A po chwili namysłu odpowiedział: – Tak. Bo to bardzo uprzejmy człowiek. ©©

REKLAMA



#DrapZdrapki
Na MILION
sposobów!



SKROMNY NIESŁYCHANIE

Aktor Mikołaj Roznerski, znany szerszej publiczności z kilku seriali i paru romansów z bardziej od siebie znanymi aktorkami, podczas występu w programie Kuby Wojewódzkiego usiłował pokazać, jak bardzo nie przykłada wagi do swojej urody ani wyglądu i jest mu wszystko jedno, czy uchodzi za przystojnego. – Facet powinien być facetem. Jak ktoś sobie uważa, że jestem ładny, to niech tak sobie uważa, a jak ktoś sobie uważa, że jestem brzydki, to niech też tak sobie uważa – stwierdził. W pewnym momencie został jednak zapytany o to, w jakim filmie chciałby zagrać. I wyszło szydło z worka. – Chciałbym zagrać w jakimś dobrym filmie akcji. Każda rola, którą dostaję, bardzo mnie kręci. Nie mam marzeń, co bym chciał zagrać. W sumie chciałbym zagrać Batmana, czemu nie? Ale tak sobie myślę, że przez 90 minut chodziłbym w masce. Szkoda. Grunt to skromność – wyznał. A gdyby tak wywiadów udzielał w masce? Mógłby wówczas nadal pleść to, co plecie, nie rujnując sobie nazwiska ani wizerunku. Zostawiamy do przemyślenia!

CHARAKTER NA TWARZY



Dorota Szelągowska, która popularność zdobywa dzięki programom, w których pomaga Polakom urządzić mieszkania, wyznała, że tylko w telewizji i na branżowych imprezach można ją zobaczyć w pełnym makijażu, bo na co dzień się nie maluje. Dość krytycznie wypowiada się też o wszelkich próbach poprawiania sobie urody. – Malowanie się jest bez sensu, fajnie, jeśli masz zmarszczki od uśmiechu – mówi. – Nic sobie nie robiłam, mogę zmarszczyć wszystko. To są rzeczy nieistotne, jest mnóstwo istotniejszych rzeczy, chociażby malowanie ścian. Ktoś mi kiedyś powiedział, że w okolicach czterdziestki charakter wychodzi na twarz. Fajnie, jak go nie trzeba poprawiać – dodaje. Zaraz, czy ona przypadkiem nie próbuje nam czegoś powiedzieć o swoich koleżankach z show-biznesu? Teraz już były koleżankach.

DOM WARIATÓW

Ilona Felicjańska, modelka i celebrytka, a ostatnio autorka książek, w tym słynnego thrillera erotycznego, który reklamowała tym, że napisała go podczas alkoholowego odwyku w Tworach, narzeka, iż musi borykać się z krytyką i wszechobecnym hejtem. Dodaje, że wcale się tym nie przejmuje, bo hejtują ją „beznadziejni ludzie z dysfunkcyjnych domów”. – Nie zamierzam wszystkim dogadzać – deklaruje Ilona. – To jest mechanizm obronny: będę negował innych ludzi, będę krytykował, żeby nie dopuścić myśli, jaki ja jestem beznadziejny. Na tym polega hejt. W naszym kraju jest 99 proc. dysfunkcyjnych domów, z których wychodzą ludzie z zaburzoną poczuciem wartości – dodaje. Czyli żyjemy w kraju wariatów. Dobrze, że jest Ilona i jej erotyczne thrillery pisane w Tworach. Przynajmniej jakiś powiew normalności.

HUBERT I AZJA

Hubert Urbański, obecnie szczęśliwy prowadzący teleturniej „Milionerzy” (który lata temu przyniósł mu dużą popularność), zastanawia się, w jakiej kolejnej produkcji TVN chciałby wziąć udział. Wspomina też swój udział w pierwszej edycji programu „Agent – Gwiazdy”. – Jak dobrze, że mnie już tam nie ma. Nie muszę już skakać, topić się ani dyndać na sznurku pod mostem i jeszcze ściemniać, że to takie straszne. Jestem ciekaw, jak to teraz ktoś rozgrywa. Moja przygoda z „Agentem” to było niesamowite doświadczenie – opowiada. Na pytanie, czy wzięłby udział w kolejnej edycji programu „Azja Express”, odpowiada: – Zabrałbym ze sobą mamę. Rozniosłaby to wszystko – mówi. – Nie dzwonili do mnie. W Azji już byłam. Teraz w Indiach, tak? – opowiada. Panie Hubercie, zanim pan się zdecyduje na wyjazd, pytanie za tysiąc złotych: Na jakim kontynencie leżą Indie?

ROZKWIT KARIERY

Uwaga, uwaga, news tygodnia! Edyta Górnica została twarzą paznokci! Cóż, kariera wokalna pani Edyty od ponad 20 lat stoi w miejscu, co może budzić pewną frustrację, a żyć trzeba, prawda? Producenci lakierów do paznokci, którzy zatrudnili Edytę, są zachwyceni. „Mamy zaszczyt przedstawić Państwu Ambasadorkę naszej marki, największą i najjaśniejszą Gwiazdę Polskiej sceny muzycznej, Edytę Górnica. Najlepsi mogą pracować tylko z najlepszymi. Właśnie w tym momencie w Los Angeles, miejscu zamieszkania Edyty Górnica, powstaje sesja zdjęciowa dla wielkiej, wspólnej kampanii reklamowej” – rozplývają się w zachwytach. Edzia także na jednym z portali społecznościowych pochwaliła się zdjęciami z kręcenia reklamy. W sumie pocieszymy Edzię, że mogło być gorzej. Kasia Skrzynecka do dziś kojarzy się z reklamą pasztetu, a Justyna Steczkowska była twarzą rajstop. W tej sytuacji bycie twarzą paznokci brzmi prawie dumnie! ☺☺

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, widzieliśmy ostatnio opinię eksperta, który uważał, iż uczenie osobodzieci pisemnych działań matematycznych to uczenie umiejętności życiowo zbędnych, iż mamy kalkulatory. Po dogłębnym przeanalizowaniu sytuacji doszliśmy do wniosku, iż powinno się także przestać uczyć:

- czytania, iż w dobie audio-booków i podejścia tldr („Too long; didn't read”, „za długie, nie przeczytałem”) czytanie jest umiejętnością życiowo zbędną, a nawet ograniczającą np. wolny czas

- pisania odręcznego, iż w dobie smartfonów i komputerów i tak każdy korzysta z klawiatury

- sięgając do wcześniejszych etapów edukacji: po co uczyć osobodzieci chodzić, skoro jest chyba wystarczająca liczba dorosłych, którzy mogliby je nosić? xD

- no i po co wykształcać umiejętności krytycznego myślenia, skoro są eksperci i autorytety, którzy wytłumaczą, co należy myśleć w każdej sytuacji?

Zadziwił nas też ostatnio dział „Nauka” na portalu wyborczej, gdzie pochylono się nad problemem ketchupu, który nie do końca da się wycisnąć z butelki (Kiedy

ketchup będzie łatwo wyciekać z butelki? Nigdy. Technologia jest gotowa, ale producentom na niej nie zależy).

Zainspirowani tą tematyką mamy kilka innych propozycji na naukowe teksty, które poszerzą wiedzę internautów o świecie:

KIEDY MLEKO LANE Z KARTONU NIE BĘDZIE CHLAPAĆ?
Producenci opakowań w zмовie z producentami środków czystości???

DRAMAT STUDENTKI MAGDY (19 l.); Kiedy otwieram jogurt zawsze się ochlapie. Czy ktoś może się tym wreszcie zająć?

IDĄC PRZED SIEBIE, NIE ZAWSZE PÓJDZIESZ NA PÓŁNOC!!!
Czy strony świata są względne? Eksperci wyjaśniają.

OBALAMY KOŚCIELNE MITY.
Nie wszystkie drogi prowadzą

Sędzia nie przeżyło za 10 tysięcy, ubek za 2 tyś, ale od 500+ w d. się przekręca...



cezarę krystopę & Musia Tadeusza

do Rzymu. DK 86 prowadzi do Będzina!

CZY W ŁODÓWCE CIĄGLE PALI SIĘ ŚWIATŁO? Zaskakujące nagranie! Co pokazała nasza kamera przy zamkniętych drzwiczkach?

Fashysta Trump anulował zalecenie oświeconego Obamy, aby osoby transseksualne korzystały z tej toalety, która bardziej odpowiada ich tożsamości płciowej. Wiedzieliśmy, iż z Trumpem będzie trudno, ale nie wiedzieliśmy, iż aż tak. Co w tej sytuacji powinien zrobić normalny kraj? Zaprosić do siebie wszystkie osoby transseksualne zza oceanu i udostępnić im szeroki wolny wybór toalet publicznych. Tego wymaga europejska solidarność, iżby także Ameryka mogła z niej skorzystać.

Of kors my zapraszamy i chętnie udostępnimy toalety w naszym korpo, aleby Nowy z Tarnowa się zdziwił xDD

A na koniec krótka psychozabawa:

Czy Ci się chce?

1. Czy Ci się chce?

a) tak

b) nie

Odpowiedź a: jesteś młody, dynamiczny i Ci się chce.

Odpowiedź b: nic się nie martw, po prostu jesteś ofiarą kapitalizmu i współczesnych uprzedmiotawiających jednostkę stosunków społecznych. ©©



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
[FB.COM/MWIZWO](https://www.facebook.com/mwizwo)



ŁUKASZ WARZECHA: Jak się czujesz jako idolka twardego elektoratu PiS?

MAGDALENA OGÓREK: A jestem nią?

Nie wiedziałaś?

Dostrzegam zainteresowanie moją osobą w mediach, także społeczno-sciowych, cieszę się z tego. Ale od razu uważać się za idolkę? Cieszę się ogromnie, że ludzie słuchają i czytają, co mam do powiedzenia lub napisania. Jestem wdzięczna widzom, słuchaczom i czytelnikom za ich uwagę oraz sympatię.

Słyszysz to, co chcą usłyszeć. Co jest zgodne z ich poglądami i partyjnymi sympatiami. Dlatego są mili.

Tylko że to wcale nie są jedynie sympatycy PiS. Piszą do mnie także wolnościowcy i ludzie rozczarowani obecną lewicą. Pytają, jak powinna się dzisiaj zdefiniować.

Ci ostatni pewnie kojarzą cię głównie z rolą kandydatki na prezydenta wspieranej przez Sojusz Lewicy Demokratycznej.

Bywa, że ludziom mylą się wybory prezydenckie z wyborami parlamentarnymi. W tych drugich kandydat musi się mocno utożsamiać z partią, z której listy kandyduje. Natomiast w wyborach prezydenckich wybiera się prezydenta wszystkich Polaków, więc program kandydata musi być pisany z myślą o jak największej grupie wyborców. Czytając w sieci dotyczące mnie komentarze, mogę stwierdzić – i to mnie cieszy – że naprawdę wiele osób mój program z wyborów prezydenckich przeczytało.

Ten program pisałaś sama?

Tak, wyłącznie.

Długo to trwało?

Przepraszam, ale czy takie pytanie zadałbyś mężczyźnie? Czy zadajesz je mnie, bo byłam jedyną kobietą w tym wyścigu?

Gdyby któryś z kandydatów powiedział mi, że sam napisał swój program, spytałbym o to samo. Zwykle pisanie dokumentów programowych zajmuje się grupa doradców, ekspertów, polityków partii, która kandydata wystawia.

Przyjmuję to wyjaśnienie za dobrą monetę. Nie, nie miałam na pisanie programu zbyt wiele czasu, ale nosiłam go w głowie i sercu od dawna. Propozycję startu w wyborach



Z Magdaleną Ogórek, historykiem Kościoła, publicystką rozmawia Łukasz Warzecha

Mocno kibicuję rządowi



dostałam w połowie grudnia. Najpierw musiałam się zastanowić, czy warto ją przyjmować, również ze względu na najbliższych, bo przecież ich taka decyzja dotyka. Następnie przez całe święta, które należały do moich najtrudniejszych, przelewałam swoje rozważania na papier. A na tym miejscu, gdzie teraz siedzisz, siedział kilkakrotnie Leszek Miller i toczył ze mną o ten dokument zacięte boje.

Czego te boje dotyczyły? Postulatu pisania prawa od nowa?

Wiem, to stwierdzenie wywołało najwięcej kpin. Ono się jednak nie wzięło z niczego. W czasie kampanii spotykałam się z ludźmi i słyszałam od nich mnóstwo historii o tym, jak dał im się we znaki nasz system prawny. Po 1989 r. stworzyliśmy nie państwo prawa, ale państwo prawników. Gdy wpadasz w kłopoty, przetrwasz tylko, jeśli masz dużo pieniędzy, by opłacić kancelarie prawne. Jednostka słaba, nieumiejąca poradzić sobie w gąszczu przepisów, często sprzecznych ze sobą, natychmiast przegrywa, nierzadko tracąc oszczędności całego życia. Co rusz spotykamy w mediach historie ludzi poszkodowanych przez komorników, słyszymy o aferach finansowych, wobec których w ostatnich latach państwo było bezradne. Dramaty ludzi sprowadzają się do jednego: że, jak powiedział na słynnych nagraniach Bartłomiej Sienkiewicz, polskie państwo istnieje tylko teoretycznie. Zresztą w pewnym sensie mój postulat napisania prawa od nowa znalazł po jakimś czasie potwierdzenie. Już po wyborach premier Szydło powiedziała całkiem wprost, że prawo podatkowe należy stworzyć od nowa. Wspominał też o tym premier Morawiecki. O gruntownej reformie systemu prawnego mówi mnóstwo ekspertów.

Dlaczego właściwie Miller sięgnął po osobę ze świata mediów, nie z polityki, całkowicie spoza partii, bez politycznego doświadczenia?

To przede wszystkim pytanie do samego Leszka Millera. Ja mogę tylko powiedzieć, co moim zdaniem Miller chciał w ten sposób osiągnąć, i to do mnie przemawiało. Otóż, peleton w wyścigu prezydenckim był wyłącznie męski. Pod koniec 2014 r. było już wiadomo, że oczywiście startuje Bronisław Komorowski,

Da PiS wystawia Andrzeja Dudę. SLD miało wówczas w sondażach 3 proc. Sądzę, że Miller pomyślał, iż kandydat z wnętrza partii – Jerzy Wenderlich czy Małgorzata Szmajdzińska – nie przebieje tego poziomu. Tymczasem on chciałby powalczyć o 9, może 10 proc. I do tego potrzebna była Millerowi wykształcona kandydatka spoza partii, z programem skierowanym do szerszej grupy osób.

Jeśli kalkulacja faktycznie była taka, to mocno zawiódła. Nie miałaś nawet tych 3 proc. Skończyło się na 2,4 proc. Porażka.

Mówisz: porażka. Pamiętasz, ile dostał wytrawny polityk, od dekady w życiu publicznym, Janusz Palikot? Półtora procent. Jak zatem nazwiesz jego wynik, skoro mój miałby być porażką?

Jednak za tobą stała, wydawałoby się, poważna machina partyjna.

No właśnie nie bardzo za mną stała. Byłam na swój wynik przygotowana. Nie łudziłam się, bo przez pięć miesięcy ciągnęłam kampanię praktycznie sama. Bardzo szybko można było zauważyć, że dla partii, która powinna mnie wspierać, była to kampania czysto teoretyczna. Leszek Miller sam przyznał to ostatnio w wywiadzie. Powiedział, że był pewien, iż wygra Bronisław Komorowski, i nie widział sensu w inwestowaniu w moją kampanię. To przyszkodziło, bo ludzie w terenie gorliwie i z przekonaniem pracowali, zbierali podpisy, a potem zobaczyli, że władze partii ich oszukały, bo nie chciały wspierać kampanii, „w której i tak wygra Komorowski”. Mogłam też tylko pomarzyć o takim budżecie, jaki mieli inni kandydaci. W mediach też łatwo nie było, ale na to się nigdy nie skarżyłam – kampania rządzi się swoimi prawami i trzeba oberwać. Uważam jednak, że – obiektywnie rzecz biorąc – miałam pod tym względem najtrudniej. Kobiety z kręgu „Gazety Wyborczej”, które od lat nawoływały do większego udziału kobiet w polityce, przecież mnie nie wspały. Ba, ostro mnie zwalczały. Okazało się, że nie chodzi po prostu o to, żeby było w życiu publicznym więcej kobiet, ale o to, żeby to były słuszne kobiety, z certyfikatem z Czerskiej, a ja takiego nie miałam, bo byłam osobą spoza salonu. Teksty Magdaleny Środy na mój temat stały się kultowe. Zwracam też uwagę, że w historii wyborów prezydenckich były trzy panie: Hanna Gronkiewicz-Waltz, Henryka Bochniarz i ja. Żadna nie przebiła progę 3 proc.

Sugerujesz, że słabe wyniki to kwestia płci, a nie tego, że po prostu kandydatki były słabe, nieprzekonujące albo że kiepsko działała kampanijna maszyna?

Nie należy czynnika płci wykluczać, ale zgoda, nie upieram się, że jest decydujący. Co do działania partyjnej maszyny – możesz mieć dużo racji, bo tydzień po starcie kampanii zostałam na placu boju praktycznie sama. Sztab bardzo szybko się rozpięchł, za to politycy SLD zaczęli pojawiać się we wszelkich możliwych mediach i ogłaszać, że nie będą głosować na Magdalenę Ogórek. Co więcej, Aleksander Kwaśniewski, Katarzyna Piekarska i inni oznajmili, że zagłosują na Bronisława Komorowskiego. Wyobrażasz sobie taką sytuację w PiS albo w Platformie?

Projekt realizowany przez PiS to przebudowa demokracji, która do tej pory miała charakter korporacyjny

Byłaś kandydatką SLD i część wyborców prawej strony uznaje cię dziś z tego powodu za oszustkę i farbowanego lisa. Twierdzą oni, że udział w wyborach był tylko po to, żeby się wypromować, zdobyć rozpoznawalność, zrobić karierę w mediach, a potem zmieniłaś poglądy, żeby się dobrze ustawić w państwie PiS.

To absurd. Przypomnij sobie szum medialny, jaki wybuchł po moim pierwszym wystąpieniu w roli kandydatki na prezydenta. Komentatorzy, związani nie tylko z lewicą, grzmieli, że Miller postawił na osobę o nielewicowych zapatrywaniach. Tymczasem ja mówiłam dużo o osobach pokrzywdzonych, wykluczonych – czyli o tych, którym dziś pomaga PiS, ale upominałam się także o polskich przedsiębiorców. Mówiłam o obronie terytorialnej, o wzmocnieniu wywiadu w kierunku bliskowschodnim z uwagi na zagrożenie terrorystyczne w Europie. Gdzie tu zatem zmiana poglądów? Miałabym zacząć krytykować PiS i tym samym wyrzec się swoich postulatów z okresu kampanii wyborczej? Nie ma też mowy o nagłej chęci zrobienia kariery w mediach. Z mediami byłam związana przed kampanią prezydencką, ale z powodu startu w wyborach musiałam zrezygnować z dwóch programów, które prowadziłam w jednej z telewizji komercyjnych. Nie żałuję, bo miałam ochotę zrobić to, na co się zdecydowa-

łam. Chciałam porozmawiać z Polakami o tym, jaka powinna być Polska. Oczywiście powrót do mediów cieszy mnie ogromnie – programy „W tyle wizji” i „Studio Polska”, które współprowadzę, dają mi mnóstwo satysfakcji.

Mimo wszystko jest coś niezwykle w tym, że była kandydatka SLD na prezydenta staje się niemal bezwarunkową i w dodatku głośną zwoleńniczką obecnej władzy. Chyba nie przesadzam, mówiąc o twoim bezwarunkowym poparciu dla PiS?

Co to znaczy „bezw warunkowe poparcie”? Na pewno mocno temu rządowi kibicuję. Trudno zresztą, żebym mu nie kibicowała, skoro realizuje wiele punktów mojego własnego programu z 2015 r. Czuję potrzebę, żeby o moim

wspieraniu głośno mówić, zwłaszcza w obliczu rejdach, jaki rozpętała opozycja.

Jedne postulaty realizuje, innych nie. W kampanii prezydenckiej mówiłaś, że kwota wolna od podatku powinna wynosić 20 tys. zł. PiS nie tylko nie podniósł jej do obiecanych przez siebie 8 tys., lecz także spowodował, że część podatników w ogóle utraciła prawo do kwoty wolnej.

Podwyższenie kwoty wolnej było dla mnie jednym z najważniejszych postulatów i będę się jego realizacji przez PiS przyglądać. Jednak partia Jarosława Kaczyńskiego rządzi raptownie ponad rok. I dużo zostało już zrobione. Spójrzmy na to, co się udało w kwestii pomocy najbiedniejszym. Dzięki programowi „500+” zniknęło w Polsce skrajne ubóstwo wśród rodzin wielodzietnych.

Mówisz o zaopiekowaniu się biednymi. Tymczasem siedzimy w twoim eleganckim mieszkaniu na Mokotowie, na pewno bardzo drogim...

... w kredycie, jak u większości Polaków.

Jeśli we frankowym, to tutaj PiS i Andrzej Duda również nie dotrzymali obietnicy, tak jak w przypadku kwoty wolnej. Sprawia to jednak trochę wrażenie pozy: dobrze sytuowana Magda

Ogórek martwi się losem ubogich. Trochę jak Ryszard Kalisz ze swoim jaguarem, symbol kawiorowej lewicy.

I w polityce, i w mediach liczy się autentyczność. Wyborcy i widzowie natychmiast wychwytują każdą fałszywą nutę. Otóż ani razu w kontaktach z odbiorcami moich programów czy tekstów nie miałam wrażenia, że patrzą na mnie tak, jak przed chwilą opisałeś. Może dlatego, że wiedzą, iż jestem córką górnika, nie pochodzę z bogatego domu i do wszystkiego, co w życiu osiągnęłam, doszłam sama.

Nie masz wrażenia, że wśród elektoratu partii rządzącej narasta frustracja, skądinąd całkiem zrozumiała, ale też groźna, skierowana przeciwko beneficjentom poprzedniego układu – niestety, nie tylko tym prawdziwym, lecz także wydumanym? I że PiS nie robi kompletnie nic, żeby te emocje wygasić. Ba, przeciwnie, nawet je napędza?

Ma to tyle wspólnego z rzeczywistością co opowieści o czołgach na ulicach i dyktaturze. Kompletnie nie dostrzegam takich emocji. Widzę za to świetnie inną, paskudną narrację, obecną wśród establishmentu – jego przedstawiciele zaczęli publicznie szydzić z Polaków, którzy, otrzymawszy pieniądze z programu „500+”, pojechali pierwszy raz nad morze, na wakacje, kupili używany samochód czy nowy telewizor. Wylała się na nich potężna fala nienawiści, i to pochodząca od tych, od których akurat można by oczekiwać największego zrozumienia dla gorzej sytuowanych, bo zawsze mieli usta pełne frazesów o tym, że trzeba o nich pamiętać.

Mam wrażenie, że uparcie nie chcesz dostrzegać, iż obecna władza rozjeżdża się ze swoimi własnymi obietnicami. Miała być skromna, miała słuchać ludzi. Zamiast tego są: Misiewicz, Macierewicz pędzący na „bombach” z Torunia na uroczystość zaprzyjaźnionego tygodnika w Warszawie, Sasin, prezentujący bez żadnej konsultacji z ludźmi plan na metropolię warszawską, a obywatelskie projekty są w Sejmie odrzucane lub odkładane, bo nie wyszły z PiS. Nie tak miało być.

No to spójrzmy, co jest. W 2016 r. mieliśmy po raz pierwszy do czynienia z realną redystrybucją dóbr na rzecz obywateli. Tymczasem Platforma Obywatelska przez osiem lat wmawiała nam, że tego nie da się zrobić. PiS dowiódł, że jest inaczej. Tak samo jak dowiódł, że można choćby uszczelnić system podatku VAT, można walczyć

z mafią paliwową i nie tylko z nią. Przecież skala wyłudzeń była gigantyczna! I dało się? Dało. Ogromne sukcesy ma na koncie często pomijana minister Anna Streżyńska. Na jej tle jej poprzednik, Andrzej Halicki, wypada gorzej niż mizernie. Czy to mało? Co jeszcze miałby PiS zrobić w tak krótkim czasie? Faktycznie, błędy się zdarzają. Trudno, żeby ich nie było przy tak skomplikowanej misji. Owszem PiS ma czasem kłopoty z komunikacją, którymi sama jestem zdziwiona, pamiętając znakomity PR Andrzeja Dudy w kampanii i bardzo dobrą strategię wizerunkową PiS przed wyborami do parlamentu. To było widać choćby podczas czarnego protestu, gdy PiS nie był w stanie przebić się z informacją, że kontrowersyjny projekt nie jest jego autorstwa. Wolałbyś jednak, żeby Tusk przez dwie kolejne kadencje opowiadał bajki o zielonej wyspie, będące od początku do końca kłamstwem?

To, co mówisz, przypomina mi dawną taktykę PO. Bronisław Komorowski w swojej kampanii uwielbiał używać jako punktu odniesienia roku 1989. Mówił: „No, może nie jest idealnie, ale przecież, ho, ho, ho, ile osiągnęliśmy od tamtego czasu!”. Ty mówisz: „Nie jest idealnie, ale czy wolisz powrót PO?”

Jakkolwiek byś zaklinał rzeczywistość, PiS zrobił bardzo dużo, w dodatku w bardzo trudnej sytuacji wewnętrznej i zewnętrznej. Przy opozycji balansującej na granicy łamania prawa i otoczeniu międzynarodowym otwarcie walczącym z obecną władzą.

Nie przeszkadza ci, że PiS wszedł gładko w filozofię Kalego? Gdy był w opozycji, sam zaprojektował pakiet demokratyczny – zbiór przepisów, które miały polepszyć sytuację opozycji w Sejmie. Obiecywał, że uchwalił je natychmiast po dojściu do władzy. Nie uchwalił do tej pory. W opozycji PiS był za likwidacją gabinetów politycznych ministrów. Kiedy objął władzę, stwierdził, że gabinety polityczne są jednak bardzo potrzebne.

Za daleko idące twierdzenie. Projekt realizowany przez PiS to przebudowa demokracji, która do tej pory miała charakter korporacyjny, gdzie kawałki państwa oddane zostały w dzierżawę wpływowym grupom. Istota demokracji została sprowadzona do rytuału głosowania, w którym ktokolwiek by wygrał, to i tak rządzą ci sami. O jakich zatem prawach dla opozycji mówimy? O prawie do blokowania mównicy? O prawie grzebania w rzeczach posłów PiS? Czy

o prawie do podważania interesu Polski na dowolnym forum międzynarodowym? Obecna opozycja wyszła daleko poza ramy, które nazwalibyśmy konstruktywnymi. Nie debatuje, nie zgłasza projektów, skupia się jedynie na realizacji niemożliwego planu doprowadzenia do obalenia rządu i przedterminowych wyborów.

A to, że PiS nie wszystko realizuje, skomentuję pytaniem otwartym o to, jak poprzednie rządy realizowały swoje programy wyborcze? Także na tym tle PiS wypada przytłaczająco pozytywnie.

Czy Jarosław Kaczyński jest geniuszem?

Na pewno jest wybitnym politycznym strategiem. Realizuje wizję Polski, wobec której opozycja jest kompletnie bezsilna. Potrafi w paru krótkich zdaniach sprowadzić opozycję do parteru i wykazać jej porażającą indolencję intelektualną.

Co go różni od innych polskich polityków?

Prezesa Kaczyńskiego? Różni go od innych polityków wszystko. Nie ma dziś w Polsce innej osoby, która miałaby całościową wizję Polski. Można się z nią nie zgadzać, można ją kontestować, ale jest to plan dla Polski. Żaden z polityków opozycji nie jest w stanie przedstawić konkurencyjnej wizji państwa. Liderzy opozycji grają w innej lidze. Niestety, podwórkowej.

Słucham cię i myślę, że znacznie lepiej sprawdziłabyś się w roli rzeczniczki rządu niż Rafał Bochenek.

Jest mi dobrze tu, gdzie jestem – w bardzo ciekawym miejscu dziennikarsko i naukowo. Dzięki moim działaniom do Krakowa wróciły właśnie z Austrii trzy dzieła sztuki. Po raz pierwszy syn hitlerowskiego zbrodniarza zwrócił zrabowane z naszej ojczyzny zabytki, mówiąc przy tym, że „chce być przykładem dla innych Niemców i Austriaków, którzy przetrzymują skradzione z Polski dzieła”. Jego słowa odbiły się echem na całym świecie, prasa międzynarodowa pisała szeroko o tym wydarzeniu. Jednak w przeciwieństwie do niektórych, którzy uwielbiają się krygować, nigdy nie mówiłam ani nie powiem, że na pewno kiedyś nie powrócę do polityki. Jeśli jednak tak się stanie, to jest to melodia bardzo dalekiej przyszłości.



„Kłątwa” to demonstracja wrogości, przekraczająca dotychczasowe najgorsze wyczyny antykościelnych obrazoburców

FOT. KRYSZTIAN MAJ/FORUM



Piotr Semka

Sprawa „Kłątwy” pokazała, że zdecydowane stawianie katolików w obronie swoich praw ma posmak radykalizmu. Czas postawić pytania o formę ochrony uczuć religijnych

Niepewne siebie pokolenie JP II

Gdyby jeszcze 10 lat temu ktoś zapowiedział wystawienie w stolicy Polski sztuki, w której na stryczku wieszano by papieża Polaka, wielu katolików byłoby pewnych, że reakcją będą masowe protesty. Jeśli nie wielotysięczne demonstracje, to przynajmniej liczne listy protestacyjne od ludzi, dla których Jan Paweł II był kimś ważnym. Teraz – trzy tygodnie po wybuchu skandalu wokół spektaklu „Kłątwa” w Teatrze Powszechnym w Warszawie – można odnieść wrażenie, że ludzie wierzący nie do końca są pewni, jak reagować.

Przecież skandalizujący spektakl to klasyczne wydarzenie „graniczne”. Demonstracja wrogości, która przekracza dotychczasowe najgorsze wyczyny antykościelnych obrazoburców. A jednak nawet w środowisku ludzi otwartych na eksperymenty artystyczne, ale zachowujących elementarny szacunek dla tradycji zbiorowej, nie słychać żadnych głosów potępienia. W odróżnieniu od przeszłych konfliktów tego typu nie ma żadnych głosów dystansu ze strony polityków Platformy Obywatelskiej, choć to właśnie członkini tej partii, prezydent Warszawy, patronuje skandalicznemu ekscesowi w teatrze podległym stołecznemu magistratowi. Przy tych rozważaniach najważniejsza jest jednak próba oceny reakcji szeroko rozumianej katolickiej opinii publicznej. Można wskazać trzy typy reakcji na sztukę w reżyserii Olivera Frlijicia.

POLACY, NIC SIĘ NIE STAŁO?

Pierwszy typ reakcji to jej brak. To postawa środowisk katolicyzmu otwartego, które nabrały wody w usta. Krytycy „Znaku”, „Tygodnika Powszechnego” i „Więzi” mogą oczywiście wskazywać, że nie jest to zaskoczenie, ale mimo wszystko taki paraliż przykuwa uwagę. Wydawałoby się, że tak wulgarnie uderzenie w postać Jana Pawła II powinno skłonić do protestu nawet tych, którzy wcześniej usprawiedliwiali daleko idące eksperymenty artystyczne. Tymczasem milczą ludzie, którzy jeszcze niedawno chwalili się zaproszeniami do Watykanu w latach 80. czy 90. Nie mają ochoty na żadne listy protestacyjne uczestnicy intelektualnych dyskusji w Ogrodach Watykańskich czy Castel Gandolfo. Jedyną reakcją, która rzuca się w oczy na portalach „katolików otwartych”, jest tekst ks. Andrzeja Draguły na stronach Laboratorium Więzi. Liberalny kapłan bardziej ubolewa w nim jednak nad tym, że spektakl utrudni

dyskusję na temat błędów Kościoła, niż oburza się na tak wyzywającą agresję: „Ktoś mi napisał, że »księża powinni to oglądać obowiązkowo, żeby zrozumieć, dlaczego ludzie tak radykalnie odrzucają Kościół«. Takie myślenie dowodzi zupełnego niezrozumienia. Ci bowiem, którzy rozumieją, nie potrzebują tego spektaklu. A ci, którzy nie rozumieją, jeszcze bardziej nie będą rozumieć, a przeciwnie – utwierdzą się jedynie w przekonaniu, że mają rację [...]». »Świat artystyczny« się wykrzyczał, a »świat katolicki« się obraził!”

Wśród części mainstreamowych dziennikarzy, którzy lubią sytuować się w tzw. środku, dość powszechna była krytyka spektaklu, ale z koniecznym zastrzeżeniem, że niepotrzebne są jakiejkolwiek kroki prawne. Dobrym przykładem tego stylu był tweet komentatora Konrada Piaseckiego: „»Kłątwa« nadużywa estetyki szoku, skandalu, czystej prowokacji, ale to nie powód, by wszczynać w jej sprawie śledztwo”. Jedynie Jan Wróbel na antenie TOK FM dał upust swojemu oburzeniu i wygarnął: „Gdybym chciał młodzież szkolną, ale i starsze osoby, zaprowadzić, żeby wytłumaczyć, jak się rodzi faszyzm, jak się rodzi hitleryzm, to właśnie trzeba

iść na »Kłatwę«. To jest hitlerowskie przedstawienie oparte całkowicie na zasadzie: nienawidź, czyli, co chcesz, nienawidź cię wyzwoli”.

SKUPMY SIĘ TYLKO NA MODLITWIE?

Drugi typ dominujących reakcji na „Kłatwę” to postawa niekiedy bardzo dojmującego nazwania zła spektaklu po imieniu, ale z jednoczesnym położeniem akcentu na reagowanie na profanację modlitwą lub promowaniem dobrych wzorców.

Najważniejszy był tutaj głos Konferencji Episkopatu Polski. W oświadczeniu przedstawionym przez rzecznika KEP bardzo wyraźnie potępiono widowisko. „Podczas spektaklu dokonuje się publiczna profanacja krzyża, przez co ranione są uczucia religijne chrześcijan, dla których krzyż jest świętością”. Biskupi podkreślają, że „nie może być przyzwolenia na nawoływanie do nienawiści i deprecjowania ludzkiego życia”.

Jednocześnie komunikat KEP wyraźnie wskazuje wiernym sposób reakcji: „Odpowiedzią na spektakl »Kłątwa« [...] niech będzie modlitwa wynagradzająca za bluźnierstwo oraz promocja wartości

m.in. w środkach społecznego przekazu w myśl słów: »Zło dobrem zwyciężaj!«”.

Oświadczenie Episkopatu Polski było impulsem do wielu nabożeństw ekspiacyjnych. Między innymi w sanktuarium w Łagiewnikach po każdej mszy odprawiane były nabożeństwa pokutne za bluźnierstwa w Warszawie. W bazylice na Jasnej Górze odprawiono 40-godzinne nabożeństwo Adoracji Najświętszego Sakramentu, podczas którego modlono się o przebaczenie za bluźnierczy spektakl. Niektórzy biskupi, np. biskup kielecki Jan Piotrowski, polecieli odczytanie komunikatu KEP na temat „Kłatwy” 26 lutego podczas niedzielnych mszy.

Ten typ reakcji widoczny był też w komentarzu Bogusława Łozińskiego na portalu „Gościa Niedzielnego”. Łoziński pisał: „Po tego typu wydarzeniach człowiek wierzący zastanawia się, jak zareagować [...], czy powinniśmy organizować publiczne manifestacje nawołujące do bojkotu przedstawienia? [...] Możemy też złożyć do prokuratury doniesienia o podejrzeniu popełnienia przestępstwa znieważenia uczuć religijnych. [...] Mam jednak wątpliwości. Wszystkie te drogi przyczyniają się do jeszcze większego

REKLAMA

PODRÓŻ W CZASIE Z ZEPPELIN LZ 126

Nowa kolekcja zegarków marki Zeppelin nawiązuje do historycznego sterowca LZ 126. Był to pierwszy powietrzny statek pasażerski, który pokonywał trasę z Europy do Nowego Jorku w rekordowym jak na ówczesne warunki czasie 81 godzin.

Zegarki Zeppelin „LZ 126 Los Angeles” to szlachetna, naturalna kolorystyka, a także design i najwyższa jakość wykonania Made in Germany. W zależności od modelu, zegarek posiada funkcję chronografu lub umożliwia wskazanie drugiego czasu. Dodatkowo na tarczy znajduje się czytelny datownik oraz skala pulsometryczna bądź tachometryczna. Wszystkie zegarki są ręcznie produkowane w niewielkiej niemieckiej manufakturze. Ich precyzję zapewniają szwajcarskie oraz japońskie mechanizmy kwarcowe.

Potwierdza to, że zegarki Zeppelin są idealnym wyborem dla konsekwentów oryginalnych czasomierzy w stylu retro.

Pełna kolekcja jest już dostępna w butikach Swiss i na swiss.com.pl



CENA: **1290 zł**

■ nagłośnienia przedstawienia. Rodzi się pytanie, czy podejmując takie działania, nie uczestniczymy w scenariuszu autórów przedstawienia”.

Motyw „nie reagujmy, bo oni tylko na to liczą” pojawił się też w tekstach publicystycznych czy to mojego kolegi po piórze Łukasza Warzechy na łamach „Do Rzeczy”, czy Liliany Sonik w „Rzeczpospolitej”. Nawet jeden z najsurowszych krytyków „Kłatwy” Piotr Zaremba wyraźnie wzdragał się przed prawnymi krokami przeciw przedstawieniu. Na łamach „W Sieci” przestrzegał, by „nie zmieniać krzywdzących w krzywdzonych”.

Wszystkie te zastrzeżenia pokazują, jak nieuczciwe były próby przedstawiania krytyków sztuki jako sfory złaknionych represji wobec teatru zwolenników karan. Jednocześnie jednak pokazywały, jak wyraźnie postulat prawa do ochrony przed znieważaniem uczuć religijnych uważany jest już za coś skrajnego, za posuwanie się niezwykle daleko.

PRAWO JEST PRAWEM?

Na tym tle zupełnie inną filozofię myślenia prezentowało stowarzyszenie Ordo Iuris. To środowisko prawnicze związane z konserwatywnym ruchem Stowarzyszenia im. ks. Piotra Skargi rozpoczęło akcję, która zakończyła się zebraniem ok. 300 tys. podpisów pod petycją wzywającą prezydent Warszawy do obciążenia funduszy dla Teatru Powszechnego, instytucji w demonstracyjny sposób obrażającej uczucia ludzi wierzących. Ordo Iuris zadeklarowało też bezpłatną pomoc zbulwersowanym „Kłatwą”, którzy chcieliby złożyć doniesienie do prokuratury o obrazę uczuć religijnych. Wreszcie instytut wysłał do najważniejszych urzędników Rady Europejskiej raport o niepokojącym przypadku wzywania do nienawiści podczas spektaklu.

Na tym tle bardziej widoczne, choć mniej nośne, były pikietki pod Teatrem Powszechnym zorganizowane przez Ruch Narodowy i ONR. Hasła na trzymanych przez demonstrantów transparentach były dość agresywne, np.: „Teatr to nie burdel”. Notabene politycy PiS starali się w całym sporze zachowywać umiar. Jedynie jeden z młodych i najbardziej krewkich posłów Prawa i Sprawiedliwości, Dominik Tarczyński, ogłosił, że składa odpowiednie zawiadomienie do prokuratury. Inni politycy rządzącej partii byli o wiele bardziej powściągliwi.

Podległa ministrowi Ziobrze prokuratura zapowiedziała wszczęcie śledztwa w sprawie podejrzenia obrazy uczuć religijnych z urzędu.

ZAPOMNIANA AKTYWNOŚĆ

Porównanie tych trzech reakcji na bulwersujący spektakl skłania do wniosku, że aktywna postawa w obronie poszanowania prawa do ochrony uczuć religijnych jest zachowaniem wyraźnie mniejszościowym. Wiele komentarzy zachęcających do skupienia się na modlitwie i lansowaniu dobrych wzorców sprawia wrażenie, jakby demonstracje i korzystanie z obywatelskiego prawa zgłaszania prokuraturze, że czyjeś dobra są naruszone, nabrały wśród wielu katolików posmaku ryzykownego radykalizmu. Porusza to problem, który towarzyszy Kościołowi katolickiemu cały czas po 1989 r. Czy polityce Episkopatu Polski ma towarzyszyć jakaś aktywność akcyjna wiernych i w jakiej formie łączności z biskupami? Przez pewien czas wydawało się, że taką społeczną formą samoorganizowania się katolików może być Akcja Katolicka. Jednak z perspektywy dwóch dekad jej działalności widać już, że nie jest ona żadnym szerszym ruchem społecznym. Tę lukę wypełniła przez te lata Rodzina Radia Maryja, ale po demonstracjach sprzed paru lat na rzecz przyznania telewizji Trwam częstotliwości aktywności radiomaryjni także byli wobec sprawy „Kłatwy” dość wstrzemięźliwi.

Postulat ochrony uczuć religijnych powinien mieć zarówno duchowy wymiar, jak i status prawa obywatelskiego

Obawy biskupów przed jakimiś ruchami aktywności obywatelskiej ludzi wierzących nie są oczywiście pozbawione głębszych podstaw. Pojawiają się pytania, czy ruch taki nie poszedłby w kierunku pewnego radykalizmu lub polityzacji, nad którym to zjawiskiem hierarchom trudno byłoby zapanować. Tyle że już końcowa faza rządów Donalda Tuska, a potem Ewy Kopacz pokazała, że ewolucja obozu Platformy Obywatelskiej zmierzała w kierunku zderzenia z odczuciami ludzi wierzących. Co więcej, dziś już się zapomina, że w działaniach rządu PO bywały takie,

które były wprost zapowiadane jako kontrolowanie Kościoła. Tak było z planami likwidacji Funduszu Kościelnego i wprowadzenia do zeznań podatkowych odpisów na wybrane Kościoły. Minister Michał Boni nie krył wówczas, że może to uzmysłowić Kościołowi, iż brak zmian w stosunku do wyzwań obyczajowych odbije się na skali wpływów do kościelnej kasy. Jeśli do władzy powróci opozycja, to liberalni ideolodzy już dziś wskazują, że „Polska po PiS-ie” musi być krajem daleko idącej rewolucji obyczajowej i ukarania Kościoła za wspieranie dobrej zmiany. Pewnym zwiastunem tego nowego, niezwykle agresywnego jak na polskie warunki stosunku, sposobu odnoszenia się do Kościoła jest wojna prezydenta Poznania Jacka Jaśkowiaka o pomnik Chrystusa Króla.

Uprawnione jest więc podejrzenie, czy już teraz, unikając demonstracji w obronie ochrony uczuć religijnych, Kościół nie odsuwa na „święte nigdy” pytania o formy obrony praw ludzi wierzących? Tradycja samoorganizacji katolików w obronie swoich praw jest w Polsce dosyć słaba w odróżnieniu np. od Czech i Słowacji. W PRL Kościół był relatywnie silny i mógł sam negocjować z władzą bez posilkowania się komitetami świeckich katolików. Także dziś wielu biskupów odnosi się z dużą rezerwą do oddolnych inicjatyw, zawsze stawiając na pierwszym planie pytanie, czy taka aktywność nie będzie obciążeniem dla autorytetu Kościoła.

Jeśli jednak właśnie teraz, kiedy rządzi partia przyjazna Kościołowi, nie będzie refleksji nad tym, jak mogłoby wyglądać partnerstwo między Episkopatem a takimi ruchami jak np. Ordo Iuris, to kiedy ma być? Czy wtedy, gdy do władzy dojdą bardzo już antyklerykalna Platforma lub Nowoczesna, o lewicy nie wspominając? Punktem odniesienia dla polskich biskupów mogłyby być wielotysięczne demonstracje dotyczące ochrony rodziny we Francji, które zaskoczyły opinię publiczną parę lat temu. Politycy nie zastąpią samoorganizacji katolików. A postulat ochrony uczuć religijnych powinien mieć zarówno duchowy wymiar, jak i status prawa obywatelskiego, którego łamanie oznacza spychanie ludzi wierzących do grupy obywateli drugiej kategorii.

Nie widać wśród czołówki polskiego Episkopatu żadnej refleksji na ten temat. A od tej sprawy w perspektywie paru lat nie da się uciec.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



**Z Antonim Macierewiczem,
ministrem obrony narodowej**
rozmawia Maciej Pieczyński

FOT. BEATA ZAWRZEŁ/REPORTER

Wymieniłem prawie wszystkich dowódców

MACIEJ PIECZYŃSKI: Powiedział pan, że żołnierze niezłomni są częścią armii polskiej. Dlaczego ta tradycja jest tak ważna?

ANTONI MACIEREWICZ: Wciąż jesteśmy na etapie odbudowywania tożsamości narodowej po kilkudziesięcioletniej okupacji sowieckiej – militarnej i społeczno-ideowej. Okupanci próbowali dokonać głębokiej zmiany tożsamości Polaków poprzez fizyczne oraz ideowe niszczenie elit i kreowanie w jej miejsce nowych, propagujących treści przeciwne tysiącletniej tradycji narodu polskiego. Ideowo podporządkowywano nas socjalizmowi, politycznie zaś – imperium rosyjskiemu. Przez całe dziesięciolecie walka o niepodległość była czynem nagannym, który nie tylko zwalczano, lecz także ośmieszano, przedstawiając jej uczestników jako „zaplute karły reakcji”, bandytów i morderców. Polscy patrioci byli niszczeni fizycznie oraz piętnowani przez brutalną i nachalną propagandę. Nie ma takich kłamstw ani podłości, których by nie powiedziano ani nie napisano o tych Polakach, którzy walczyli przeciwko Sowietom. Zatrudniano zgraję pismaków zwanych dziennikarzami, hodowano pseudopietów i pseudopisarzy, produkowano filmy i audycje radiowe mające bohaterów przedstawić w jak najgorszym świetle. Polacy mieli zapomnieć raz na zawsze o czasach swojej wielkości, ale przede wszystkim mieli się wyrzec wartości, które ukształtowały nas jako naród. Wśród tych wartości najbardziej atakowana była idea niepodległości narodowej, szacunek dla własnego państwa odgrywającego kluczową rolę w europejskiej rodzinie narodów. Żołnierze niezłomni w sposób najbardziej dobitny dawali wyraz polskim dążeniom niepodległościowym – walczyli o nią z bronią w ręku. Stalin niczego tak się nie bał i niczego tak nie szanował jak siły zbrojnej. Niezłomni pokazali, że można było przez całe długie lata skutecznie opierać się sowieckiej okupacji. Przekazali tę tradycję następnym pokoleniom. Byli źródłem inspiracji do kolejnych zrywów niepodległościowych. Byli prawdziwym wojskiem polskim w czasach, gdy mianem tym nazywano tylko kolaborantów. Przywracanie ich pamięci, pokazywanie ich prawdziwej historii jest najważniejszym działaniem wychowawczym dla narodu i wojska, bo pokazuje prawdziwe wartości i prawdziwe źródła naszej państwowości. Dzisiaj

odbudowa ciągłości tradycji niepodległościowych jest szczególnie istotna ze względu na konieczność przeciwstawiania się potencjalnym zagrożeniom ze wschodu – nie tylko ideowym i gospodarczym, lecz także – od ataku na Gruzję w 2008 r. – militarnym. Co się dzieje z wojskiem, któremu brakuje tożsamości i tradycji niepodległościowych, mogliśmy obserwować na Krymie w 2014 r., kiedy to bardzo dobrze wyposażone oddziały ukraińskie po prostu przechodziły na stronę rosyjską.

Dlaczego objął pan honorowy patronat nad Biegiem Pamięci Żołnierzy Wyklętych „Tropem Wilczym”?

Takie inicjatywy popularyzatorskie są ważnym elementem przybliżania Polakom tradycji niepodległościowej, tak aby była ona obecna nie tylko w formie świątecznego patosu, lecz także na co dzień. Sport jest skutecznym sposobem realizacji tej idei, dostępnym zarówno dla młodych, jak i starszych. Jeśli ktoś przebiegnie kilka kilometrów,

pokolenia młodych mężczyzn, którzy nigdy nie podjęli takich ćwiczeń. Ba! Doszło do tego, że niektórzy rodzice nie są w stanie sobie wyobrazić, aby ich „chłopcy” kiedykolwiek wzięli do ręki karabin. Przygotowanie wojskowe powinno być naturalnym elementem dorastania każdego młodego mężczyzny. I to bez względu na to, czy mówimy o przyszłym żołnierzu, nauczycielu czy rolniku. Niestety, decyzje z ostatnich lat spowodowały, że zostaliśmy spacyfikowani, moralnie i fizycznie rozbrownieni.

Może więc powinniśmy poszerzyć dostęp obywateli do broni?

Trzeba przywrócić w szkołach zajęcia z przysposobienia wojskowego, zwiększyć liczbę szkół i klas mundurowych, rozbudować armię, w tym jednostki obrony terytorialnej. Te działania w sposób naturalny przygotowują społeczeństwo także do poszerzania prywatnego, cywilnego dostępu do broni. Nie należy liberalizować przepisów dotyczących pozwolenia na broń w sytuacji,

Przygotowanie wojskowe powinno być naturalnym elementem dorastania każdego młodego mężczyzny. I to bez względu na to, czy mówimy o przyszłym żołnierzu, nauczycielu czy rolniku

mając świadomość, że bierze udział w wydarzeniu związanym z uhonorowaniem żołnierzy niezłomnych, prędzej czy później sięgnie po artykuł lub historyczną książkę, obejrzy film na ten temat, bo jego wysiłek i satysfakcja z pokonania własnych słabości przybliży go do etosu tamtych bohaterów. A oprócz tego – czyż to nie wspaniałe, że od Chicago, Nowego Jorku przez Australię, Wilno i Warszawę we wspólnym biegu biorą udział tysiące Polaków w imię pamięci Danuty Siedzikówny „Inki”, Pileckiego, Łupaszki, „Ognia”, „Warszyca” i tysiąca innych bohaterów? A do tej akcji włączają się także amerykańscy żołnierze od niedawna stacjonujący na polskiej ziemi.

A przy okazji popularyzacja historii poprzez sport kształtuje tężyznę fizyczną, której chyba dziś brakuje...

Rozwijanie sprawności, odporności fizycznej i psychicznej jest niesłychanie istotnym narzędziem w formowaniu młodzieży. Niestety, wyrosły nam całe

gdy większość społeczeństwa nigdy wcześniej nie miała z nią do czynienia, nie umie się nią posługiwać, co w połączeniu z rosnącą agresją w mediach może przynieść niepożądane skutki. Po kilkuletnim obyciu z bronią kolejnych pokoleń młodych Polaków poszerzenie dostępu do niej będzie jednak jak najbardziej możliwe.

Obrona terytorialna ma kontynuować tradycje żołnierzy niezłomnych i Armii Krajowej?

W pewnym sensie tak jest. Idea powszechnej obrony, armii obywatelskiej jest częścią polskiej tradycji narodowej już od czasów I Rzeczypospolitej. Chodzi jednak przede wszystkim o wzmocnienie armii regularnej, a nie o oddziały pomocnicze ani quasi-policyjne. OT powstała w odpowiedzi na spontaniczny, oddolny ruch młodzieży, która po tragedii smoleńskiej, a potem po wybuchu wojny na Ukrainie zaczęła masowo organizować się w ramach stowarzyszeń proobronnych. Hybrydowy cha-

rakter agresji rosyjskiej, polegający na wykorzystywaniu grup ludzi udających żywiłowe masy zbuntowanych cywili proszących o pomoc Moskwę, jest nowym typem zagrożenia wymagającym zmiany relacji między wojskiem a społeczeństwem. Poprzednie dwie dekady doprowadziły w Polsce i wielu innych krajach do rezygnacji z powszechnego poboru na rzecz wojska zawodowego. Takie rozwiązanie ma swoje zalety, bo daje możliwość wykształcenia wysokiej klasy specjalistów, ale jednocześnie prowadzi do izolacji armii od społeczeństwa. Żołnierz, zamiast bronić kraju, po prostu wykonuje swoją pracę w określonych godzinach, po czym idzie do domu i zapomina o obowiązkach. Taka armia nie jest w stanie pokryć swoim oddziaływaniem całego społeczeństwa i całego kraju, dlatego jest mniej odporna na atak hybrydowy. Wszyscy poważni analitycy zachodni podkreślają, że wobec groźby konfliktu prowadzonego za pomocą niekonwencjonalnych środków, działań terrorystycznych i propagandowych, wywiadowczych czy cyberataku współpraca sił zbrojnych z lokalnymi społecznościami jest konieczna. Platforma Obywatelska lekceważąca takie zagrożenia i torpedująca wzmocnienie oraz rozwój armii jest ewenementem na skalę światową. Działa po prostu przeciwko polskiej racji stanu!

Na Ukrainie „zielone ludziki” odniosły sukces, bo na Krymie czy w Donbasie był podatny grunt w postaci nastrojów prorosyjskich. W Polsce nie byłoby tak łatwo.

To prawda, że tendencje prorosyjskie są w Polsce dużo mniejsze niż na wschodzie Ukrainy czy w niektórych innych krajach. U nas zagrożenie jest innego typu. Po pierwsze, mam na myśli wspomniany pacyfizm, tworzenie z armii wysoko wyspecjalizowanej maszyny odizolowanej od obywatela. Naprawa tego stanu potrwa. Po drugie, mamy do czynienia z silnym oddziaływaniem ośrodków propagandowych, które pod niebiosa wychwalają doświadczenia komunistyczne, czyniąc z Kiszczaka czy Jaruzelskiego „ludzi honoru”. Te środowiska świadomie zwalczają patriotyzm. Warto wspomnieć, że ci ludzie jeszcze kilka lat temu uważali Putina za polityka, z którym koniecznie trzeba współpracować. Atakowali przy tym działania prezydenta Lecha Kaczyńskiego jako rzekomo nieodpowiedzialne, sprzeczne

z polskimi interesami ekonomicznymi i polską racją stanu, które – jak można sądzić – najwyraźniej upatrywali na Kremlu. Jeden z idoli tego środowiska chciał nawet Rosję widzieć w NATO! Dziś zawarli ścisły sojusz z aparatem komunistycznym i razem organizowali pucz przeciwko rządowi. To przecież ludzie z WSI i SB byli najbardziej aktywnymi prowodyrami nie tylko na ulicach, lecz także w działaniach propagandowych. Trzeba więc sobie zdawać sprawę z faktu, że w Polsce zagrożenie atakiem hybrydowym ma inny charakter niż na wschodzie Ukrainy czy na zachodzie Europy. Może przybrać kształt wewnętrznej dywersji wspierającej Rosję jako mniejsze zło w porównaniu z niepodległą Polską rządzoną przez Prawo i Sprawiedliwość. Przecież wciąż wiele stanowisk w aparacie administracyjnym na szczeblu zarówno samorządowym, jak i centralnym zajmują urzędnicy wywodzący się ze środowisk komunistycznych. Wspomnę tylko, że po objęciu ministerstwa dowiedziałem się, iż 750 oświadczeń lustracyjnych pracowników resortu nie zostało przekazanych IPN. Dzięki temu ludzie, którzy współpracowali z SB czy z WSW, często utrzymali się na swoich stanowiskach. No a powierzenie zadania kształtowania przyszłej kadry oficerskiej człowiekowi z WSW i WSI nie wymaga chyba komentarzy, zwłaszcza że dziś ten człowiek jest gloryfikowany przez PO jako ofiara urządzanych przeze mnie czystek...

Naprawdę dostrzega pan w „puczu”, czy jak mówią inni „ciamajdanie”, ślad rosyjski? To poważne oskarżenie.

Każde oskarżenie dotyczące bezpieczeństwa państwa ma charakter poważny. Jednak niewskazywanie nawet na potencjalne zagrożenia dla bezpieczeństwa państwa jest zjawiskiem groźnym. Zdobywajmy wiedzę, by móc zawczasu je unaocznić, nie unikajmy mówienia o nich tylko dlatego, że ktoś w telewizji krzyknie: „To poważne oskarżenie!”. To przecież niebywałe: wrogowie Polski mogą publicznie wygadywać najgorsze rzeczy, a obrońcom niepodległości zamyka się usta. Takie działania doprowadziły w przeszłości do tego, że mimo ujawnienia faktu agenturalności Lecha Wałęsy już w 1992 r. przez ministra spraw wewnętrznych przez następne 25 lat szykanowano tych, którzy ośmielili się mówić lub pisać prawdę. A dziś

nikt nie czuje się odpowiedzialny za zmarnowane lata, zniszczone możliwości rozwoju. Żaden z dziennikarzy i polityków, którzy przez te wszystkie lata obrażali mnie, nie uznał za stosowne powiedzieć: „To ja się myliłem”. Wychowano w kłamstwie kilka pokoleń, ale odpowiedzialnych nie ma. Naprawdę czas, byśmy się wyzwolili z tego chocholego tańca, który zatruwa nasze umysły i paraliżuje wolę. Gdy więc znowu słyszę: „To poważne oskarżenie”, odpowiadam: „Tak, oskarżam o działanie na szkodę polskiej racji stanu panów Siemoniaka i Mroczyńskiego, którzy mianowali i akceptowali byłego funkcjonariusza WSW na stanowisku rektora Akademii Obrony Narodowej, którzy tolerowali korupcję w wojsku, którzy zmniejszili liczebność polskiej armii w czasach, gdy zagrożenie ze wschodu wzrastało, którzy oskarżali polskich pilotów za tragedię smoleńską, choć musieli wiedzieć, że winę za to ponoszą Rosjanie”.

W grudniowych wydarzeniach w Sejmie widzi pan rękę Moskwy?

Nie wiem, czy była tam moskiewska ręka, ale na pewno był tam głos Moskwy. A to dlatego, że właśnie dla Moskwy standardem i korzystnym działaniem są systematyczne ataki na polski rząd. Zwłaszcza w momencie, gdy udało się nam dokonać historycznego przełomu w polskim systemie bezpieczeństwa, jakim jest obecność wojsk NATO i amerykańskich w Polsce. Kreml zwalcza ten rząd, bo udało nam się zagwarantować bezpieczeństwo militarne państwa polskiego w zakresie, o jakim nasi poprzednicy nawet nie marzyli... W wyobraźni polityków PO mieściły się nadzieje na jakieś doraźne ćwiczenia NATO nad Wisłą, ale już na pewno nie stała obecność tysięcy żołnierzy sojuszniczej armii w naszym kraju. Czy to nie jest dziwne, że nasilenie ataku opozycji na rząd nastąpiło tuż przed rozpoczęciem dyslokacji wojsk USA na terenie Polski? Warto też przypomnieć o systematycznie organizowanych przez KOD protestach w miejscach powitania naszych sojuszników.

Przyjazd Amerykanów to sukces szczytu NATO w Warszawie, ale jednak stacjonują oni głównie w zachodniej części kraju...

To nie jest prawda. Główne siły są nakierowane na obronę przesmyku suwalskiego, aby uniemożliwić Rosjanom

■ odcięcie państw bałtyckich od zaplecza terytorialnego, jakim jest Polska jako tzw. głębia strategiczna dla wojsk NATO. Amerykanie będą stacjonować nie tylko w Żaganiu i Skwierzynie, lecz także w Powidzu i Bemowie Piskim. Obecność wojsk sojuszniczych na zachodzie kraju pozwoliła na podjęcie decyzji o przerzuceniu części sił pancernych na wschodni brzeg Wisły – było to zresztą powodem różnicy zdań z tymi generałami, którzy nie przywykli do myśli o konieczności obrony całości terytorium ojczyzny.

Nie ma ryzyka, że dla wojsk amerykańskich pierwszą linią obrony będzie linia Odry?

Nie. Wojska USA i NATO są w Polsce z dyspozycją „ready fight tonight”, w gotowości do natychmiastowej odpowiedzi na jakąkolwiek agresję zewnętrzną. Natomiast trzeba wziąć pod uwagę również to, że Rosja po ćwiczeniach „Zapad 17” może nie wycofać wojsk z Białorusi. Wówczas bliskość armii Putina do Warszawy przy braku zdolności obrony wschodniego brzegu Wisły może doprowadzić do katastrofy.

Generał Polko stwierdził, że honor polskiego żołnierza nakazuje, abyśmy to my, a nie Amerykańscy sojusznicy, przyjęli na siebie pierwsze uderzenie. To by mogło przypominać 1939 r.

Nie ma żadnej analogii do roku 1939. Ówczesne sojusze pozostały na papierze, bo wojska sprzymierzeńców nie broniły naszych granic. Dziś Amerykanie nie tylko stacjonują na terenie Polski, lecz także mają wyraźny rozkaz pozostawać w ciągłej gotowości do zbrojnej reakcji na agresję. Działania sojusznicze są zsynchronizowane. Nie będziemy specjalnie rzucać polskich oddziałów na pierwszy ogień. Honor jest sprawą fundamentalną dla polskiej armii, ale nie może być przeciwstawiany skuteczności działania na rzecz obrony kraju.

PO, oceniając pracę pańskiego resortu, zwraca uwagę, że ze swoich stanowisk odeszli: szef sztabu generalnego, dowódca generalny sił zbrojnych, dowódcy operacyjni sił zbrojnych i wielu innych „kompetentnych dowódców”.

Nie wiem, dlaczego moi recenzenci ograniczają się tylko do najwyższych stanowisk. Wymieniłem prawie całą kadrę dowódczą jednostek operacyjnych. Nowi ludzie objęli 90 proc. stanowisk dowódczych w Sztabie Generalnym i ponad 80 proc. w Dowództwie Generalnym. Moim celem było uwolnić polską armię

od ludzi, którzy nie są gotowi do nowych zadań strategicznych, jakie stoją przed Polską. Ich mianowania przypadły na czas, kiedy o resorcie obrony decydowali Bronisław Komorowski i ludzie przywiązani do doktryny stwierdzającej, że przez 20 lat będzie panował pokój w naszym regionie, a Rosja nigdy Polski nie zaatakuje. Dowództwo należało zmienić, otworzyć drogi awansu, trzeba szanować żołnierzy szeregowych, zwiększyć liczebność naszej armii. To wszystko wymaga zmian personalnych. Zresztą, poza jednym czy dwoma przypadkami moje decyzje personalne spotkały się ze zrozumieniem

Żaden z moich poprzedników nie przeznaczył na armię kwot takich, jakie udało się nam zainwestować w modernizację wojska. Zrealizowaliśmy 99 proc. planowanych wydatków. Liczę na to, że w 2017 r. zostanie przyjęta ustawa, która zagwarantuje, że co roku na armię będzie wydawane przynajmniej 2 proc. bieżącego PKB. Taki poziom udało nam się zresztą uzyskać w minionym roku. Dojście do 3 proc. PKB w ciągu najbliższych lat to konieczność, jeśli chcemy mieć armię zdolną do obrony naszego państwa! Byłby to równocześnie wielki sukces, zważywszy

Żaden z moich poprzedników nie przeznaczył na armię takich kwot, jakie udało nam się zainwestować w modernizację wojska – mówi szef MON. Na zdjęciu na targach w Ostródzie w 2016 r. FOT. PIOTR PŁACZKOWSKI/REPORTER



samych zainteresowanych. Staram się bowiem okazywać szacunek każdemu dobremu żołnierzowi, także wtedy, kiedy różnimy się co do sposobu rozwiązania danego problemu. Na ich miejsce przyszli ludzie nie mniej kompetentni, gotowi do działania w warunkach zdefiniowanych nowymi zagrożeniami i nową sytuacją strategiczną wytworzoną przez trwałą obecność naszych sojuszników w Polsce i na wschodniej flance NATO.

Jarosław Kaczyński obiecał, że na armię będziemy wydawać 3 proc. PKB. Kiedy to się uda i czy rzeczywiście, przy ogromie wydatków państwa, mamy pieniądze na zbrojenia?

na skalę wyzwań społecznych i gospodarczych, przed którymi stoimy. Trzeba pamiętać, że nie mieliśmy tak komfortowego startu jak państwa Europy Zachodniej, którym plan Marshalla i obecność Amerykanów pomogły zbudować potęgę gospodarczą bez oglądania się na zbrojenia.

Bogdan Klich zarzuca panu zamieszanie wokół śmigłowców. Najpierw caracale, potem zaповідź zakupu blackhawków, a teraz przetarg...

Nie ma żadnego zamieszania poza kłopotami intelektualnymi pana Klicha i jego kolegów. Mam nadzieję, że procedura wyboru producenta śmigłowców

przebiegnie sprawnie i wkrótce okaże się, czy moja intuicja dotycząca blackhawków była trafna, czy może inny typ okaże się lepszy.

Nazwał pan katastrofę smoleńską jednym z etapów rosyjskiej agresji.

I tak byłem w tej sprawie bardzo ostrożny. Inni politycy europejscy wśród tych etapów wymieniali także mord Litwinienki i strącenie samolotu linii malezyjskich nad Donbasem. Każde państwo eksponuje te elementy rosyjskiej agresji, które najbardziej godzą w jego bezpieczeństwo. Dlatego śmierć prezydenta

A może mi pan powiedzieć, dlaczego? Ja nie widzę zasadniczej różnicy. Czy mamy jakiś dokument wiążący w sprawie samolotu linii malezyjskich albo śmierci Litwinienki? Może wyrok sądu? Albo orzeczenie jakiejś międzynarodowej powszechnie uznanej instytucji? Nie mamy. Jednak media holenderskie czy brytyjskie nie piętnują swoich polityków za obronę racji stanu. U nas nawet niektórzy przedstawiciele tzw. prawicowych mediów gotowi są przyłączyć się do nagonki na tych, którzy bronią polskiego interesu.

Co wiemy na tę chwilę o tym, co wydarzyło się w Smoleńsku?

Bardzo dużo. Takie podsumowanie zostanie przedstawione – nie chcę tego czynić teraz w sposób niepełny, wyrywkowy. Jedno mogę jednak powiedzieć: dotychczasowe prace komisji przesądzają w sposób niezbity o odpowiedzialności za katastrofę smoleńską i o odpowiedzialności Donalda Tuska za oddanie postępowania w tej sprawie Rosjanom.

To znaczy?

Opinia publiczna otrzyma wkrótce dokładne i całościowe wyjaśnienie mechanizmów, które doprowadziły do katastrofy. Będzie to wyjaśnienie przyczyn technicznych tragedii oraz wskazanie odpowiedzialności za działania i zaniechania w związku ze śledztwem smoleńskim. Tak jak w pierwszej kwestii sprawstwo Rosjan, tak w drugiej – Donalda Tuska są bezsporne.

Dowódca sił NATO w Europie gen. Scaparrotti obiecał panu przekazanie informacji, jakie sojusznicy mają na temat Smoleńska. Kiedy to nastąpi?

To zależy od uzgodnień, jakie są jeszcze przed nami. Opór wobec idei wyjaśnienia tej sprawy powoduje, że część polityków oraz mediów jest gotowa poruszyć niebo i ziemię, by tylko przeszkodzić naszemu dążeniu do prawdy. Źródłem tej szczególnej „niechęci” jest prawdopodobnie – bo trudno mi znaleźć inną przyczynę – strach przed prawdą.

A jeśliby się okazało, że naprawdę winni są Rosjanie, to co dalej?

Proszę zapytać premiera Holandii i premier Wielkiej Brytanii. Ta psychiczna blokada wobec rosyjskich gróźb, ten strach przed rosyjską potęgą, jak widać, zatrzuwa umysły nie tylko dawnych

sowieckich poputczyków, lecz także prawicowych dziennikarzy. To nieprawdopodobne. Słuchając takich wątpliwości, zastanawiam się, jak Polakom udało się doprowadzić do wyjaśnienia zbrodni katyńskiej?!

Pytam tylko o wątpliwości, jakie się nasuwają.

Metody walki propagandowej niewiele się dzisiaj zmieniły. W 1976 r., zaraz po założeniu KOR, na mojej klatce schodowej rozrzucono ulotki z „informacją”, że molestuję małe dziewczynki. Pomówienia, kłamstwa, próba dyskredytowania – to wszystko dalej trwa w „wielkich mediach”, telewizji, Internecie, na łamach prasy, dzień w dzień...

Jak układają się relacje szefa MON ze zwierzchnikami sił zbrojnych? Mówił się o pańskim konflikcie z prezydentem.

Według mojej oceny – to dobra współpraca. Co do strategii – nigdy nie było między nami żadnej różnicy. To normalne, że pewne konkretne decyzje, np. personalne, muszą być przepracowane i czasem dłużej ustalane. W pełni doceniam i popieram starania pana prezydenta Andrzeja Dudy w sprawie utrwalenia koncepcji Międzymorza. Jest to dokładna kontynuacja myśli niepodległościowej, jaką moje środowisko rozwijało na łamach pisma „Głos”, począwszy od lat 70. A poza tym podczas uroczystości państwowych i spotkań zawsze jestem pod wrażeniem przemówień pana prezydenta.

Nawet prezes Kaczyński na łamach „Do Rzeczy” nazwał Bartłomieja Misiewicza „wizerunkowym problemem”.

W pełni się zgadzam, to problem wizerunkowy. Tak zwana opozycja atakuje nas metodą kłamstwa i dezinformacji, czego najlepszymi przykładami były internetowy skandaliczny filmik Stonogi i umieszczenie informacji na fałszywym koncie na Twitterze. Mimo naszego oficjalnego dementi i moich wyjaśnień na temat źródeł tych informacji z pełną świadomością, że są to treści kłamliwe, ze świętym oburzeniem wielokrotnie powtarzano je i obnoszono po wszystkich portalach i gazetach. Wiem, dlatego podejmują takie działania ludzie szkoleni przez WSI, ale naprawdę nie jestem w stanie zrozumieć, po co robią to media uchodzące za uczciwe...



Lecha Kaczyńskiego, prezydenta Ryszarda Kaczorowskiego, całej elity polskiej armii i polityki jest tym wydarzeniem, o którym musimy mówić zawsze, gdy jest czyniony bilans rozliczeń między Rosją a Zachodem. W Smoleńsku życie stracili oficerowie NATO, o czym bardziej się pamięta w strukturach sojuszu niż w Polsce. Ci, którzy zamykają nam usta w tej sprawie, boją się po prostu, że wyjdzie na jaw ich odpowiedzialność za obronę winnych tej tragedii.

Na rosyjskie sprawstwo w Smoleńsku jest jednak mniej dowodów niż np. na zestrzelenie boeinga nad Donbasem przez separatystów.

Informacja „Financial Timesa” o tym, że premier Beata Szydło miała sondować liderów państw unijnych, by zamiast Donalda Tuska poparły Jacka Saryusza-Wolskiego na stanowisko szefa Rady Europejskiej, zaskoczyła w równym stopniu polityków PiS co Platformy Obywatelskiej. Ci pierwsi nie zaprzeczyli jednak tym doniesieniom, uznając je za przydatne w krajowej rozgrywce, ci drudzy zaś zaapelowali do Saryusza-Wolskiego, by jak najszybciej przeciął te spekulacje. Sam zainteresowany przez cały ubiegły tydzień konsekwentnie milczał, co sprzyjało powstawaniu kolejnych pytań i domysłów.

Politycy PiS nie kryją swojego zadowolenia z takiego rozwoju wydarzeń. Dzięki pojawieniu się w grze nazwiska Saryusza-Wolskiego unikają zarzutu, że nie popierają kandydatur Polaków na ważne unijne stanowiska. Saryusz-Wolski też jest Polakiem, też jest z Platformy, która należy do Europejskiej Partii Ludowej (EPP). Gdyby stanął na czele Rady, nie zmieniałoby to układu sił w unijnych instytucjach.

BURZA W POLSCE

– PiS, grając Jackiem Saryusz-Wolskim, podważa kandydaturę Donalda Tuska, a Saryusz-Wolski jest na tyle dojrzałym politykiem, że wie, w jakiej grze bierze udział. Nie dementując plotek, intencjonalnie umożliwia Prawu i Sprawiedliwości grę przeciwko Tuskowi, a więc szkodzi Polsce. Trudno, by po czymś takim widział dla siebie przyszłość w Platformie – mówi „Do Rzeczy” Paweł Zalewski z PO.

– Chciano, żeby na czele Rady stał Polak, więc jest Polak; żeby był z dużej drużyny, więc jest z EPP; żeby był chadek, jest chadek. Nasi sąsiedzi z Grupy Wyszehradzkiej i Bałkanów chcieli, by był to ktoś z naszego regionu, więc jest – odpowiada Ryszard Czarnecki, wiceprzewodniczący Parlamentu Europejskiego (PiS). – Można by rzec, że to kandydat marzeń – dodaje.

„Gazeta Wyborcza” napisała, że to właśnie Czarnecki wspólnie z Ryszardem Legutką i Jarosławem Gowinem mieli lobbować w rządzie i u Jarosława Kaczyńskiego na rzecz pomysłu wystawienia kandydatury Saryusza-Wolskiego jako alternatywy dla Tuska. – W polityce sukces ma wielu wrogów, więc nie będę spekulował na ten temat. W ostatnim czasie wolę występować jako wykonawca, a nie pomysłodawca – ucina Czarnecki.

Z naszych informacji wynika, że Jarosław Kaczyński był sceptyczny wobec tego pomysłu. Ów sceptycyzm widać było



Kamila Baranowska

Jacek Saryusz-Wolski od dawna był w Platformie marginalizowany i coraz mniej do niej pasował. W ostatnim czasie już całkiem jawnie szedł pod prąd partyjnej narracji

także po jego oszczędnych wypowiedziach na konferencji prasowej, na której został zapytany o tę sprawę. Podczas gdy posłowie PiS na prawo i lewo nie posiadają się z zachwyty nad wiedzą, kompetencjami i doświadczeniem w polityce zagranicznej Saryusza-Wolskiego, Kaczyński nie dał się naciągnąć na podobne oceny, mówiąc, że „to nie ten moment”. Dodał, że „nie zna go dobrze, kilka razy z nim rozmawiał i obserwuje go z daleka”. Chociaż nie zaprzeczył, że wariant z oficjalnym wystawieniem przez Polskę kontrkandydata dla Tuska

istnieje. – Tusk łamie elementarne zasady Unii Europejskiej. Łamie zasadę neutralności, wprost popiera opozycję, która sama nazywa się totalną i chciałaby obalić rząd pozaparlamentarnymi metodami – mówił, tłumacząc, dlaczego Tusk nie może stać na czele Rady Europejskiej.

SPOKÓJ W BRUKSELI

– Zamieszanie wokół Jacka Saryusza-Wolskiego jest w Polsce, w Brukseli go nie widać, to nie jest kandydatura traktowana poważnie, bo nie spełnia nawet niepi-

FOT. FILIP OWIK/NAPP IMAGES/FORUM

sanych warunków – mówi „Do Rzeczy” Bogusław Liberadzki, europoseł SLD. Te niepisane warunki to m.in. założenie, by szefami Rady Europejskiej zostawali politycy z najwyższej półki – byli premierzy lub prezydenci.

Poza tym zdaniem Liberadzkiego kandydaturę Saryusz-Wolskiego zaczęto lansować zbyt późno, by miała szansę powodzenia. Sprawa przewodniczenia Radzie Europejskiej ma bowiem zostać rozstrzygnięta na najbliższym szczycie 9 marca.

– Całe to zamieszanie może albo dodatkowo umocnić Tuska, albo ewentualnie skłonić inne partie do zgłoszenia własnych kandydatów, i na zamieszaniu u chadeków może skorzystać ktoś trzeci. Bardzo niedowartościowani czują się Skandynawowie, którzy mogą chcieć na tym coś ugrać. Socjaldemokraci nie planowali wystawienia własnego kandydata, ale 9 marca przed posiedzeniem Rady będzie spotkanie grupy i tam zapadnie ostateczna decyzja – mówi.

Pytanie, na co ze strony PiS może liczyć Saryusz-Wolski w zamian za zgodę na bycie rywalem Tuska, nawet nieoficjalnym i tylko na użytek krajowy? Media spekulują, że może chodzić o fotel ministra spraw zagranicznych lub wsparcie rządu przy następnym rozdaniu stanowisk komisarzy europejskich. To, że Saryusz-Wolski mógłby zastąpić Witolda Waszczykowskiego, wydaje się jednak mało prawdopodobne. Jarosław Kaczyński, nauczony doświadczeniem, ministerialne stanowiska obsadził ludźmi, do których ma pełne zaufanie i pewność, że będą postępować zgodnie z jego wolą. To dlatego na czele MSZ nie stoi dziś najlepiej do tej funkcji przygotowany Konrad Szymański. Tym bardziej trudno wyobrazić sobie sytuację, w której Kaczyński decyduje się oddać tak ważny resort w ręce kogoś całkiem z zewnątrz. Bardziej prawdopodobna byłaby obietnica wsparcia jego kandydatury w ubieganiu się w 2018 r. o stanowisko komisarza. – Dlaczego Jarosław Kaczyński miałby uznać roszczenia Saryusz-Wolskiego za ważniejsze niż oczekiwania swoich polityków, którzy też mają ambicje i chrapkę na unijne stanowiska? – zastanawia się jeden z posłów Platformy. – Szef MSZ nie wchodzi w grę – mówi z kolei ważny polityk PiS. – A wszystkie pozostałe rzeczy to melodia odległej przyszłości – dodaje.

Rozjazd Saryusz-Wolskiego z PO można było obserwować już od dłuższego czasu. Polityk coraz częściej kwestionował partijną linię i publicznie wyrażał odmienne

zdanie w kluczowych sprawach. Nie poparł rezolucji potępiającej Polskę w Parlamencie Europejskim, co zostało odnotowane w PO, i skrytykował histerię opozycji w sprawie zerwania kontraktu z francuską firmą Airbus na zakup caracali. Mówił, że sprawa „nie jest czymś, co by zasługiwało na taką wrzawę”. – Każde państwo ma prawo wybierać technicznie, ekonomicznie i politycznie najlepsze uzbrojenie. Ja bym nie dramatyzował – mówił w październiku ubiegłego roku w TVN24. Krytykował też Tuska za list wysłany do przywódców UE, w którym ten uznał prezydenturę Donalda Trumpa za „zagrożenie dla Europy”. Kilka tygodni temu na Twitterze tak komentował sprawę wyboru szefa Rady Europejskiej: „Ważne, by Polak był na czele Rady Europejskiej, niestety Warszawa zarzuca PDT [premierowi Donaldowi Tuskowi – przyp. red.] autoryzowanie procedury KE przeciw Polsce oraz instygowanie opozycji”.

OD DAWNA POZA PO

Pod względem kontestowania polityki Platformy Saryusz-Wolski był często porównywany do Kazimierza Ujazdowskiego, który będąc w PiS, w równie otwarty sposób kwestionował posunięcia swojej partii. Ostatecznie Ujazdowski odszedł z PiS. Zdaniem polityków Platformy Saryusz-Wolski powinien uczynić to samo. – Nie realizujesz naszych postulatów, takich jak obrona praworządności w Polsce, nie podzielasz naszych poglądów i w zasadzie powinieś

**Jarosław Kaczyński
nie zaprzeczył, że wariant
oficjalnego wystawienia
przez Polskę kontrkandydata
dla Tuska istnieje**

zrezygnować z członkostwa w PO – mówiła w Radiu TOK FM Hanna Gronkiewicz-Waltz (PO). – Miałam taką rozmowę z Jackiem Saryusz-Wolskim dwa lata temu, z której wynikało, że on już zupełnie czuje się poza Platformą – dodała.

Jacek Saryusz-Wolski w Platformie jest od 2003 r. Do 2010 r. był nawet jej wiceszefem i członkiem zarządu krajowego, czyli najwyższych władz partii. Od 2004 r. jest nieprzerwanie europosem. Pełnił m.in. funkcje wiceprzewodniczącego Parlamentu Europejskiego, przewodniczącego komisji spraw zagranicznych PE, obecnie jest

jednym z wiceprzewodniczących Europejskiej Partii Ludowej. W europarlamencie zajmują go m.in. sprawy bezpieczeństwa energetycznego (często w ostrych słowach krytykuje projekt Nord Stream2, nazywając go „gazową Jałtą”) i sprawy regionu (sytuacja Ukrainy, Białorusi, relacje z Rosją).

Sprawami europejskimi zajmował się od zawsze. Najpierw głównie naukowo. Po studiach i doktoracie z ekonomii na Uniwersytecie Łódzkim wyjechał na studia podyplomowe do Francji – do Centre Européen Universitaire w Nancy. Gdy wrócił, zajmował się wspólnotami europejskimi na Uniwersytecie Łódzkim, później kierował uniwersyteckim Ośrodkiem Badań Europejskich, jest także założycielem Kolum Europejskiego w Natolinie i Instytutu Europejskiego w Łodzi.

Teorię zaczął przekuć na praktykę na początku lat 90., gdy został pełnomocnikiem ds. integracji europejskiej w rządzie Jana Krzysztofa Bieleckiego. W 2000 r. Jerzy Buzek mianował go sekretarzem Komitetu Integracji Europejskiej. To jak dotąd najwyższa funkcja, jaką pełnił w krajowej polityce.

W okresie rządów Platformy nazwisko Saryusz-Wolskiego kilkakrotnie pojawiała się przy okazji przydzielania kluczowych stanowisk. Pojawiało się i szybko zniknęło. W 2007 r. był typowany na szefa MSZ, jednak Tusk ostatecznie postawił na świeży nabytek z PiS, czyli Radosława Sikorskiego, czym Saryusz-Wolski miał się poczuć mocno urażony. Szefem MSZ nie został także w rządzie Ewy Kopacz. Mimo dużego doświadczenia jego nazwisko pominięto też w typowaniu polskich kandydatów na komisarza europejskiego. „Odsunięcie Saryusza i nominacja Bieńkowskiej to chyba najbardziej wymowny przykład pasywności europejskiej polityki Tuska. Donald Tusk pozbawił Polskę twardego punktu w kluczowych instytucjach Unii” – pisał w 2014 r. Kazimierz Ujazdowski, wtedy europoseł PiS. – To kwestia jego ambicji, on nie chce już dłużej czekać, uważa, że należy mu się więcej i że szybciej ugra coś z PiS niż z Platformą, w której czuł się jakoś marginalizowany. To nie fair, bo przecież zawsze startował z list PO, z pierwszego miejsca – mówi poseł PO.

Nasz rozmówca nie dodaje jednak, że Saryusz-Wolski po swoich ostatnich wypowiedziach, kwestionujących linię partii, miał nikłe szanse na obecność na listach PO zarówno w wyborach europejskich w 2019 r., jak i w każdych innych. Może dlatego postanowił zagrać *va banque*?



Agnieszka Niewińska

PiS nie chciał Marka Prawdy na unijnej placówce. Teraz ma go jako przeciwnika w Przedstawicielstwie Komisji Europejskiej w Warszawie

Wybór Prawdy

FOT. XIWIKTOR DUBIŃSKI/PAP

Sędziowie w Polsce „są prześladowani przez różne instytucje publiczne i zastraszani przez »nieznanych sprawców«” – taka informacja miała niedawno trafić do unijnej komisarz Coriny Crețu z Przedstawicielstwa Komisji Europejskiej w Warszawie. TVP Info podało, że w dokumencie padały słowa o nękanii kontrolami podatkowymi członków rodzin sędziów i aktach wandalizmu takich jak „uszkodzenie opon czy hamulców ich samochodów”, których sprawców urzędy państwowe „oczywiście nie są w stanie znaleźć”.

Wicemarszałek Senatu Adam Bielan nazwał stwierdzenia z analizy przygotowanej przez Przedstawicielstwo KE „nieprawdziwymi” i „skandalicznymi”. MSZ napisało, że mają charakter „paskwilancki” i wezwało przedstawiciela KE w Polsce, Marka Prawdę, do ministerstwa.

Prawda przed rokiem został odwołany ze stanowiska ambasadora przy UE i zaraz po tym brukselskie władze mianowały go swoim przedstawicielem w Warszawie. – Ta nominacja była elementem rozgrywki politycznej – uważa dr hab. Piotr Wawrzyk, politolog z Instytutu Europeistyki UW. – Rolą przedstawiciela KE powinna być współpraca i podtrzymywanie dobrych relacji. Czy osoba, która może mieć żal do polskiego rządu o odwołanie z funkcji, jest w stanie z nim teraz dobrze współpracować?

„AMBASADOR EPOKI UŚMIECHÓW”

„Przedstawiciel dyplomatycznej korporacji” i „człowiek cienia, z którego zdaje się ostatnio wychodzić” – słyszę od kilku osób, gdy pytam o Marka Prawdę. Dyplomacją zawodowo zajmuje się od lat 90. Wcześniej rozwijał karierę naukową. W Lipsku studiował ekonomię, w Insty-

tucie Psychologii i Socjologii PAN zajmował się socjologią pracy, w stosunkach polsko-niemieckich specjalizował się jako pracownik Instytutu Studiów Politycznych PAN. – W latach 80. i 90. spotykaliśmy się na wielu konferencjach, bo obaj jesteśmy socjologami i specjalizujemy się w stosunkach polsko-niemieckich – mówi prof. Andrzej Sakson, wykładowca UAM, były dyrektor Instytutu Zachodniego. – Marek Prawda przygotowywał ciekawe i ważne analizy, które cieszyły się sporym zainteresowaniem – wspomina. I dodaje, że kiedy w 2006 r. został ambasadorem Polski w Berlinie, znał fachową literaturę z zakresu stosunków polsko-niemieckich, miał kontakty z niemieckimi kolegami. – Rzadko się zdarza, żeby ktoś mógł zdobyłą wiedzę wykorzystać w praktyce, a w tym przypadku tak było. Wiedza przełożyła się na pracę Marka Prawdy na placówce. Moim zdaniem był jednym z najlepszych polskich ambasadorów

w Niemczech. Był rzecznikiem polskich interesów i miał pozytywny wpływ na proces pojednania polsko-niemieckiego.

Nad Sprewą pamiętano o jego zaangażowaniu w pomoc obywatelom NRD, którzy jesienią 1989 r. uciekali na Zachód m.in. przez Warszawę. Prawda był członkiem Komitetu Obywatelskiego „Solidarność” i z jego ramienia koordynował pomoc Niemcom, którzy masowo prosili o azyl w ambasadzie RFN w Warszawie. Rozlokowywał ich w domach wypoczynkowych, w budynkach kościelnych i prywatnych mieszkaniach. „Jak wieźliśmy ich do ośrodków, staraliśmy się to robić tak, by nie zainteresowały się tym media. Była obawa, że ambasada NRD coś zrobi... Musiała być w niej agentura Stasi. Baliśmy się, że jeśli coś pójdzie nie tak, to zrobimy kłopot Mazowieckiemu i nowemu rządowi” – wspominał Prawda na łamach „Tygodnika Powszechnego”.

– To piękna karta w życiu Marka Prawdy, ale jego pracy na placówce już tak dobrze nie oceniam. Był ambasadorem epoki uśmiechów, stanowisko Niemców brał za dobrą monetę. Był rzecznikiem kiczowatego pojednania – mówi nam osoba zajmująca się stosunkami polsko-niemieckimi, która woli pozostać anonimowa. – Owszem, nie zamykał się, zawsze można było umówić się z nim na spotkanie w ambasadzie. Jedno zapamiętałem szczególnie. Pokazał mi wówczas wielkie zdjęcie, które zawisło – zdaje się – w sali konferencyjnej. Była to praca niemieckiego happenera, który zaprosił polskich oraz niemieckich rowerzystów i zrobił swego rodzaju parodię znanego zdjęcia z września 1939 r., gdy żołnierze Wehrmachtu likwidują szlaban na granicy z Polską. Ja się skrzywiłem. Uważam, że nie jest to temat do żartów, bo to była tragiczna scena. „O co panu chodzi?” – zapytał ambasador, widząc moją minę. I dodał, że nie wszystko trzeba brać serio.

RUBIKON PRZEKROCZONY

Marek Prawda – dziś mocno krytykowany przez polityków PiS – na berlińską placówkę został jednak wysłany w czasach, kiedy szefową MSZ była Anna Fotyga. – Został nominowany w bardzo trudnej sytuacji. Przypomnę, że ambasadorem był wówczas Andrzej Byrt, który w swoich wypowiedziach atakował prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego. Trzeba było go odwołać w trybie natychmiastowym. Minister Fotyga na jego miejsce wybrała osobę z dyplomatycznej korporacji,

z doświadczeniem, bo Marek Prawda był wcześniej ambasadorem w Szwecji – tłumaczy tamtą decyzję Ryszard Czarnecki z PiS, wiceprzewodniczący PE.

Czy Marek Prawda do tamtego rządu PiS nie miał takich zastrzeżeń jak dziś? – Jako dyplomata pracowałem ze wszystkimi polskimi rządami od 1992 r. Od tego czasu byłem wysyłany na placówki przez kolejnych ministrów spraw zagranicznych – odpowiada. – Przedstawicielstwo w Warszawie działało z mandatu Komisji Europejskiej, której stanowisko w kwestii przestrzegania zasad praworządności w Polsce jest powszechnie znane, a moją obecną rolą jest reprezentowanie tej właśnie instytucji – zaznacza.

Po wygranych wyborach przez PO Prawda został na berlińskiej placówce do jesieni 2012 r. Kiedy zebrał się ze stanowiskiem, prawą stronę polskiego Internetu obiegło zdanie z wywiadu, którego udzielił „Der Tagesspiegel”: „Polska w Niemczech przestała być postrzegana jako kłopot”. Interpretowano te słowa jako poparcie dla rządzącej w Polsce PO i spekulowano, że

Piotr Wawrzyk, politolog: Jak zachowa się pan Prawda, kiedy KE będzie prowadzić politykę sprzeczną z interesami Polski?

Prawda obejmie ważną funkcję przy Donaldzie Tusku. Wkrótce został powołany na stanowisko polskiego ambasadora przy UE. Ówczesni eurodeputowani PiS narzekają, że byli ignorowani przez ambasadora Prawdę. Oceniają, że „przykleił się do establishmentu” i postawił na eurokariere, a o dobre relacje z politykami PiS zaczął zabiegać dopiero po wygranych przez tę formację wyborach. – Mieliśmy dokładnie jedno spotkanie. Było to już po wyborach parlamentarnych w Polsce, po zmianie rządu. Wcześniej pan Prawda nie przejawiał żadnej chęci do rozmów, konsultacji, współpracy – mówi nam jeden z deputowanych PiS. I dodaje, że Marek Prawda nie może przeboleć odwołania ze stanowiska ambasadora przy UE i stąd nieprzychylnie rządowi raporty dla unijnych komisarzy.

Sam Marek Prawda zwraca jednak uwagę, że zarzuty pod jego adresem formułują głównie politycy. – A język polityki jest ostatnio bardzo twardy, nie tylko zresztą

w Polsce. Ja natomiast jestem przede wszystkim urzędnikiem, co nie pozwala mi na prezentowanie podobnych emocji – mówi „Do Rzeczy”. – Chciałbym także zaznaczyć, że nie można mówić o jakimś rewanżu za odwołanie mnie z Brukseli. Komisja Jeana-Claude’a Junckera chętnie widzi byłych urzędników lub dyplomatów z państw członkowskich w pracy w jej przedstawicielstwach w poszczególnych krajach ze względu na ich dobrą znajomość realiów tych państw. Moje mianowanie na funkcję dyrektora PKE w Polsce nie jest odosobnionym przypadkiem. Mój przyjazd do Polski przypadł na okres pewnego napięcia w stosunkach Warszawy z Brukselą, ale moja decyzja o udziale w konkursie na to stanowisko była znacznie wcześniejsza. Nie miała związku z odwołaniem z placówki w Brukseli, ponieważ moja misja w roli szefa Stałego Przedstawiciela Polski przy UE i tak dobiegała końca.

Nie wszyscy jednak postrzegają jego zachowanie jako wyłącznie rzetelne, urzędnicze sprawowanie funkcji. – Przy okazji listu na temat sądownictwa, jaki wystosował pan ambasador, przekroczył Rubikon, czego obiektywny dyplomata nie powinien robić. W dodatku list nie był skierowany do szefa KE, tylko do komisarza zajmującej się rozwojem regionalnym. Ja tu widzę sugestię, by odebrać Polsce fundusze unijne – mówi Piotr Wawrzyk. – Jak zachowa się pan Prawda, kiedy Komisja Europejska będzie prowadzić politykę sprzeczną z interesami Polski? Będzie wspierał politykę KE czy opowie się za interesem własnego kraju?

Prawda się broni: – Wszystkie przedstawicielstwa KE przygotowują raporty i notatki na temat sytuacji w danym kraju członkowskim – tłumaczy „Do Rzeczy” – Takie raporty obejmują wiele obszarów życia politycznego, gospodarczego, społecznego, nowe regulacje prawne itp. Zamieszcza się w nich opinie różnych stron debaty publicznej w konkretnej sprawie. Dopiero na końcu znajdują się analityczne podsumowanie danego zagadnienia oraz wnioski przedstawicielstwa. To generalnie stosowana zasada. Jeśli jednak znamy tylko fragmenty takiej notatki, to tracimy kontekst, wymowę całości i tu właśnie pojawia się pole do mylnych interpretacji. Odnosząc się do dokumentu, o który pani pyta, nie mogę tego komentować, bo mówimy o notatce sporządzonej wyłącznie na wewnętrzny użytek KE, która w sposób nieuprawniony przedostała się do mediów.



Witold Repetowicz

Turecka diaspora w Polsce liczy ok. 5 tys. osób. Są wśród nich i studenci, i biznesmeni. Czy stanowią dla nas zagrożenie?

Mamy nad Wisłą groźną organizację terrorystyczną. Nie podkłada bomb, nie porywa ludzi, nikomu nie obcina głów, nie wjeżdża ciężarówkami w tłum, nie atakuje nikogo nożami, ale jest gorsza od Państwa Islamskiego. Tak przynajmniej powiedział szefowi naszej dyplomacji turecki minister ds. europejskich Ömer Çelik w czasie swej wizyty w Polsce. Tą straszną hydrą, która zaległa się w Polsce, jest FETÖ.

FETÖ to skrót od Fetullahçı Terör Örgütü (Organizacja Terrorystyczna Fetullahi). Nazwę wymyślił turecki prezydent Recep Tayyip Erdoğan i to on ogłosił, że FETÖ jest groźniejsza od Państwa Islamskiego. Tymczasem w warszawskim Kebab Kingu spotykam trzy młodziutkie Turczynki. Fakt, włosy mają szczelnie owinięte chustami, tak samo zresztą jak żona i córki Erdoğan. Nie chcą podać swoich imion, a na rozmowę godzą się tylko dlatego, że ich rodziny są już poza Turcją. Mimo to się boją. Nazwijmy je Sumeyye, Esra i Emina. Są studentkami Akademii Finansów i Biznesu Vistula.

– Bronią terrorystów jest karabin, a ich celem – zabijanie. Naszą bronią jest pióro, książki, a celem – edukacja. Tego nas uczy nasz Nauczyciel – mówi Esra, 18-letnia studentka zarządzania. Mianem „hodża efendi”, czyli Czcigodny Nauczyciel, określany jest przez swych zwolenników wróg numer jeden tureckiego prezydenta, Fethullah Gülen.

Nie zawsze jednak ze sobą walczyli. Co więcej, bez pomocy tego kaznodziei Erdoğan nigdy by nie doszedł do swej dzisiejszej pozycji. Zmiotłby go kolejny pucz starej gwardii w wojsku stojącej na straży świeckości Turcji. Zneutralizował ją właśnie Gülen, organizując dwa megaprocesy: Ergenekon i Balyoz.

– Gülen i Erdoğan mieli podobne cele. Promocję idei osmańskiej i powrót do Turcji islamskiej – twierdzi Mehmed, kurdyjski biznesmen mieszkający w Polsce, który 10 lat temu odszedł z Hizmet (tak güleńscy określają swój ruch). To również



Terrorystyki FETÖ w Polsce?

zmienione imię, nikt bowiem na ten temat nie chce rozmawiać, podając swe prawdziwe dane. – Gülen był jednocześnie prozachodni, proamerykański i swe cele zamierzał realizować w sposób bardziej subtelny. Dlatego ich drogi się rozeszły – dodaje Mehmed.

Ten rozwód miał przebieg niezwykle widowiskowy. W grudniu 2013 r. turecka prokuratura wszczęła postępowanie karne przeciwko kilkudziesięciu osobom z kręgu władzy, oskarżając je o nielegalny handel złotem z Iranem. Działo się to z ominięciem międzynarodowych sankcji nałożonych

z inicjatywy USA w związku z irańskim programem nuklearnym. Wśród podejrzanych byli synowie kilku ministrów, w tym ówczesnego premiera, czyli właśnie Erdoğan. Ujawniono też nagranie z podsłuchu w domu Erdoğan, na którym jego syn Bilal ostrzegał swego ojca, by schował worki z pieniędzmi w związku z planowanym przeszukaniem. Erdoğan nigdy się do tych zarzutów nie odniósł. Po prostu zakazał o nich mówić, a wszyscy prokuratorzy, policjanci i sędziowie zaangażowani w sprawę poszli siedzieć już w 2014 r. Fakt, byli to güleniści i wtedy też powstał termin „FETÖ”. Gülen jednak wciąż był zbyt silny, by go zniszczyć. Ponoć jest z nim związanych aż 5–8 mln obywateli. Dlatego Hizmet nazywano też „państwem równoległym”.

OBAWY PRZED REPRESJAMI

– Gülen tworzył swoją strukturę przez 40 lat. Początkowo wspierało go państwo, bo część swej działalności kierował do Kurdów, co sprzyjało wynaradawianiu nas – tłumaczy Mehmed. Gülen inwestował w zdolne dzieci z biednych rodzin, finansując im stypendia, załatwiając akademiki. Później ci ludzie zajmowali kluczowe pozycje w państwie, stając się sędziami, prokuratorami, policjantami, wojskowymi, naukowcami i biznesmenami. Wiernymi Czcigodnemu Nauczycielowi i gotowymi do finansowania jego działalności.

– Gülen nigdy nie mieszał się w politykę, jego przekaz ma wymiar wyłącznie duchowy – przekonuje nieco starsza od Esry Sumeyye. Przeciwnicy Gülena niezwiązani z Erdoğanem mają jednak na ten temat inne zdanie, twierdząc, że celem Hizmet było od początku rozmontowanie świeckiego charakteru Turcji. Güleniści mieli działać jak wirus. Nie ujawniając swych zamiarów islamizacji instytucji państwowych, wchodzili w nie i powoli opanowywali, tak by uderzyć w odpowiedniej chwili. Nie to jest jednak przedmiotem zarzutów stawianych im przez Erdoğan, gdyż turecki prezydent islamizuje Turcję jeszcze bardziej. Między innymi toleruje działalność radykalnych duchownych i zbrojnych bojówek promujących zbrojny dżihad. Güleniści twierdzą, że to też konsekwencja walki z ich „hodża efendi”, bo on jest temu przeciwny.

– Erdoğanici rozpuszczają w Turcji pogłoski, że Gülen to agent Watykanu, ukryty kardynał, którego celem jest zniszczenie islamu od środka. Oskarżają nas też, że jesteśmy agentami CIA – mówi Bülent. Chociaż należy do jawnych gülenistów w Polsce,

on też prosi o nieujawnianie prawdziwego imienia. – Moi rodzice są wciąż w Turcji, a rząd bierze zakładników, by zmuszać nas do powrotu – mówi i opowiada o dwóch przypadkach takich działań.

– Niedawno musiałem pójść do ambasady. Gdyby nie to, że chodziło o moje dziecko, o paszport dla niego, toby tam nie poszedł, bo bałem się, że już nie wyjdę – mówi Bülent. Podobne obawy mają Sumeyye, Esra i Emina. Wkrótce ma się odbyć referendum w Turcji, ale nie pójdą głosować do ambasady, bo boją się, że zostaną tam porwane. – Żądają, by nasi rodzice wrócili do Turcji – mówi Emina. Opowiadają też, że ambasady tureckie w Europie próbują zdobyć paszporty gülenistów, żeby je zatrzymać lub anulować, co ma skłonić władze państwa, w którym przebywają, do uznania pobytu za nielegalny i deportacji.

Po tzw. puczu, który odbył się w lipcu ub.r., a o którego zorganizowanie Erdoğan oskarżył FETÖ, prześladowania się nasiliły, a do więzienia trafiło kilkadziesiąt tysięcy profesorów, policjantów, urzędników, wojskowych i dziennikarzy. Wśród gülenistów nie ma bowiem osób z niższych warstw społecznych. Kilka tysięcy uciekło z Turcji. Nieoficjalnie wiadomo, że do Polski przybyło ok. 150–200 osób. Esra mówi, że wie na pewno o 20 rodzinach. – Ale są jeszcze studenci Vistuli, tacy jak my – dodaje.

Akademia Finansów i Biznesu Vistula to jedna z instytucji, które według władz tureckich są „gülenistowskie” i powinny zostać zamknięte. To również jedna z najlepszych niepublicznych wyższych szkół w Polsce. Jej rektorem jest prof. Witold Orłowski, znany ekonomista i członek Narodowej Rady Rozwoju przy Prezydencie RP. We władzach i w kadrze profesorskiej są prawie sami Polacy. – To nie jest typowa szkoła gülenowska – przekonuje Emina, dodając, że na 3 tys. studentów tylko 300 przyjechało z Turcji. Teoretycznie nie wszyscy to güleniści, ale tylko dwie tutejsze studentki opuściły tę szkołę po puczu, a reszta wie, że powrotu do Turcji już nie ma. W ostatnich miesiącach przyjechali tu studenci ze szkół gülenowskich zamkniętych pod naciskiem Erdoğan w kilku krajach afrykańskich i azjatyckich, przede wszystkim środkowoazjatyckich byłych republik ZSRS. Sama uczelnia kategorycznie wypiera się związków z Gülenem, ale według propagandy tureckiej jej kanclerz Arif Erkol to lider FETÖ w Polsce.

Vistula to niejedyna placówka edukacyjna w Polsce oskarżana przez Turcję o związki z Gülenem. W skład Grupy Uczel-

ni Vistula, należącej do tureckiego biznesmena Mehmeta Orhuna Eskiego, wchodzi też kilka innych uczelni, np. Szkoła Główna Turystyki i Rekreacji im. M. Orłowicza. Również tureckich właścicieli ma międzynarodowa szkoła Meridian, składająca się z przedszkola, ze szkoły podstawowej, z gimnazjum i liceum. Zarząd spółki, do której ta szkoła należy, tworzą Karakuş Hüseyin oraz Ersoy Özkan, o których niewiele można się dowiedzieć. Natomiast władze szkoły i nauczyciele to znów prawie sami Polacy i Meridian, tak jak Vistula, odcina się od związków z Gülenem.

RELACJE TURECKO-TURECKIE

Dane Urzędu ds. Cudzoziemców potwierdzają wzrost wydanych dokumentów pobytowych, głównie pozwoleń na pobyt czasowy, w ostatnich miesiącach. Obecnie jest ich wydanych ok. 3,2 tys. w porównaniu z 2,5 tys. w 2015 r. Obywateli tureckich w Polsce jest jednak więcej. Według Bülenta jest ich ok. 5 tys. – Naszą diasporę w Polsce można podzielić na cztery grupy. Poza nami to zwolennicy Erdoğan, zwolennicy Atatürka oraz Kurdowie.

Wszystkie te grupy żyją w mniejszej lub większej niechęci do siebie nawzajem. Güleniści mają również swój własny meczet w Warszawie oraz dwie fundacje w Polsce: Mevlana oraz Dunaj. Ta druga zajmuje się dialogiem międzyreligijnym. Organizuje też dzień turecki w Polsce, w którym nie uczestniczą pozostałe grupy. – Erdoğanici składają na nas donosy do ambasady – tak relacje turecko-tureckie w Polsce opisuje Bülent. Ale to i tak lepiej niż w Europie Zachodniej. W Niemczech prawie każdy imam tureckiego meczetu pracuje dla tureckich służb specjalnych MIT. Erdoğanici i współpracujący z nimi tureccy nacjonaliści z organizacji Szare Wilki napadają na meczety gülenistów. – W Brukseli obrzucili nasz meczet kamieniami w noc „puczu” – mówi Esra, której rodzice tam mieszkają. – Potem władze Belgii kazały im zapłacić za szkody, bo to kraj prawa, nie tak jak Turcja.

Emina dodaje, że Polska to też kraj prawa i dlatego nie boi się o swój los. – Nic nam tu nie grozi, bo nie zламаłyśmy polskiego prawa i nie zamierzamy tego robić – podkreśla. To samo mówi Bülent i dodaje, że Turcja nie przedstawia żadnych dowodów, które mogłyby obciążyć Gülena. Ambasada Turcji w Polsce poniekąd to potwierdziła. Na moją prośbę o przedstawienie swojego stanowiska nie odpisała.



Z Januszem
Korwin-Mikkem,
europosełem,
przewodniczącym
partii Wolność
rozmawia Marcin Makowski



Mają być wolny rynek i praworządność

MARCIN MAKOWSKI: O mały włos Wolność straciła miliony z subwencji. Państwowa Komisja Wyborcza odrzuciła sprawozdanie partii za 2015 r. przez sprzedaż napoju Korwin Energy Drink uznaną za niedozwoloną formę prowadzenia kampanii. W obronie stanął Sąd Najwyższy. Nie wstyd się za „energetyka” po sądach szargać?

JANUSZ KORWIN-MIKKE: Przecież to nie my szargamy, a Sąd Najwyższy uznał, że to legalne – więc w czym problem?

Istniało realne zagrożenie, że przez rzecz tak banalną jak energy drink przepadnie źródło finansowania partii. Nikt wcześniej nie dostrzegał zagrożenia?

Ustawa o finansowaniu partii jest tak skomplikowana, że nawet eksperci z Nowoczesnej polegli. Ta ustawa to kuriozum, ale znamy gorsze, a ważniejsze dla gospodarki i zdrowia psychicznego narodu.

Na przykład?

Gospodarcze? Weźmy choćby podatki dochodowe czy od kupna-sprzedaży. Moralne: niszczące naród 1 tys. zł za spłodzenie dziecka i „500+”, których autorzy w wolnej Polsce staną przed sądami. „Program 500+” ma jeszcze koszarne skutki gospodarcze, ale jedną zaletę: kobiety wracają do domów. Niestety, niekoniecznie te, które powinny.

Skoro, jak pan twierdzi, „500+” ma fatalne konsekwencje, załóżmy, że Wolność jednak wchodzi do Sejmu. Co zrobilibyście w kwestiach socjalnych inaczej?

Nic byśmy nie robili. Wycofalibyśmy państwo z wszelkiej działalności poza wojskiem, policją i ochroną praw. Sprawy społeczne powinny należeć do narodu, a nie do wroga narodu, czyli państwa.

To moglibyście zrobić, mając większość konstytucyjną. Kukiz też zapowiadał, że rozwali partiakrację, ale z 8-10 proc. można być przy obecnym układzie sił symboliczną opozycją. Pytanie zatem, co realnie wniosłaby Wolność do polskiego parlamentaryzmu, gdyby weszła z podobnym poparciem?

Oczywiście dzisiaj nic nie można „zrobić” – można tylko sobie pogadać. Parlament to od „parlare” – „mówić”. Byłby to jednak sygnał dla władców Polski i Europy, że Polacy zaczęli wreszcie myśleć. Natomiast w momencie nieuniknionej już chyba katastrofy gospodarczej przejęlibyśmy władzę.

A jak byście się zachowali po przejęciu władzy, gdyby doszło do podobnego jak w grudniu „puczu”? Opozycja do „pałowania” czy jednak na spokojnie i bez przemocy, jak „ludzkie pany”?

Czekalibyśmy, aż się zmęczą. W amerykańskim senacie uprawia się filibustering nieraz kilka tygodni i jakoś żyją.

Ten też trwał podobny czas. Czyli Wolność nie byłaby partią silnej ręki, ale dawałaby się szachować opozycji? Nawet gdyby był budżet do uchwalenia?

„Silna ręka” polega na robieniu swojego. Na przykład w 1982 r. powiedziałbym: „Niech sobie górnicy w Wujku siedzą na dole i 10 lat. Kopalnia i tak jest deficytowa...”. Po co strzelać?

Dziwne porównanie, nikt przecież nie apeluje o rozlew krwi. Gdyby jednak poseł Nitras chciał przez dwa miesiące robić sobie selfie na mównicy sejmowej, po prostu by pan na to pozwolił?

Nie. Marszałek powinien odebrać mu głos, a potem łupać kolejne kary regulaminowe. Tak 500 zł co 5 minut. Powinno wystarczyć.

„Jeżeli próg wyborczy zostanie podniesiony do 10 proc., nie będziemy mieli żadnego wyboru” – mówi pan o ewentualnej koalicji z Pawłem Kukizem w przyszłych wyborach samorządowych. Małżeństwo z rozsądku?

Do małżeństwa trzeba dwojga, czy tak będzie, za wcześniej wyrokować. Natomiast w wyborach samorządowych naszym problemem jest program. Samorządy trzeba zreformować, ale w tym celu trzeba być w Senacie i Sejmie, a nie w samorządzie... PiS coś niby w tym zakresie proponuje, ale to partia Kratosów, którzy chcą władzy dla samej władzy. Ich ideał państwa polskiego to II RP sanacyjna – ten koszmar społeczny i gospodarczy, który rozsypał się w 1939 r.

Jak w takim razie zreformowałby pan samorządy, aby „skończył się ten koszmar”?

W wyborach gminnych prawo głosu powinni mieć wyłącznie posiadacze nieruchomości w danej gminie – z siłą głosu proporcjonalną do płaconego w gminie podatku. Trzeba zdecydowanie zwiększyć naturalne uprawnienia samorządu, natomiast odebrać mu prawo prowadzenia działalności gospodarczej. Nawet, a może zwłaszcza, wydawania pism. Najważniejsza sprawa: pieniądze z podatków powinny być zbierane w samorządach, a powiat, województwo i państwo miałyby tylko procent od tych podatków. Państwo nie mogłoby nic gminom dawać ani zabierać. Samorząd powinien być samorządny – czyż nie?

A co z kadencyjnością? Dwie dla prezydenta, burmistrza, wójta, i tyle?

To niech sobie województwa i powiaty ustalają. Konfucjusz powiedział, że „naprawę państwa należy zacząć od naprawy pojęć”. Zakaz trzykadencyjności jest antydemokratyczny, bo odbiera ludziom prawo wyboru, kogo chcą. Ja nie jestem zwolennikiem demokracji, uchowaj Boże, to tylko w kwestii terminologii.

Wróćmy jeszcze do spraw społecznych. W Cielmie Carrefour dał biednym cukier o złotówkę tańiej. Ludzie tratali się, aby go kupić. Wyciągnął pan z tego wydarzenia daleko idące wnioski...

Takie, że subwencjonowanie czegokolwiek to idiotyzm. Rozrzucanie monet w tłumie też powoduje stratę czasu i traktowanie ludzi na śmierć. To samo dopłaty do żłobków – tyle że tego tłoku nie widać. Koszmar jest ten sam – miejsca dostają nie potrzebujący, ale ci, którzy potrafią kombinować. I drugi wniosek: jeśli ludzie za złotówkę gotowi są bliźniego podeptać, to za 200 zł/godz. tym bardziej ochoczo sprzedadzą Polskę Unii, a za 500 zł PiS-owi. Ludzie biedni nie powinni mieć wpływu na władzę, bo są łatwi do przekupienia.

Przecież to myślenie klasowe. Uznaje pan całą grupę społeczną za niezdolną do podejmowania racjonalnych decyzji jedynie z powodu biedy. Tymczasem paradoks „500+” polega m.in. na tym, że eliminuje skrajne ubóstwo, czyli w pana logice – upodmiotowia wyborcę.

Gdyby pan leciał samolotem, to nie chciałby pan, by pasażerowie, nie tylko biedni, mieli wpływ na pilotaż. Prowadzenie państwa jest bardziej skomplikowane – dlatego demokrację należy znieść. W sprawach lokalnych oczywiście wybór władzy powinien należeć do ludzi – ale człowiek zamożny udowodnił, że podejmował w życiu decyzje racjonalne, a biedak, że nie potrafił gospodarować własnymi pieniędzmi. A poza tym pan uważa, że z jednej strony człowiek powinien uchylać prawa przez głosowanie, a z drugiej tego samego człowieka uważa pan za idiotę, który nie potrafi podjąć decyzji, czy ubezpieczyć się emerytalnie, lub przypiąć pasem w samochodzie?

Twierdzi pan, że bogaci podejmują jedynie racjonalne decyzje? A kto weźmie w obronę ubogich, gdy bogaty tak napisze prawo, aby nigdy nie pozwolić im się usamodzielniać?

Państwo w ogóle nie powinno mieć możliwości ustanawiania tego typu praw. Jest konstytucja – i koniec. Państwo nie może ingerować w spory między

obywatelami. Ma być wolny rynek i praworządność – i tyle. Niech pan poda przykład ustawy, która by „nie pozwalała komuś się usamodzielnic”.

Ja nie twierdzę, że to stan obecny, podałem tylko możliwą konsekwencję pana pomysłu, mówiącego, że tylko bogaci powinni mieć prawo decydowania o losach państwa.

Nie państwa! Gminy, ewentualnie powiatu – tyle wystarczy.

Przechodząc do spraw bieżących. Czy seria wypadków rządowych limuzyn to dla pana niefortunne zbiegi okoliczności, czy jednak efekt strukturalnych zaniedbań?

Kwestia BOR to sprawa techniczna. Co mnie to obchodzi? To urzędnicy państwowi są zainteresowani tym, by przeżyć, więc to oni powinni decydować o personelu BOR.

Jednak bezpieczeństwo najważniejszych osób w państwie to również pośrednio interes obywateli.

Nie. Jak JE Beata Szydłowa zginie w wypadku, to prezes PiS mianuje nam nowego premiera – i tyle.

Po katastrofie smoleńskiej też podszedł pan tak swobodnie do mianowania następców osób, które zginęły?

W wojsku po wypadku CAS-y nie było problemu – nieprawdaż? Z posłami też. Problem był z prezydentem – ale tylko dlatego, że jest on wybierany w wyborach powszechnych. Czyli znów problem z powodu d***kacji. W monarchii na miejsce króla wstępuje następca i nie ma problemu. Nie ma też problemu, że Rosja czy USA ingerują w wybór następcy.

Czyli demokracja jak jądro ciemności. Kończąc wątek komunikacyjny: Czy politycy powinni traktować samoloty jak taksówki? Posłowie rekordziści tej kadencji wylatali już ekwiwalent prawie 100 tys. zł w biletach lotniczych. Dobrze wydane pieniądze?

Rozwiązanie problemu widzę w tym, by urzędnik lub poseł pokrywał część kosztu. Najlepiej, by pokrywał całość – ale nie każdy jest Donaldem Trumpem.

W europarlamencie korzysta pan z dofinansowania podróży czy płaci za nie sam?

Niestety: płaci Unia. Z czego, oczywiście, obficie korzystam.

Czyli rozwała pan system w najwygodniejszy możliwy sposób. Zazdroszczę.

Ech – to drobiazg. Dla równowagi Donald Tusk czasem lata tanimi liniami klasą ekonomiczną. Czy z tego powodu jest lepszym szefem Rady Europejskiej?

Skoro przeszedł pan przewodniczący do Tuska. Powinien być szefem RE następną kadencję? A co za różnica?

Dla Jarosława Kaczyńskiego chyba spora, dużo rozmawiał na ten temat z Angelą Merkel.

Ponieważ prezes PiS nie zajmuje się polityką, tylko umacnianiem władzy swojej partii.

A polityka to nie droga do zdobycia władzy i jej umacnianie? Panu na władzy nie zależy?

Mnie zależy na zmianie Polski. Jeśli Jarosław Kaczyński zacznie ją zmieniać we właściwym kierunku, to go poprę, choć będzie to wyrywanie dywanu spod nóg mojej partii. To jest problem obecnego systemu, partie bliskie sobie ideowo zamiast się popierać, muszą się wykańczać – i to bardzo ostro – bo konkurują o ten sam elektorat.

Jak się panu podoba reforma edukacji? Opozycja twierdzi, że to „demolowanie szkoły”, złożyli, że przez likwidację gimnazjów Wolność straci pół elektoratu.

Gimnazjaliści na szczęście nie głosują, więc złośliwcy tylko dowodzą, że są idiotami. Gdy wprowadzano gimnazja, liczba etatów wzrosła, bo po to to robiono, by mieć etaty dla „swoich”. Teraz przy likwidacji gimnazjów liczba etatów... też rośnie. Szkoły muszą być prywatne – i wtedy nie tylko będą dobre (będą i złe, oczywiście) i tanie (będą i drogie – tak jak z restauracjami), lecz także to rodzice będą decydować, czego i jak uczą się ich dzieci. Jeśli ktoś chce koniecznie utrzymać „bezpłatność”, to wprowadźmy „bon edukacyjny”. Od piętniędzy „na oświatę” w budżecie odejmijmy 10 proc. Resztę dzielimy na N, gdzie N to liczba dzieci, i każdy ojciec (matka, opiekun prawny) dostanie do ręki 10 czeków, którymi będzie płacił co miesiąc. Będzie mógł dopłacić, jeśli chce. A MEN trzeba oczywiście zlikwidować. Ze wszystkim i przybudówkami. Kopernik i Maria Skłodowska-Curie jakoś się bez MEN wykształcili, a MEN wykształciło noblistę Wałęsę.

Co myśli wolnościowców o granicy wolności słowa w teatrze? „Kłątwa” ze scenami seksu oralnego z Janem Pawłem II pana zniesmaczyła?

W ogóle nie powinienem o tym wiedzieć. A jeśli teatr chce rozgłosu, to powinien wkroczyć prokurator. W Rosji

jest prosto: gdy jakieś idiotki robiły szuruburu „artystycznie” w cerkwi, dostały po trzy lata kolonii karnej. JE Włodzimierz Putin je po dwóch miesiącach ułaskawił, ale już wszyscy się boją. I o to chodzi.

Chodzi o to, aby artyści bali się kontestować porządek społeczny?

Od kontestowania porządku są politycy. Artyści mają śmieszyć, bawić, skłaniać do myślenia, a nie obrażać obywateli.

Posłanka Scheuring-Wielgus stwierdziła, że teatr to fikcja. Może jest pan przewrażliwiony?

Ja nie jestem – mnie to nie interesuje. Problem nie w tym, co jest w teatrze, bo to prywatna sprawa teatru i tych, którzy zapłacili za bilety, ale w rozgłosie zewnętrznym. Ciekawe, ile Teatr Powszechny zyskał na tej reklamie? Należało to przemilczeć z obrzydzeniem. I oczywiście żaden teatr nie powinien być subwencjonowany!

Wróćmy do polityki. „Zapewniam, że nie będę zachęcał Polaków do powrotu do kraju” – napisał pan na Facebooku po słowach ministra Morawieckiego, żeby Polacy porzucali emigrację. Nie ma pan wiary w plan ministra i w polską gospodarkę?

Nie. Gdy zlikwidujemy podatki dochodowe i od kupna-sprzedaży oraz wprowadzimy zasadę „Volenti non fit iniuria”, sami przylecą. A z nimi przyjedzie milion Brytyjczyków, 3 mln Francuzów. O ile się nie mylę, JKM Elżbieta II nie zachęcała Polaków do przyjazdu? A przyjechali... Polska też może być silna i konkurencyjna, tylko trzeba skończyć z socjalizmem, pomniejszyć rolę państwa i zniszczyć Unię Europejską.

Mniej państwa i mniej socjalizmu, tylko jakoś w Chinach to nie przeszkadza.

W Chinach akurat byłem. Podatki i przepisy tam są, ale nikt tych pierwszych nie płaci ani nie przestrzega tych drugich. Nie uwierzy pan, np. w Kantonie ograniczono liczbę samochodów; nowych się nie rejestruje. Znajomy Polak jeździ więc autem bez rejestracji, przy mnie zaparkował przy wozie policyjnym. I nic. Dla ułatwienia dodam: nie ma również prawa jazdy. A socjalizm próbują pomalutku przywracać i negatywne skutki już widać.

Czyli Polska Państwem Środka Europy, i wszystko się poukłada.

Nie. Trzeba stworzyć warunki, by ludziom wolno było sobie poukładać. Z resztą sobie poradzą.

LAKE HILL RESORT & SPA

ZAINWESTUJ W APARTAMENT Z WIDOKIEM NA JEZIORO W SERCU KARKONOSZY

JUŻ OD **199 000 zł**



8%

stopa zwrotu

10 lat

umowa najmu
z operatorem
(5+5)

30 lat

doświadczenia
operatora



widok na góry
i jezioro



wykończenie
i wyposażenie w cenie



22 299 11 55

sprzedaz@lakehill.pl

www.lakehill.pl

Prezentowane informacje nie stanowią oferty w rozumieniu art. 66 § 1 Kodeksu Cywilnego.
Podana cena jest ceną netto, cena brutto 244 770 zł i nie obejmuje miejsca postojowego,
którego koszt to 10 000 zł netto, 12 300 zł brutto.

Na początku lutego przez kilka dni nie działała strona internetowa Komisji Nadzoru Finansowego. – Zidentyfikowana została próba ingerencji z zewnątrz w system informatyczny obsługujący stronę internetową www.knf.gov.pl. Wewnętrzne systemy raportowania przez podmioty nadzorowane funkcjonują niezależnie od systemu informatycznego obsługującego stronę internetową i pozostają bezpieczne – poinformował rzecznik KNF Jacek Barszczewski. Sprawa jest owiana tajemnicą; rzecznik prasowy Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego Stanisław Żaryn nie udziela informacji, także rzecznik Prokuratury Okręgowej w Warszawie, która prowadzi w tej sprawie śledztwo prok. Michał Dziekański nie udziela informacji. Nie wiadomo więc, czy atak był w ogóle udany, na czym polegał ani kto go dokonał. Są jednak poszlaki wskazujące, że prawdopodobnie hakerzy próbowali zainfekować stronę odwiedzaną często przez osoby pracujące w instytucjach finansowych. W ten sposób na ich komputery mógłby przenieść się wirus. Jak donosi serwis ZaufanaTrzeciaStrona.pl, próbowano później włamać się również na serwery kilku banków, jednak jak zapewnia Związek Banków Polskich, pieniądze na kontach są bezpieczne. I wiele wskazuje na to, że nie chodziło o finanse, ale o zdobycie wrażliwych informacji. A to z kolei rodzi pytanie, że w atak zaangażowane mogło być inne państwo.

Podobnie zresztą jak w przypadku innego ataku – z grudnia 2016 r. Wtedy hakerzy rozesłali do kilku pracowników MSZ zawirusowany e-mail na temat rzekomego oświadczenia sekretarza generalnego NATO. Podstępowi udało się jednak zapobiec, a także najprawdopodobniej wytropić winnego: grupę powiązanych z rosyjskim wywiadem cyberspiesów APT28, którą amerykański wywiad oskarża m.in. o przejęcie e-maili członków sztabu wyborczego Hillary Clinton (zostały ujawnione przed końcem kampanii wyborczej w USA).

REALNE ZAGROŻENIE

Polska i Stany Zjednoczone Ameryki nie są jedynymi państwami, których cyberbezpieczeństwo było w ostatnim czasie zagrożone. Od początku stycznia hakerzy włamywali się do skrzynek e-mailowych pracowników czeskiego MSZ, a na początku lutego zaatakowano m.in. norweskie MSZ, MON i kontrwywiad. Także Norwegowie oskarżyli o atak rosyjskich hakerów.

Rzeczywiście, wiele śladów i poszlak prowadzi do Moskwy. I zapewne nie jest to koniec fali przemocy internetowej.

– Na kolejne najbardziej narażone są kraje, których obywatele w najbliższym czasie będą brali udział w wyborach, np. Francja, Holandia i Niemcy – tłumaczy „Do Rzeczy” ekspertka Instytutu Kościuszki i dyrektor

Przypomnijmy choćby sparaliżowanie systemu energetycznego na Ukrainie w latach 2015 i 2016, o co Kijów oskarża Moskwę, i uszkodzenie irańskich wirówek do wzbogacania uranu w 2010 r., o co Teheran oskarżył Izrael i USA. Do takich działań będzie dochodziło coraz częściej, bo po co korzystać z metod kon-



Stefan Sękowski

Ataki na stronę Komisji Nadzoru Finansowego pokazały, że państwowe instytucje są podatne na agresję hakerów.

To вина zaniedbań poprzedniej ekipy, ale czy nowy rząd wystarczająco dba o cyberbezpieczeństwo?

programowa Europejskiego Forum Cyberbezpieczeństwa Joanna Świątkowska.

A zagrożenie rośnie z roku na rok. Do tego stopnia, że w ubiegłym roku NATO uznało cyberprzestrzeń za kolejną przestrzeń – obok lądu, morza i powietrza – w której prowadzi się działania operacyjne w ramach konfliktów. – Zagrożenie płynie z kilku źródeł. Oprócz cyberprzestępczości to np. cyberterroryzm. Służy on na razie do wzmacniania tego, co terroryści robią w realu, czyli propagandzie bądź radykalizacji osób zainteresowanych działalnością. Do tej pory nie mieliśmy do czynienia z typowym cyberatakiem terrorystycznym, który niszczyłby infrastrukturę czy zabijał ludzi, ale obawiam się, że to tylko kwestia czasu – tłumaczy Świątkowska. – To także działania państw. Z jednej strony cyberszpiegostwo, ale także coraz więcej aktów przynoszących bezpośrednie szkody.

wencjonalnych, skoro można np. zdalnie zniszczyć elektrownię wroga?

Po ataku na program atomowy Iran postawił na rozbudowę swojego systemu cyberbezpieczeństwa i w kilka lat stał się jednym z liderów w tej dziedzinie. A czy my jesteśmy odporni na podobne ataki? Z jednej strony widać, że potrafimy się obronić, a przynajmniej wykryć ataki, z drugiej – nie wiadomo, ile podobnych incydentów pozostało niewykrytych.

To w dużej mierze efekt zaniedbań ze strony poprzedniego rządu. W 2015 r. Najwyższa Izba Kontroli opublikowała druzgocącą informację o kontroli „Realizacja przez podmioty państwowe zadań w zakresie ochrony cyberprzestrzeni Rzeczypospolitej Polskiej”, która dotyczyła lat 2008–2014. Można w niej przeczytać, że „działania podmiotów państwowych związane z ochroną cyberprzestrzeni były

prowadzone w sposób rozproszony i bez spójnej wizji systemowej. Sprowadzały się one do doraźnego, ograniczonego reagowania na bieżące wydarzenia oraz biernego oczekiwania na regulacje unijne. Kluczowym czynnikiem paraliżującym aktywność państwa w tym zakresie był brak jednego ośrodka decyzyjnego,



starczające środki, a także brak „uprawnnień do oddziaływania na inne instytucje, które odmawiały współpracy lub nierzetelnie i nieterminowo wywiązywały się z przypisanych im obowiązków”. Słowem: bałagan i „Polska resortowa” w pełnej krasie. Także szczegółowe badanie przez NIK bezpieczeństwa kilku ministerstw i instytucji, takich jak Kasa Rolniczego Ubezpieczenia Społecznego i Narodowy Fundusz Zdrowia, przeprowadzone w latach 2014–2015, a opublikowane w maju 2016 r., pokazuje, że są słabo chronione przed hakerami.

CZAS UCIEKA

Czy za rządów PiS coś się zmieniło? Obecnie kluczową rolę odgrywają z jednej strony czynniki cywilne, w tym ABW, odpowiedzialna za ochronę najważniejszych organów państwa. Z drugiej zaś to element wojskowy, czyli ministerstwo obrony narodowej i podległe mu Narodowe Centrum Kryptologii. W lipcu ubiegłego roku ruszyło Narodowe Centrum Cyberbezpieczeństwa, które ma być zwornikiem między różnymi centrami dbającymi o ochronę w sieci. To bardzo dobrze, jednak nadal rząd nie przyjął ostatecznej wersji Strategii Cyberbezpieczeństwa RP, która ma spinać politykę rządu w tym zakresie. – To są bardzo trudne rozmowy, [na temat tego], gdzie przebiegają linie demarkacyjne. Każdy chce mieć to bardzo precyzyjnie określone – tłumaczyła 13 lutego w „Radio Lublin” minister cyfryzacji Anna Streżyńska, dlaczego ministrowie jeszcze nanoszą ostatnie poprawki. Ale w końcu się udało: na początku marca międzyresortowa grupa robocza zakończyła prace i przekazała Strategię do Komitetu Rady Ministrów ds. Cyfryzacji. Jeśli ten ją pozytywnie zaopiniuje, dokument trafi pod obrady rządu – jego przyjęcie otworzy drogę do uchwalenia ustawy o krajowym systemie cyberbezpieczeństwa, której projekt ma ujrzeć światło dzienne w ciągu kilku-kilkunastu tygodni.

To bardzo ważne, bo na razie do końca nie wiadomo, kto i za co odpowiada. A czas nagli. Nie wiadomo, kiedy może zostać przeprowadzony kolejny atak. Ostatnie wydarzenia pokazały, że tak jak nieprzyjacielskich czołgów czy bombowców powinniśmy się obawiać także działań dokonywanych zza klawiatury. Cyberbezpieczeństwo trzeba traktować priorytetowo.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest zastępcą redaktora naczelnego „Nowej Konfederacji”

KSIĘGARNIA

TYGODNIK LISKI
DO RZECZY

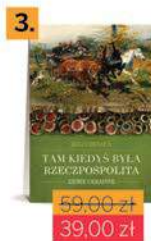
WYBIERAMY
RECENZUJEMY
REKOMENDUJEMY

DO KAŻDEGO ZAMÓWIENIA
POWYŻEJ 49 ZŁ



PREZENT

Konieczna rejestracja w sklepie.
Oferta ważna do 12 marca 2017 r.



ZAMÓW:

www.ksiegarniadorzeczy.pl

12 431 25 78

Ekoutopie



Łukasz Zboralski

W pędzie do coraz bardziej ekologicznego życia rzadko kto zauważa, że to, co ma być lepsze, wciąż jeszcze nie jest opłacalne

Wszystko ma być bardziej ekologiczne, zdrowe i zielone. To już od dekad odgórnie obowiązujący trend, który sam w sobie nie jest zły. Ba, jest bardzo dobry. Płynąc jednak w nurcie powszechnej radości z coraz bardziej ekologicznego życia, wielu przestaje zauważać, że to, co określa się jako „eko”, często nie jest opłacalne – nie jest więc aż tak korzystne dla społeczeństwa, jak mogłoby się wydawać. Bywa też, że spośród kilku dróg wybierana jest ta, która kończy się ślepą uliczką.

NAŁADOWANI

Być może właśnie na taką uliczkę wjeżdżają elektryczne samochody, powszechnie uznawane obecnie za jedyną przyszłość motoryzacji. Czy na pewno?

Każdy, kto choć trochę interesuje się motoryzacją, musi pamiętać, że elektryczne samochody to żadna nowość. To wręcz prehistoria. Na przełomie XIX i XX w. w USA samochodów elektrycznych było mniej więcej tyle samo co benzynowych. Rozpędzały się całkiem nieźle, a zasięg pozwalał na przejechanie ok. 100 km. Akumulatory można było naładować w pół doby. Dlaczego te konstrukcje przegrały wyścig z silnikami spalinowymi? Bo silnik benzynowy zapewniał większy zasięg i można go było szybko zasilić, by pojechać dalej. Czy to nie brzmi dziwnie znajomo? Dokładnie te same problemy dotyczą

współczesnych konstrukcji elektrycznych wielkich koncernów. Zasięg samochodów elektrycznych wciąż jest nieporównywalnie mniejszy niż samochodów spalinowych, a ładowanie trwa tyle samo co ponad sto lat temu. W dodatku – co istotne – cena rynkowa tych pojazdów jest znacznie wyższa niż ich spalinowych odpowiedników.

Fani elektrycznej motoryzacji przy okazji takich zarzutów podają zwykle przykład fenomenalnych projektów Elona Muska. Samochody Tesla mają już ponoć zasięg nawet 600 km na jednym ładowaniu (ale nie w polskim

klimacie). Jest jeden problem – firma, której samochody sprzedają się przed wyprodukowaniem, wciąż traci. Gdy czwarty kwartał 2015 r. zamknął się stratą 114 mln dol., zapowiadano, że kolejny rok ma być już na plusie. Nic z tego. W 2016 r. firma straciła 746 mln dol. Kiedy piękny sen o ekologicznych samochodach stanie się rynkową rzeczywistością?

Tymczasem polski rząd zapowiedział, że w kraju za kilka lat jeździć będzie milion elektrycznych samochodów. Pomijając realność tej zapowiedzi – jeśli



FOT. FOTOLIA

skupić się na ekologicznym aspekcie, to sprawa nie wygląda tak różowo, jak można by zakładać. Milion samochodów na prąd w polskich miastach – bo na razie zasięg oraz średnie zarobki pozwalają jedynie tam je umiejscawiać – oznacza mniej spalin. W kraju, w którym ponad 90 proc. energii produkuje się jednak z węgla, oznacza to milion odbiorników podłączonych do elektrowni.

ŁODÓWKI I SOLARY

Na zachwyt elektrycznymi pojazdami trzeba poczekać, za to od dawna już wielu dało się uwieść energooszczędnym urządzeniom. I – co ciekawe – wielu konsumentów jest poważnie przekonanych

o tym, że kupienie droższej, ale bardziej energooszczędnej lodówki lub zmywarki do naczyń pozwoli im zaoszczędzić pieniądze. Nic z tych rzeczy. Kto choć raz spróbował przeliczyć zużycie prądu przez sprzęt najgorszej klasy (A) i najlepszy (A+++), a wynik zestawień z różnicą ceny za lepszy sprzęt, ten wie, że samo odzyskanie tak „zainwestowanych” pieniędzy trwać może przeciętnie ok. 20 lat. Biorąc pod uwagę trwałość obecnie produkowanego sprzętu AGD, można zakładać, że takie inwestycje nie zwrócą się nigdy. Owszem, nasza lodówka poprzez elektrociepłownię potencjalnie spali mniej węgla, trochę ocalimy świat, ale trzeba mieć świadomość, że to kosztuje.

Jeszcze zabawniej wygląda rzecz, gdy przyjrzymy się spopularyzowanym w ostatnich dekadach instalacjom kolektorów słonecznych, które pozwalają dzięki promieniom słońca ogrzewać wodę zużywaną w gospodarstwach domowych. I tu można wyliczyć, że sam zwrot z takiej inwestycji wciąż jeszcze może ograniczyć z trwałością samego produktu. Z panelami w Polsce bywa łatwiej niż z lodówką kupowaną wyłącznie za własne pieniądze, bo takie instalacje często były dofinansowane z funduszy unijnych. Wówczas mogło się to opłacać, ale pod warunkiem, że nie chcemy wiedzieć, skąd

biorą się pieniądze w UE – bo to przecież ostatecznie są pieniądze podatników.

Co ciekawe, ekologiczne rewolucje zwykle forsowane są właśnie publicznymi zachętami. I to nie tylko w Polsce – gdzie ludzie są wciąż relatywnie na tyle ubodzy, że na pierwszym miejscu często muszą postawić zasobność portfela, a dopiero na drugim dbałość o środowisko – ale na światłym zachodzie Europy. Chociaż to tam od dawna trwa ekologiczny boom, w takiej Norwegii władze Oslo dopłacają ludziom jedną czwartą do elektrycznych rowerów towarowych. Mieszkańcy sami z siebie nie mieli dotąd potrzeby zamieniania samochodu na taki środek transportu.

I z Zachodu zaczyna jednak wiać wiatr zmian. A ściślej rzecz biorąc – z północy. Duńczycy, przecież dość zamożni jako kraj, w ubiegłym roku musieli mocno zacząć weryfikować plan przechodzenia kraju na całkowicie „zieloną” energię wiatrową. Zarzucili plany budowy pięciu nowych farm wiatrowych, które miały być gotowe w 2020 r. Powód jest prosty – pozyskiwanie energii z wiatru jest po prostu bardzo drogie, a koszt takich inwestycji pokrywają mieszkańcy kraju, płacąc dużo więcej za prąd.

To, że ekologiczne podejście jest nieproporcjonalnie drogie, powoduje też patologie. Najwyraźniejszą z nich była chyba afera spalinowa z udziałem samochodów koncernu Volkswagen. Coraz bardziej wyśrubowane normy spalin doprowadziły do stworzenia specjalistycznego oprogramowania, które dzięki skomplikowanym algorytmom rozpoznawało, kiedy samochód poddawany jest testom, a kiedy normalnie używany przez klienta, i wówczas z rury wydechowej wydobywało się dużo więcej, niż powinno. W Polsce ten problem ma jeszcze niebezpieczniejszy wymiar. Niezbyt udana konstrukcja filtrów cząstek stałych (DPF) i duże koszty ich naprawy lub wymiany skłaniają wielu posiadaczy starszych samochodów do usuwania tej części. To z pewnością nie poprawia jakości powietrza, na którą tak ostatnio mocno w kraju się narzekano.

Jakie jest wyjście? Obserwowanie bogatych. Niemcy, które są europejskim liderem w energiach odnawialnych, jednocześnie wciąż inwestują w tradycyjne elektrownie węglowe. Wiedzą, co na razie jest racjonalne, a do czego należy dążyć, jeśli ma się środki na badania i rozwój nowych technologii.



nastroju trwające długo mogą wpływać na podejmowane decyzje, gdy nie mamy odwagi np. zmienić pracy, zawrzeć związku, rezygnujemy ze studiów.

RZECZ W OSOBOWOŚCI

Gdy Justyna Kowalczyk kilka lat temu przyznała się do depresji, wiele osób uznało, że to fanaberia: jak osoba, której tak doskonale się powodzi, która odnosi sukcesy, jest powszechnie lubiana i podziwiana, może mieć depresję? Jednak to, co wydaje się obiektywną prawdą, dla danej osoby takie nie jest.

Pojawienie się choroby zależy od kilku czynników. Jeśli w rodzinie były osoby cierpiące na depresję, to jest większe ryzyko, że i nas ona dotknie. Ważny jest też sposób reagowania na to, co się dzieje wokół, czyli nasza osobowość. Codziennie setki osób tracą pracę, ale tylko niektórzy zareagują trwałym przygnębieniem czy nawet próbą samobójczą. Inne po chwilowym załamaniu stwierdzą: „Żle się stało, ale świat się nie zawalił, znajdę coś innego”. Okazuje się, że kluczowe dla tego, jak reagujemy w trudnych sytuacjach, jest to, jak radziliśmy sobie z wyzwaniami w okresie dzieciństwa.

Profesor Gałęcki podaje przykład studenta, któremu całe życie pomagają rodzice, zawsze odnosi sukcesy i ma piątki od góry do dołu. Kiedy jednak po pierwszej zdanej sesji egzaminacyjnej idzie do klubu studenckiego i prosi dziewczynę do tańca, a ona mu odmawia, wówczas traci on grunt pod nogami, bo nigdy wcześniej nie spotkał się z odmową. – To, w jaki sposób zareagujemy na niepowodzenie, zależy od naszej osobowości i tego, czego nauczyliśmy się, gdy ona się kształtowała – tłumaczy prof. Gałęcki.

Gdy dziecko się rodzi, jego mózg jest ukształtowany w ok. 30 proc. Docelową masę osiąga ok. 12.–15. roku życia, a przez ten czas wytwarzają się połączenia między układem limbicznym sterującym pracą organizmu a korą przedczołową decydującą o myśleniu. Każda sytuacja, która w tym czasie nas spotyka, to, czy częściej odczuwamy lęk i strach czy radość i spokój, wpływa na kształtowanie się szlaków nerwowych. Dziecko „wychowywane bezstresowo”, które nie musi rozwiązywać problemów, gdyż wyręczają je rodzice, nie ma szans się tego nauczyć. Dlatego warto pozwalać mu rozwiązywać problemy, zapewniając jednocześnie bezpieczeństwo i wzmacniając w nim poczucie własnej wartości. – W rodzinach, w których ojciec

Fala depresji



Katarzyna Pinkosz

Już 1,5 mln osób w Polsce co miesiąc kupuje tabletki przeciwdepresyjne. Dlaczego przestajemy cieszyć się życiem i coraz gorzej sobie z nim radzimy?

Wciąż jeszcze wiele osób nie uznaje depresji za chorobę, uważając, że wystarczy wziąć się w garść i problem zniknie. Takie podejście przyniesie jednak mniej więcej taki sam skutek jak powiedzenie choremu z nadciśnieniem, żeby je sobie obniżył.

JAWNA I UTAJONA

Nie każde obniżenie nastroju jest depresją, jeśli jednak bez żadnej przyczyny przez ponad dwa tygodnie odczuwamy głównie smutek i przygnębienie, to znaczy, że coś jest nie tak. Nie cieszą nas rzeczy, które do tej pory sprawiały radość. Do tego dochodzą: ciągle zmęczenie, zaburzenia pamięci i koncentracji, a często też lęk, drażliwość, zaburzenia snu i apetytu, niska samoocena i poczucie winy. Czasem pojawiają się bóle i zawroty głowy, szumy w uszach, uczucie narastającej guli w gardle, brak tchu, kołatanie serca. Nie wszystkie te objawy muszą wystąpić, a czasem zdarza się wręcz depre-

sja maskowana, kiedy nie dominuje wcale smutek, tylko np. bóle brzucha czy biegunka. – Miałem pacjentkę, która pozwoliła sobie wyrwać siedem zębów: stomatodzy szukali źródła bólu, który utrzymywał się od ponad dwóch lat. Wyrwanie zębów nie pomogło, a ból zniknął po miesiącu przyjmowania leku przeciwdepresyjnego – opowiada prof. Piotr Gałęcki, krajowy konsultant ds. psychiatrii.

Obniżony nastrój, brak snu czy zaburzenia koncentracji są czymś normalnym, jeśli przeżywamy właśnie trudną sytuację, taką jak rozwód, śmierć kogoś bliskiego, zawód miłosny, utrata pracy. Wtedy mówi się raczej o zaburzeniach adaptacyjnych. Jeśli jednak taki stan utrzymuje się dłużej niż pół roku, to mogą one przejść w depresję. Powinien zdiagnozować ją specjalista, jednak pierwszy test przesiewowy możemy zrobić sami, sprawdzając samopoczucie w tzw. skali Becka (dostępnej w Internecie). Nawet łagodniejsze stany obniżenia

lub matka przewlekłe nadużywali alkoholu, dorosłe dziecko przez całe życie ma poczucie niskiej wartości, wstydu, uważa się za niedoskonałe, czuje, że coś powinno zrobić lepiej. Podobnie jest z osobami, które widziały przemoc lub których rodzice nie okazywali sobie nawzajem miłości – dodaje prof. Gałęcki. Takie dziecko ma w swojej osobowości cechę lęku i skłonność do depresji.

Nasze geny się nie zmieniły, osobowość też, a liczba osób z depresją w Polsce stale rośnie. Socjologowie tłumaczą to rosnącym brakiem poczucia bezpieczeństwa. Mimo istnienia Internetu i serwisów społecznościowych jesteśmy coraz bardziej samotni, pozostajemy sami ze swoimi problemami. Rzeczy, które do niedawna wydawały się przynajmniej w miarę stałe (np. założenie rodziny), już takie nie są. Młodzi ludzie wręcz nie chcą wchodzić w stałe związki, przewidując od razu ich rozpad. Zmiana stylu życia, nastawienie na samorealizację, emigracja – wszystko to osłabia więzi rodzinne. Wiele osób obawia się utraty pracy, niemożności spłacenia kredytu. – Często osoba pracująca w korporacji, idąc do pracy, nie zastanawia się nad tym, co uda jej się dziś

ciekawego zrobić, tylko myśli, co złego ją dziś spotka – mówi prof. Gałęcki.

Zamiast radości z życia odczuwamy lęk. Dodatkowo z każdej strony jesteśmy bombardowani negatywnymi informacjami. W serwisach lepiej klikają się złe wiadomości, stąd trudno znaleźć artykuły o odkryciach naukowych i sukcesach, za to codziennie są tysiące nowych o katastrofach, zbliżających się krachach finansowych, wypadkach, zagrożeniach konfliktami, falach imigrantów. Osoba o silnej psychice poradzi sobie z tym, ale zamknięty w sobie introwertyk może zareagować lękiem.

OD SMUTKU DO ZAWAŁU

Gdy przed wiekami nasi przodkowie byli atakowani przez dzikie zwierzę, w organizmie wydzielają się hormony stresu i substancje powodujące stan zapalny. Tyle że tamto zagrożenie trwało krótko. Dziś osoba z osobowością lękową, depresyjną cały czas jest w sytuacji zagrożenia, poddana działaniu hormonów stresu.

– Depresja jest czynnikiem mogącym powodować chorobę niedokrwienną serca i zawał – mówi prof. Jan Tylka, psycholog, który od wielu lat pracuje w Instytucie Kardiologii w Aninie. Osoby skłonne do

depresji częściej chorują też na cukrzycę typu 2, reumatoidalne zapalenie stawów, nowotwory, wirusowe zapalenie wątroby. Częściej zapadają na chorobę Alzheimera i inne zespoły otepienne. Dlatego trzeba jej zapobiegać, a jeśli wystąpi – leczyć. Często konieczne jest branie tabletek, ale żeby incydent depresyjny się nie powtórzył, konieczna jest też psychoterapia.

Profesor Tylka podkreśla, że leczenie powinno wyglądać inaczej u kobiet i mężczyzn. Kobiety, które reagują bardziej emocjonalnie, niezbędne jest wsparcie psychiczne. Mężczyznom bardziej pomoże np. aktywność fizyczna (wydzielają się wtedy substancje podobne do tych zawartych w lekach przeciwdepresyjnych). Najważniejsze jest jednak odnalezienie radości życia. – Miałem pacjenta, który przez sześć lat brał leki na depresję. Był senny, mówił wolno, bez entuzjazmu. Musiałem rozgrzać jego życie. Okazało się, że kiedyś był ratownikiem. Wyraźnie się ożywił, gdy o tym opowiadał. Trafiłem na temat, który był radością jego życia. Dzięki temu udało mu się wyjść z depresji – dodaje prof. Tylka.

Nie możemy normalnie funkcjonować bez odczuwania radości życia.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Dodatek specjalny w tygodniku „Do Rzeczy”

STARY TEATR W KRAKOWIE - SPÓR O SCENĘ NARODOWĄ

O Starym Teatrze mówią i piszą:

Wanda Zwinogrodzka
Rafał Węgrzyniak
Elżbieta Morawiec
Małgorzata Piekutowa
Jacek Wakar
Maciej Nowak
Jacek Sieradzki



**NARODOWE
CENTRUM
KULTURY**

Dodatek zrealizowany przy współpracy
z NARODOWYM CENTRUM KULTURY



Kenneth Lonergan
z Oscarem za „Manchester
by the Sea” FOT. JASON LAVERIS

Życie, którego się już nie chce żyć



Wojciech Engelking

Oscarowe emocje już opadły. Spójrzmy na zwycięzców chłodnym okiem

Trzech najmocniejszych kandydatów do Oscara dla najlepszego filmu – zgarniętego w końcu przez „Moonlight” – opowiada o tym samym: wrzuceniu człowieka w etap życia, w którym wszystko wygląda inaczej, niż sobie zakładał. „Moonlight” bierze się do tego drastycznie, „La La Land” – bajkowo, „Manchester by the Sea” – z subtelnością lancetu. I tu uwaga! Spoilerujemy, czyli ujawniamy zakończenia filmów.

„Hej, twórcy »La La Land«! Pamiętacie, jak dalsieście widzom szczęśliwe zakończenie, by potem je zabrać?” – napisał jeden

z użytkowników Twittera po tym, jak w Dolby Theatre ogłoszono, że statuetkę dla najlepszego filmu dostał jednak „Moonlight”. Komentarz trafny, bo właśnie to zabranie szczęśliwego zakończenia było największą siłą filmu z Ryanem Goslingiem i Emmą Stone. W finale musicalu – rozgrywającym się pięć lat po tym, jak aktorzy przestali być razem – grani przez nich bohaterowie spotykają się na nowo i przy akompaniamencie oscarowego „City of Stars” wyobrażają sobie, jak mogłaby wyglądać ich miłość, gdyby się jednak teraz zeszli; ale się nie schodzą.

Przesłanie jest proste: coś się kończy i trzeba iść dalej, chociaż życie w tym „dalej” wygląda zupełnie inaczej, niż sobie kiedyś wyobrażaliśmy. Można się jednak z nim pogodzić, bo ma swoje uroki.

Podobnie było w „Moonlight”. Film Barry’ego Jenkinsa niektórzy chcieli przedstawić jako dzieło docenione przez Akademię dlatego, że po zeszłorocznym fetowaniu twórców białych postanowiła ona najważniejszą statuetkę oddać poprawności politycznej: film nie dość, że o czarnych, to jeszcze biednych, a główny bohater jest homoseksualistą. Oczywiście trudno „Moonlight” odrzec ze slumsów Miami i przedstawić historię Chirona, który odnajduje swojego patrona w handlarzu narkotyków, odkrywa homoseksualizm i w końcu sam staje się handlarzem, jako niezależną od społecznego tła. To jednak tylko tło. Kto postara się na „Moonlight” spojrzeć inaczej, dostrzeże, że przesłanie filmu jest podobne do „La La Landu”, tylko bardziej mroczne. Gdy w trzecim akcie obrazu Jenkinsa dorosły Chiron wraca w rodzinne strony, by spotkać mężczyznę, z którym – jako chłopiec – miał homoerotyczne zbliżenie, przeżywa ten sam dramat, który w finale musicalu przeżywał bohater Goslinga: tkwi w przeszłości, wiodąc życie, które bez jednego z jej elementów – ukochanej osoby – nic nie znaczy. Jednak wciąż może żyć.

Tego nie da się powiedzieć o głównym bohaterze nagrodzonego dwoma Oscarami „Manchester by the Sea” Kennetha Lonergana – dozorca Lee, samotnie mieszkającym w suterenie na przedmieściach Bostonu. W dzień przepycha niedrożne rury, w nocy pije w barach i wdaje się w bójki. Aż tu któregoś dnia dostaje wiadomość o śmierci swojego brata i musi wrócić do miasta, z którego wyjechał parę lat wcześniej, uciekając przed moralną odpowiedzialnością za tragedię, która pozabawiła go żony i dzieci. W mieście tym zaś – tytułowym Manchesterze – ma się zająć opieką nad nastoletnim bratankiem i skonfrontować z demonami przeszłości. Ta kameralna, rodzinna historia brzmiałaby jak Czechow, gdyby nie to, że rozpacz, która się z niej wylewa, budzi raczej skojarzenia z Beckettem.

Z NIECHĘCI DO KOMPROMISÓW

Skojarzenia sceniczne nie są przypadkowe, bo 54-letni dziś Kenneth Lonergan dotychczas więcej miał do czynienia z teatrem niż z kinem. Zaczynał jako dramaturg. Gdy miał 18 lat, jego jednoaktówka

UWAGA!
TEST ZAWIERA
SPOILERY!

„The Rennings Children” pojawiła się na nowojorskim Young Playwright’s Festival. Na prawdziwy sukces musiał jednak czekać aż do lat 90., gdy na offowym Broadwayu wystawiono jego „This Is Our Youth”. Przez obsadę opowieści o trzech nastolatkach, którą krytycy okrzyknęli bezlitosną rozprawą z epoką Reagana, przewinęła się plejada amerykańskich aktorów najmłodszego pokolenia: Hayden Christensen, Matt Damon, Jake Gyllenhaal i Casey Affleck, który w „Manchesterze...” gra główną rolę.

Aby jednak z Caseyem współpracować nie tylko na scenie, Lonergran musiał wejść do świata filmu, co było o tyle spektakularne, że od początku nie chciał iść na hollywoodzkie kompromisy. Po scenariuszu do „Depresji gangstera” z Robertem De Niro napisał i wyreżyserował obsypane nagrodami na festiwalach kina niezależnego „Możesz na mnie liczyć” z Laurą Linney, jednocześnie zarabiając pieniądze jako scenarzysta animowanego „Rocky’ego i Łosia Superktosia”. Ambicje artystyczne z komercją połączył dwa lata później, tworząc scenariusz do „Gangów Nowego Jorku”. Otarł się wtedy o Oscara. Nominacja dała mu szansę na zrealizowanie filmu wysokobudżetowego – i wtedy zaczęły się schody. Jego „Margaret”, wyprodukowana przez Scorsese, z Anną Paquin w roli głównej, choć nakręcona w 2005 r., premierę miała dopiero sześć lat później – bo Lonergran nie chciał filmu skrócić. W końcu zebrał kiepskie recenzje i nie dostał żadnej nagrody.

Do świata filmu sprowadził go na nowo nie kto inny, tylko Matt Damon – który początkowo sam chciał „Manchester...” wyreżyserować i zagrać w nim główną rolę, ale

wybrał „Marsjanina”, a do własnego projektu zatrudnił Lonergrana – powierzając mu także napisanie scenariusza – i Casey Afflecka. Obaj za swoją pracę zostali nagrodzeni Oscarami: w przypadku Afflecka nie obojętne było bez skandalu i wyciągania dawnych zarzutów o molestowanie seksualne. W przypadku Lonergrana w sumie także, bo (pozytywnym) skandalem jest, że film tak depresyjny, bez światła gwiazd, które przebijają przez „La La Land”, i światła księżyca, które przebijają przez „Moonlight”, zostaje uwzględniony w nagrodach Akademii. Pasuje do nich jak pięść do nosa.

WYDRAŻONY CZŁOWIEK

Dlaczego? Nawet jeśli Oscarami nagrodzono ostatnio dzieła poświęcone tym, których T.S. Eliot nazwał kiedyś „wydrażonymi ludźmi” – „Birdmana” czy „Zapaśnika” – cały urok tamtych filmów polegał na tym, że opowiadały o przewyżczeniu wydrażenia. Tymczasem w „Manchester...” wydrażenia przewyżczyły się nie da.

To, co mogłoby być dla Lee deską ratunku – wzięcie pod opiekę nastoletniego bratanka – jest jeszcze jedną kłódą rzuconą mu przez los pod nogi. Jego relacja z młodym chłopakiem, który musi poradzić sobie ze śmiercią ojca (matka alkoholiczka odeszła od rodziny kilka lat wcześniej), jednocześnie tkwiąc w emocjonalnym klin-czu między dwiema dziewczynami, relacja, która mogłaby go uczynić człowiekiem dorosłym, odpowiedzialnym za kogoś innego – żadną relacją nie jest. Lee stara się, jak może, zastąpić nastoletniemu ojca, jego kolejne poczynania są jednak li tylko małpowaniem ojcowskich gestów.

Łatwo można by film Lonergrana potraktować jako krytykę współczesnych mężczyzn. Lee w końcu, choć ma czterdziestkę na karku, dojrzałością niewiele się różni od nastoletniego bratanka. Takie postawienie sprawy byłoby jednak niesprawiedliwe, bo u Lonergrana w emocjonalnym impasie tkwią wszyscy, także kobiety; niezwykle wymowna jest tu grana przez Michelle Williams postać byłej żony Lee, która po tym, jak doprowadził do śmierci ich dzieci, odeszła od niego i znalazła się w nowym związku. Ma z niego nawet nowo narodzone dziecko, ale spotkawszy Lee na ulicy, wyznaje, że wciąż go kocha. Tyle że powrotu do tego, co było, nie ma.

O ile „La La Land” to, co zostało utraczone, mitologizował – choćby i pokazując, jak pięknie mogła wyglądać przyszłość, gdyby bohaterowie do siebie wrócili – o tyle „Manchester by the Sea” od tego ucieka.

BEZ KATHARSIS

Lonergran unika taniej metafizyki i przeprowadzenia swojego bohatera przez ścieżkę katharsis; film zaczyna się wszak, gdy okazuje się, że ziemia pod lodem w tytułowym mieście jest zbyt twarda, by przyjąć ciało brata Lee, a kończy, gdy nadchodzi wiosna i pogrzeb może się wydarzyć. Tyle że pogrzeb żadnym katharsis nie jest. Lee wypełnia swoje obowiązki i z Manchesteru odjeżdża, opiekę nad bratankiem powierzając komuś innemu. Wraca do życia, którego już nie chce żyć, końca własnego świata „nie hukiem, ale skomleniem”. Tego, jak to skomlenie będzie długie i potworne, pozostaje domyślać się widzowi.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



REKLAMA

KSIĘGARNIE
matras

Libri
Gabin

monnari

YASUMI

W SIECI

Planet

UNISONO

Cultura.pl

PROSOPRO

WP

Klątwa ciekawych czasów

Wojciech Sedeńko, redaktor i wydawca „Przedmurza”, wystawił bardzo mocny skład. W ekipie autorów są m.in. Maciej Parowski i Marek Oramus, czyli ludzie, którym polska fantastyka zawdzięcza rozkwit w latach 80. i 90. Znanych fanom nazwisk jest jednak więcej: Jacek Sobota, Zbigniew Wojnarowski, Wojciech Szyda i obecny od początku na łamach „Do Rzeczy” Piotr Gociek. Jako że mówimy o „ciekawych czasach”, przeważa fantastyka socjologiczna, w której od lat należymy do ścisłej światowej czołówki. Takie było założenie Sedeńki – chciał, żeby to było typowo polskie danie.

W aż czterech opowiadaniach tej antologii autorzy zabierają się do tzw. kwestii islamskiej, stąd też jej tytuł. „Slam” Wojciecha Szydy jest najbardziej symboliczny, metafizyczny. Szyda jako jedyny zbliżył się tutaj do najlepszych wzorców fantasy. O ile w najśłynniejszym z dzieł nurtu świat został stworzony przez pieśń (i za pomocą wynaturzeń, fałszu i dysharmonii próbowano go zniszczyć), o tyle tutaj za pomocą pieśni toczy się wojnę cywilizacji.

Oramus w tekście tytułowym jest bezczelny, dosłowny, plastyczny i zarazem przewrotny. Rzeczpospolita broni cywilizacji zachodniej... przed inwazją z Zachodu. Od Atlantyku do Odry rozpościera się bowiem kalifat. Rzeczpospolita dzielnie łapie z dział elektromagnetycznych, ale Kara Mustafa (Oramus celowo odwołał się do 1683 r.) dysponuje dość plugawą i ośli-zgłą bronią. Jego zniszczenie wymaga nastawienia, którego dziś w Europie próżno szukać.



Jakub Ostromecki

„Przedmurze” zostało wydane w dobrym momencie. Żyjemy w ciekawych czasach, co dla tej gałęzi literatury jest błogosławieństwem. Kryzys migracyjny (najeżdźczy), wojna hybrydowa – to przewidzieli u nas już w latach 90. Dukaj i Ziembkiewicz

Oramus nie byłby oczywiście sobą, gdyby gdzieś w tle opowiadania nie pojawił się alkohol, choćby skromny kufelek z pianką.

„Dobre Miasto” Cezarego Zbierchowskiego nadaje się wręcz na scenariusz filmu. Od początku wiadomo, że mamy do czynienia z przyszłościową wersją kryzysu migracyjnego – te same naiwność i poprawność, ta sama cenzura. Inwazja jednak nadciąga z miejsca dużo groźniejszego niż Bliski Wschód. Pytanie, czy proponowane przez Zbierchowskiego zakończenie to epicka niemal lovecraftowska wizja, czy próba podsunięcia nam dość skrajnego wyjścia z sytuacji.

Na skraju islamskiego wątku mamy najoryginalniejsze w formie dzieło zainspirowane orzeczeniem norweskiego sądu, który to stwierdził, że Breivik „traktowany jest niehumanitarnie, bo separuje się go od innych więźniów”. Maciej Parowski wprowadził zatem do celi morderczego

mydłka polskie towarzystwo, a to, co z tego wynikło, opisał wierszem. Pod całą aż kipi od frustracji, uprawnionych (i nie) krzywd, przesądów i uprzedzeń. Z racji dużej dynamiki proszę jednak czytać ów wiersz bardzo uważnie.

Ciąg dalszy tego, co boli tu i teraz – Rosja. W tej materii niezawodny jest Piotr Gociek. Jego nowela „Jak zatopiliśmy Hana Solo” rozgrywa się gdzieś na przesmyku suwalskim, gdzie połączono siły wojaków, dziennikarzy i cywili czekają na atak wroga. Gociek z wisielczym humorem pokazuje, jak zagmatwana może być wojna

hybrydowa, a nasze oczekiwania oczywiście przeciwieście pomocy ze strony sojuszników wykpiwa w stylu najlepszego teatru absurdu. Nie bez powodu znany tłumacz, Krzysztof Sokołowski, w swojej recenzji zauważył, że jest to tekst tragiczniejszy i bardziej farsowy od słynnego „Paragrafu 22”, bo dzieje się niemal tu i niemal teraz.

Co jeszcze można wyhodować w pisarskiej retorcie z ob-

serwacji tego, co nas otacza? W „Zagubionych chłopcach” Pawła Majki, gdzieś za lat kilkadziesiąt, grupa emerytów gnieźdząca się w małym mieszkanku dorabia do skromnych dochodów (ZUS oczywiście padł), zdobywając punkty w grze sieciowej. Takich specjalistów mamy już dzisiaj wśród młodzieży, aczkolwiek na razie działają jako ludzie wolni i żadna korporacja nie proponuje im, aby sprzedali jej swoje prawa obywatelskie.

„Anatomia pęknięcia” Michała Protasiuka dotyczy problemu psychomanipulacji przez przeglądarki internetowe ustawiające dobór informacji w taki sposób, aby wyłączyć nam umiejętność krytycznego myślenia.

Jest i spora niespodzianka dla tych, którzy kojarzą, że polska fantastyka socjologiczna serce ma po prawej stronie – „Korekta” Jacka Soboty. Autor, przestrzegając przed cenzurą i ślepym posłuszeństwem, wymierzył w dobrą zmianę, a przy okazji oberwało się nawet znanemu publicyście z naszych łamów swego czasu parającemu się literaturą fantastyczną.

Ciekawostką jest natomiast kilka krótkich komiksów Tomasza Niewiadomskiego wciśniętych między opowiadania. Jak to w antologiach, jest i kilka tekstów do szybkiego zapomnienia, ale po co je od razu wymieniać?

Powstała dobra książka, która w odróżnieniu od zapatrzonej we własny pępek tzw. literatury głównego nurtu próbuje zmierzyć się z najważniejszymi problemami współczesności.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



★★★★★
**RED. WOJCIECH SEDEŃKO,
AUTORZY RÓŻNI
„PRZEDMURZE”.
ANTOLOGIA
POLSKIEJ
FANTASTYKI”
SOLARIS 2016**



NARODOWE
CENTRUM
KULTURY



Z Wandą Zwinogrodzką
rozmawia Andrzej Horubała

Spór o przyszłość Narodowego Starego Teatru

Kończy się kadencja Jana Klaty na stanowisku dyrektora Narodowego Starego Teatru w Krakowie. Jaka przyszłość czeka tę instytucję? Kto powinien stanąć na jej czele? Jaki program winna realizować? Rozmawiamy z wiceminister Wandą Zwinogrodzką. Głos oddaliśmy też ludziom teatru reprezentującym różne nurty i środowiska ideowe – od prawej do lewej strony. Ich głosy składają się na wielowymiarową dyskusję na temat teatru, ale też narodowej kultury

FOT. WOJCIECH PLEWINSKI

ANDRZEJ HORUBAŁA: Jeszcze niedawno byłeś krytykiem i to takim, który uprawia krytykę postulatyczną, programową, bardzo wyraziście opisując pożądaną model teatru, model kultury, sztuki. Jednym z twoich najgłośniejszych tekstów była polemika z Janem Klatą, który buńczucznie pod adresem prawej strony wykrzyknął, że jeżeli prawicy się nie podoba jego lewicowy teatr, to niech prawica zrobi sobie i pokaże swój. Tekst kończyłaś bardzo mocnym akcentem, pisząc, że „lewicowy wrzask paraliżuje zdolność (naszej) artykulacji. Trzeba go wyciszyć, żeby w ogóle przemówić”.

I oto nagle zostałaś mianowana wiceministrem. Przeciwnikom dykcji Jana Klaty zorganizowanym w Krakowie wokół Stanisława Markowskiego zdało się więc, że mają swojego człowieka na Krakowskim Przedmieściu i że dni dyrektora Starego Teatru są policzone. Tymczasem 5 stycznia 2016 r. wydałaś jednoznaczna deklarację, że ministerstwo nie planuje żadnych zmian personalnych, jeśli chodzi o Narodowe Instytucje Kultury... Ktoś mógłby zapytać: O co chodzi? Czy coś się zmieniło, jeśli chodzi o postawę Jana Klaty, czy to ty się zmieniłaś pod wpływem ministerialnej nominacji?

WANDA ZWINOGRODZKA: Widzę zasadniczą różnicę między misją publicysty a urzędnika ministerstwa kultury. Ten pierwszy ma pobudzać ruch myśli. Stanowcze, nawet prowokacyjne twierdzenia ewokują dyskusję. Urzędnik z kolei ma zapewnić optymalne warunki do rozwoju życia artystyczne-

go. To zobowiązuje go do powściągliwości i bezstronności w dostępnym mu stopniu. Nie chcę, aby moje urzędowe decyzje były warunkowane bez reszty przez moje osobiste poglądy, bo władza ma dbać przede wszystkim o stabilność instytucji i regulację, dzięki którym życie kulturalne może się swobodnie rozwijać. Poglądów nie zmieniałam, jednak operuję na innym polu, innymi narzędziami. Z mojego tekstu zacytowałeś zresztą tylko puentę, która ze swej natury bywa ostra, chyba tobie nie muszę tego tłumaczyć, bo sam używasz często frazeologii znacznie ostrzejszej niż ja.

... ale nie jestem wiceministrem.

... ja wtedy też nie byłam. I nawet wtedy nie wzywałam do zdymisjonowania Klaty, upominałam się o prawo do formułowania innej definicji teatru niż ta, którą on narzuca jako rzekomo jedyną właściwą. Podtrzymuję oczywiście przekonanie, że dykcja lewicowa dominuje pole dyskursu tak skutecznie, że innych głosów w ogóle nie słychać. I nadal zabiegam, aby w naszej przestrzeni publicznej rozlegały się różne głosy, nie jedne kosztem drugih, ale polifonicznie.

Spór o przyszłość Starego Teatru ma dla ciebie niewątpliwie także wymiar osobisty. Przecież w czasie

naszych studiów teatr ten był dla naszej generacji ważnym punktem odniesienia.

Dla ciebie jako studentki wiedzy o teatrze PWST i dla mnie jako studenta polonistyki UW, a przedtem licealisty, pamiętam, Warszawskie Spotkania Teatralne były głównie spotkaniami ze Starym Teatrem, który przeżywał wtedy okres swej świetności jako teatr artystyczny, poszukujący, ale też zaangażowany społecznie, teatr obywatelski. Chodziliśmy na te wielogodzinne maratony...

„Z biegiem lat, z biegiem dni” Wajdy, „Sen o Bezgrzesznej” Jarockiego. Na afiszu utrzymywano wciąż jeszcze schedę po Swinarskim: „Dziady”, „Wyzwolenie”. Żeby je obejrzeć, jeździliśmy na pierwszym roku do Krakowa...

No właśnie, i oto ze studentki o wyrazistej urodzie, wysokiej, pamiętam, jak górowałaś zawsze nad tłumem młodzieży skłębionym w teatralnym holu, z tej studentki, dla której Stary Teatr był instytucją legendą, z tej zapalczywej, bardzo stanowczej w sądach studentki wyrosła pani wiceminister, która decydować ma o przyszłości krakowskiej świątyni sztuki.

Czy to nie jest jednak dla ciebie sytuacja lekko schizofreniczna? Byłaś bardzo ostrym krytykiem, który w imię pamięci o tym, czym może być wielki narodowy teatr, odrzucał większość współczesnych propozycji, a teraz musisz zdobywać się na obiektywizm, respektować jakieś procedury, nagle chwalić długie procesy...

Proces przeobrażeń w kulturze z reguły jest długi. Kultura to uprawa, nie produkcja. Nie mam poczucia schizofrenii, bo nieraz o tym pisałam i dalej tak sądzę. Otwarty konkurs na dyrektora Starego Teatru może być jakimś etapem takiego procesu. W moim pojęciu powinien stać się okazją do prezentacji rozmaitych wizji programowych tej sceny. Teraz, nawet jeśli te wizje mającą w głowach różnych ludzi, to skoro i tak nie mogą być realizowane, nie ma potrzeby ich precyzować. W trakcie konkursu wypada je dookreślić, przełożyć na język konkretny. Zważywszy na rangę Starego Teatru, warto o tym dyskutować publicznie. Dlatego dziękuję redakcji „Do Rzeczy” za podjęcie tematu. Liczę, że antagoniści Jana Kłata zyskają sposobność, by nie tylko, jak dotąd, protestować przeciwko jego przedsięwzięciom, lecz także by zaproponować własne, może lepsze. A także – że Jan Kłata czy inni zwolennicy sztuki krytycznej też przedstawią swoje wyobrażenia o przyszłości tej sceny.

Zresztą sam Jan Kłata przegrywa w wyścigu o puchar rzeźnika klasyki, trofeum przejmuje Oliver Frlić dzięki „Kłatwie” w Powszechnym. Można sprawę jeszcze bardziej skomplikować i przypomnieć, że świetność Starego Teatru, która w młodości tak nas uwiódła, bynajmniej nie powstała na gruncie jakiegoś bałwochwalczego uwielbienia dla oleodrukowej wersji patriotyzmu. Nie. Jej podwaliny położył Zygmunt Hübner, gdy jako dyrektor ściągnął do współpracy Wajdę i Swinarskiego. Wówczas jeszcze nie znano pojęcia „sztuki krytycznej”, ale to był teatr krytyczny i wobec rzeczywistości, i wobec tradycji. Bywało, że bulwersujący, jak wówczas, gdy w „Dziadach”, podczas Wielkiej Improwizacji, Swinarski kazał chłopom obierać jajka na twardo, pokazując ich niewzruszoną obojętność wobec zmagania Konrada. Tam rewidowano spuściznę duchową, wdawało się z nią nieraz w bolesny spór – który zresztą polska kultura wiecznie przynajmniej od czasów oświecenia – ale nie plugawiono jej jak w Teatrze Powszechnym, pod patronatem tegoż Hübnera, który bez wątplenia przewraca się w grobie.

Czybyś liczyła, że przypadek „Kłatwy” spowoduje jakąś autorefleksję u twórców, którzy w tamtą stronę dążyli?

Nie wykluczam. Nastąpił szok, o ile można rzecz na bieżąco ocenić, bo rozmawiamy, gdy awantura jest w apogeum. Ludzi zdolnych do samokrytycyzmu wstrząs może skłonić do zastanowienia. Ci, którzy są za-

kochani w sobie i we własnej nieomyślności, pewno tylko bardziej się zacietrzewią.

Ja jednak wierzę w sens postawy konserwatywnej w kulturze i tym samym ufam, że jeśli będzie miała ona szansę ekspresji, to obroni się na wolnym rynku idei. Podkreślam: na wolnym rynku, a nie w warunkach protekcyjizmu, który faworyzuje liberalną lewicę.



Jan Kłata – od 1 stycznia 2013 r. dyrektor Narodowego Starego Teatru im. Heleny Modrzejewskiej w Krakowie. FOT. M. LASIK/REPORTER

To tutaj, co do optymizmu, się nie zgadzamy, bo problem dotyczący lewicowego paradygmatu dotyczy zarówno szkolnictwa – i artystycznego, i humanistycznego – jak i wychowania widzów, oraz pewnej definicji sztuki. To znaczy artyści, czy to protestujący we Wrocławiu w Teatrze Polskim, czy to deklarujący swą niechęć wobec założeń obecnej polityki kulturalnej państwa, to są ludzie, którzy są przekonani, że to, co uprawiają, jest jedynym modelem sztuki, to znaczy, że ta sztuka krytyczna, która przejmuje dyskurs mniejszościowy, wyszydza tradycję, za nic ma tekst, która jest emanacją indywidualistycznych i nie liczących się z przekazem branego na warsztat dramatu, że to jest jedyny możliwy model ekspresji. W związku z tym te ingerencje czy korekty, jakie chciałoby wprowadzić ministerstwo, to faszizm, nacjonalizm, zaściankowość, że jest to cofanie się w rozwoju artystycznym, promocja ramot. I zbuntowanym artystom sekundeje w tym publiczność. Publiczność, która przychodzi do teatru, jest już bowiem wychowana, wytleszczona w tym kierunku, by na widok księdza wybuchać śmiechem, by widząc symbole patriotyczne, czekać na ich zbezczerzenie, by obserwując bohatera o tradycyjnych przekonaniach, czekać na jego upadek lub zdemaskowanie jego zakłamania.

Cóż, publiczność, która czego innego oczekuje, uciekła z teatru. Co nie oznacza, że nie da się jej odzyskać. Albo że nie da się zmienić trendów w sztuce.

W historii kultury europejskiej takie zmiany formacji duchowej czy umysłowej wielokrotnie się zdarzały, żeby przypomnieć wielkie przełomy, między oświeceniem a romantyzmem, potem romantyzmem a pozytywizmem. Reorientacji podlegały wówczas postawy nie tylko artystów, lecz także ich odbiorców, zresztą w różnych sferach życia...

...no i lata 70. i 80. XX w. też są przykładem takiego przełomu, gdy ze skundłonej Polski powstała Solidarność, odrodziła się Rzeczpospolita.

To oczywiście wymaga wielkiego wysiłku nie tylko na niwie artystycznej... Tu się zgadzamy. Wydaje mi się, że kluczowa jest zdolność formułowania propozycji, które przyciągną ludzi, zafascynują ich. Niepokoi mnie, że konserwatyści, zaciekle atakowani, przeważnie tylko się bronią, lamentują, wypalają się w protestach. Trzeba przejąć inicjatywę, działać samodzielnie, nie tylko reaktywnie. Marzy mi się na przykład, że te odłamy środowiska artystycznego, które nie utożsamiają się ze sztuką krytyczną – a jest ich sporo – zdobędą się w końcu na odwagę publicznego wystąpienia z konkretnymi propozycjami realizacji twórczych czy programami dla instytucji... Bez tego przepagimy naszą szansę, a upieram się, że ją mamy. Masa ludzi, myślę, że wręcz większość, ma orientację konserwatywną, nawet jeśli nie całkiem sobie to uświadamia. Ci ludzie kochają swoich rodziców i dziadków, darzą ich raczej szacunkiem, niż żywią do nich pogardę, nie pałają nienawiścią do przeszłości. Wolą też doświadczać przyjemności albo uniesienia zamiast wściekłości czy wstrętu, dlatego gdy po ciężkim tygodniu pracy wybiorą się do galerii, chcieliby tam obejrzeć raczej urzekający obraz niż odchody artysty. A w teatrze – wzruszające albo zabawne przedstawienie, a nie bezładny ciąg bluzgów, skowytów i sapań. To jest nasza szansa. Przewrotnie powołam się na mistrza lewicy Bertolta Brechta: „Człowiek sprzyja raczej dobru niżli złu, ale warunki nie sprzyjają mu”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Wanda Zwinogrodzka – podsekretarz stanu w MKiDN, absolwentka Wydziału Wiedzy o Teatrze PWST, w latach 1994–2012 w TVP1. Pomysłodawczyni Sceny Faktu Teatru Telewizji.



Rafał Węgrzyniak

Nie będę ukrywał, że pierwsza kadencja Jana Klaty – w znacznym stopniu zaprogramowana przez dramaturga Sebastiana Majewskiego, który skłonił w jej połowie wycofał się ze współpracy i objął kierownictwo jednej z łódzkich scen – mnie rozczarowała. Konsekwentnie bowiem od pierwszej premiery, przygotowanej przez Krzysztofa Garbaczewskiego z pomocą całego grona dramaturgów jakoby na motywach „Akropolis” Wyspiańskiego, zmierzała do przekształcenia drugiej sceny narodowej w teatr studyjny dla początkujących i eksperymentujących reżyserów. Dokonywali oni rozmaitych dekonstrukcji dzieł należących do kanonu kultury polskiej czy europejskiej, a szczególnie związanych z dziejami Starego Teatru.

Mimo wszystko jednak pozostawiłbym Klatę na stanowisku dyrektora Starego Teatru. Nadal uważam, że jest on obecnie jednym z niewielu wybitnych reżyserów teatralnych średniej generacji naprawdę identyfikującym się z tradycją narodową pomimo demonstrowania krytycznego do niej stosunku. Chociaż jeśli zostanie rozpisany przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego konkurs na dyrektora Starego Teatru, Kłata powinien w nim wziąć udział na równych prawach z innymi kandydatami i zaprezentować przekonujący program drugiej kadencji, który pozwoliłby uniknąć przynajmniej niektórych zasadniczych błędów popełnionych w trakcie pierwszej.

Oprócz wątpliwego doboru współpracowników i dyskusyjnego programu – paradoksalnie odwołującego się do dokonań albo planów pięciu najwybitniejszych inscenizatorów

pracujących niegdyś w Starym Teatrze – na całą kadencję Klaty zgubny wpływ miały dwa zdarzenia z jego pierwszego sezonu 2013/2014. Był to najpierw protest członków krakowskiego środowiska prawnicowego – jak gdyby zupełnie nieorientującego się w rodowodzie, formacji i dorobku Klaty – podczas jego inscenizacji „Do Damaszk” Strindberga ukazującej wewnętrzny kryzys. Natomiast drugim takim wydarzeniem stały się negatywne reakcje twórców i teatrologów – skupionych zwłaszcza wokół krakowskiego dwumiesięcznika „Didaskalia”, a także wokół „Krytyki Politycznej” i „Gazety Wyborczej” – na przerwanie prowadzonych przez Olivera Frłjcia prób do spektaklu

czesności, w tym imperialnej polityki Rosji. Przypuszczam, że jego inscenizacja „Termopil polskich” – marginalizowana we Wrocławiu i w znacznym stopniu przemilczana przez publicystów liberalno-lewicowych – byłaby w stanie zelektryzować krakowską publiczność. Natomiast Kłata wyreżyserował w Krakowie pięć przedstawień, z których bodaj tylko „Wróg ludu” Ibsena ma podtekst polityczny i to raczej lokalny, związany na dodatek z kwestiami ekologicznymi.

Przypuszczam, że protesty opinii publicznej przeciwko „Kłatwie” Frłjcia spotęgują jeszcze polaryzację środowiska teatralnego. Reprezentanci jego lewicowego odłamu „w obliczu pełzającego faszyzmu” już

wystawienie i odgrywanie zgodnie z intencjami autorów najważniejszych dzieł – przede wszystkim dramatycznych – kształtujących kulturę polską. Przecież właśnie takiemu przedsięwzięciu, przeprowadzonemu w PRL między rokiem 1963 a 1980, ułożonemu zaś z „Nie-Boskiej komedii”, „Fantazego”, „Dziadów”, „Kłatwy”, „Sędziów”, „Wesela”, „Wyzwolenia”, „Nocy listopadowej”, „Z biegiem lat, z biegiem dni” czy „Snu o Bezgrzesznej”, a bynajmniej nieestetycznym poszukiwaniom Stary Teatr zawdzięczał zgodnie uznawany – mimo iż dopiero niedawno formalnie przyznany – status sceny narodowej. Przy tym Kłata jest w stanie zaproponować własny kanon rodzimych dramatów, w którym znalazłby się też sztuki Norwida lub Micińskiego. A nie powinno mu sprawić kłopotu namówienie Moniki Strzępki do wyreżyserowania wreszcie „Złotej Czaszki” Słowackiego i spożytkowania wiedzy o wygłaszaniu polskiego wiersza.

Nie wykluczam, że można będzie wybrać na stanowisko dyrektora Starego Teatru zdeklarowanego konserwatystę niewzbudzającego podobnych kontrowersji jak Kłata. Obawiam się jednak, że pojawienie się w Starym nowego dyrektora uznanego nawet bezzasadnie za przedstawiciela Ministerstwa Kultury, w którym władzę sprawują politycy Prawa i Sprawiedliwości, może wywołać identyczne protesty części zespołu aktorskiego jak w Teatrze Polskim we Wrocławiu. Na kolejnych polskich scenach pojawiliby się wówczas aktorzy z ustami zaklejonymi czarną taśmą, jakoby cenzurowani i pozbawiani możliwości mówienia przez rządzącą partię.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Dałbym Kłacie drugą szansę

osnutego wokół „Nie-Boskiej komedii” Krasieńskiego wystawionej w 1965 r. przez Konrada Swinarskiego. Miał on być jakoby rozrachunkiem z polskim antysemityzmem, a w istocie polityczną prowokacją w stylu niedawno zaprezentowanej, powstałej z pomocą aż trójki dramaturgów, a bezpodstawnie przywołującej tytuł tragedii Wyspiańskiego, „Kłatwy” z Teatru Powszechnego w Warszawie. Już na początku swej dyirekcji Kłata znalazł się więc, nie tylko na gruncie krakowskim, w politycznej próżni.

To prawdopodobnie spowodowało, że nie stworzył od tamtego czasu w Starym ani jednego przedstawienia na miarę „Termopil polskich” Micińskiego wystawionych w 2014 r. w Teatrze Polskim we Wrocławiu, odnoszących się zarówno do historii Polski, jak i do współ-

postulują sięganie w ramach teatru krytycznego po jeszcze bardziej radykalne środki. Nie ulega jednak wątpliwości, że już dzisiaj gwałtownie kurczy się w Polsce społeczne przyzwolenie na uprawianie tego typu prowokacji na publicznych scenach. Dlatego od pewnego czasu bardziej umiarkowani liderzy lewicy teatralnej sugerują rezygnację z nich. Zapowiada się w tej sytuacji teatralna kontrrewolucja.

Kłata, który po swych doświadczeniach z „Nie-Boską komedią. Szczątkami” na pewno nie będzie bronił Frłjcia ani z nim rywalizował, mógłby stanąć na jej czele i skupić wokół siebie twórców podobnie myślących. Jego podstawowym zadaniem byłaby próba odbudowy przynajmniej w kręgu widzów Starego Teatru poczucia wspólnoty narodowej poprzez

Autor jest historykiem i krytykiem teatru, od lutego 2017 r. kierownikiem literackim Teatru Polskiego we Wrocławiu.



Elżbieta Morawiec

Kiedy redakcja „Do Rzeczy” zwróciła się do mnie z pytaniem, jak prognozuję przyszłość Starego Teatru w Krakowie, z którym wiele lat byłam związana jako krytyk i (parę) jako kierownik literacki, poczułam wielki ciężar – odpowiedzialności. Jeśli piszę, że związana byłam jako krytyk, to nie znaczy, że byłam „krytykiem usługowym”. Znaczy to po prostu, że na wielkiej tradycji tego teatru się wychowałam.

Należę do pokolenia krytyków, którzy przeżyli wielkość i upadek Starego Teatru. Patrzę dziś na przyszłość nie tylko Starego, lecz także teatru polskiego w ogóle z krótkiej – żabiej, powiedzą przeciwnicy – perspektywy „Kłątwy” w warszawskim Powszechnym. Patrzę z perspektywy upadku teatru polskiego, Starego w szczególności, kiedy z wielkich dokonań prawdziwych mistrzów – Swinarskiego, Jarockiego, Grzegorzewskiego, Wajdy – pozostał tylko pył tego, co zrobił za swojej dyrekcji Jan Kłata. Niby pod tym samym hasłem, jakie towarzyszyło wielkim dokonaniom scenicznym wspomnianej „wielkiej czwórki”, niby pod hasłem „rewizji tradycji”. Tyle że Jan Kłata, ukształtowany w szkole Krystiana Lupy, skądinąd nauczyciela wszystkich burzycieli tradycji polskiego teatru – Warlikowskiego, Jarzyny, Kleczewskiej – nie ma dziś widzowi do zaproponowania nic oprócz nihilizmu, obracania wszystkiego, czego się tknie, wniwecz – od tekstu dramaturga przez role aktorów do przekazu płynącego do widza.

ANIHILACJA KULTURY

Kiedy w latach 80. pisałam o rozbiciu przekazu w spektaklach Adama Hanuszkiewicza, nie śniłam, że można pójść dalej w anihilacji widowiska teatralnego. Hanuszkiewicz, wprowadzając Balladynę na hondzie, przynajmniej bawił. Jan Kłata, Krzysztof Garbaczewski e tutti quanti jego późni dziedzice, a przede wszystkim dziedzice Lupy są śmiertelnie nudni w epatowaniu seksem, poprawnością polityczną, pasją permanentnego ośmieszania polskości. Ze spektakli, rozbitych na cząstki („Poczet Królów Polskich”, „Akropolis”) widz, jeśli dotrwa do końca, nie wyczyta dla siebie nic. Poza skeczową kpinką, krótkim śmieszkami.

Siła Starego Teatru od dyrekcji Zygmunta Hübnera, a potem Jana Pawła Gawlika, budowała się na: 1. doborze repertuaru; 2. przekazie wynikającym z całości spektaklu; 3. wielkim koncercie osobowości aktor-skich, uwiarygodniających przekaz całości. Przy tym te spektakle, poczynając od „Dziadów” Swinarskiego, a na „Biesach”, „Nocy listopadowej” Wajdy, „Szewcach” Jarockiego czy wielkim „Weselu” Grzegorzewskiego kończąc, nieustannie konfrontowały widza bądź to z rzeczywistością pozateatralną, bądź z kliszami, stereotypami świadomości kulturowej. I były widza nauczycielami.

UJ, Niziołek. Wszyscy w obronie czego? Najkrócej mówiąc – prawa do świętokradztwa i bluźnierstwa pod pozorem obrony wolności sztuki. Nowocześni intelektualni dżihadyści.

WYJAŁOWIONA GLEBA

Nie wiem, kto wystartuje w konkursie na dyrektora Starego Teatru. Nie wątpię, że będzie to także Jan Kłata. Niech nas Bóg i historia polskiego teatru zachowają przed jego ewentualną wygraną. Staremu Teatrowi, Narodowemu skądinąd, który niegdyś dyktował całemu krajowi wzorce



Kluczem do odpowiedzi, co ze Starym Teatrem, co z teatrem jako takim w przyszłości, jest „Kłątwa” w Powszechnym. A zwłaszcza ostatni list „obrońców” wolności ekspresji podpisany m.in. przez wielu anonimów, ale na czele z „guru”, profesorem teatrologii UJ, Grzegorzem Niziołkiem. Świetny niegdyś, rzetelny analityk teatru, stał się z dnia na dzień obrońcą świętokradczego, bolszewickiego barbarzyństwa. Na tej liście ludzi dążących do anihilacji polskiej kultury narodowej są liczni absolwenci „uniwersytetu” Lupy albo bytu mu pokrewne: Maja Kleczewska, Ewelina Marciniak, Roman Pawłowski (niezawodna „Wyborcza”), wspomniany już profesor

myślenia, potrzebny jest ktoś obdarzony charyzmą, świadom, w jakim świecie wojny wartości żyjemy, ktoś zdolny z całą pokorą udźwignąć ciężar tradycji, mający świadomość, na jakim zakręcie historii się znaleźliśmy.

W latach 60. i 70. Stary Teatr był pochodnią światła, miejscem, gdzie stawiało się poważne pytania, wyznaczało trajektorie losu polskiego, w opozycji do świecidełkowej wizji – choćby Hanuszkiewicza. Za dyrekcji Kłaty ten wielki narodowy teatr stał się jednym z producentów „chłamu pospolitego” – jak wszędzie indziej tandetnego bez miary – ośmieszania polskości i tradycji. Pod niby dawnym hasłem rewizji historii.

Nie ma w świecie, wyzbytym wartości, w jakim żyjemy, łatwych zwycięstw. Nowy dyrektor Starego Teatru musi mieć świadomość, że wchodzi na grunt wyjałowiony absolutnie. Nie ma w Starym zespole, niegdyś scalonego osobowością Konrada Swinarskiego, przenikniętego do bólu „sprawą polską”. Nie ma żadnego szacunku dla słowa, myśli dramaturga. Ten ktoś musi mieć charyzmę, wiedzieć, o co walczy. Mieć świadomość, w jakiej zapaści jest polska kultura. Musi odbudować całkowicie zniszczone aktorstwo, sprowadzone za Klaty do swoistych odruchów bezwarunkowych.



Krótko mówiąc – musi mieć świadomość Osterwy i Swinarskiego. I musi pamiętać, że dzisiejsza publiczność to nie ta z lat 60. ani 70., że jest przeżarta wirusem nihilizmu, łatwej drwiny i pospolitego chamstwa. Że z upodlenia niebywałego trzeba tę publiczność podźwignąć, dać jej do myślenia o najpoważniejszych kwestiach ludzkiej egzystencji i narodowego bytu, samoświadomości. Ponieważ taki jest czas – wymaga przywrócenia godności myślenia narodowego. Po stronie sceny i widowni jednak.

Sprawa jest wielka, sprawa jest arcyważna. Tu naprawdę nie chodzi tylko o kogoś, kto zna całe środowisko czy jest bywalcem wszelkich laboratoriów świata.

Chodzi o kogoś, kto ma świadomość realną, że przyszłość Starego Teatru to dziś nie tylko błyskotliwy repertuar, wybitne nazwiska inscenizatorów, lecz także misja kształtowania świadomości, jaką ten teatr od zawsze realizował. Od Koźmiana. Ten ktoś musi zdawać sobie sprawę z wielkiego ciężaru tradycji i absolutnie wypalonej ziemi, na jakiej się znalazł: aktorstwo wyzbyte jakiegokolwiek poczucia odpowiedzialności zawodowej i etycznej, wartości języka, pseudoinscenizatorzy szerzący zamęt i nihilizm.

Pytanie podstawowe: Czy to środowisko zdeprawowane i artystycznie, i moralnie będzie jeszcze w stanie podźwignąć się do swojej wielkości, zrozumieć wagę swojego zawodu? O tym, że dawny duch nie całkiem w Starym umarł, świadczy fakt, iż to głównie dzięki buntowi kilku aktorów, którzy odmówili grania w „Nie-Boskiej komedii” wedle koncepcji Frlijcia, nie doszło do skandalu, w którym i Krasiński, i Swinarski wraz z całym narodem mieli być antysemitami. Jednak już „pisana na nowo” (duet Monika Strzępka – Paweł Demirski) ta sama „Nie-Boska” grana jako „nie-boska komedia. WSZYSTKO POWIEM BOGU!” nie wzbudziła wątpliwości aktorów.

ROZBIJANIE WSPÓLNOTY

Odbudowa wielkości i znaczenia Starego Teatru to dzisiaj nie tylko kwestia repertuaru i wielkich nazwisk potencjalnych inscenizatorów. Do dzisiejszej widowni niepodobna już chyba trafić językiem teatru z czasów Konrada Swinarskiego. Trzeba wiedzieć, że ta widownia – po stokroć zgwałcona i sponiewierana – reaguje dziś na inne bodźce niż zwykła ironia. Znalezienie języka przemawiającego do dzisiejszego widza z równą siłą, z jaką przemawiali do niego Swinarski, Jarocki, Wajda i Grzegorzewski w latach schyłkowej komunizmu, to jest klucz do sukcesu. I zadanie karkołomne. A widza, traktowanego w spektaklach Klaty czy Garbaczewskiego jako gorszy, prymitywny gatunek człowieka, trzeba podnieść do godności człowieka i Polaka świadomego wagi problemów i zagrożeń swojego czasu. Człowieka i Polaka myślącego. Znajdującego w teatrze niekoniecznie odpowiedzi na pytania egzystencjalne, historyczne czy metafizyczne, ale przynajmniej nieuchylającego się od zadawania takich pytań.

Najważniejszą bodaj funkcją, którą Stary Teatr musi w sobie odrodzić, jest podjęcie odbudowy wspólnoty tak dramatycznie rozbitej dziś przez polityczne podziały. Nie jest moją rolą dawanie gotowych recept,

ale – jak się zdaje – płaszczyznę, na której podziały polityczne tracą znaczenie, jest dramat ludzkiego losu, obecny w repertuarze antycznym, we francuskiej tragedii Racine’a, w sztukach Claudela, Eliota, Samuela Becketta, Zbigniewa Herberta, Karola Wojtyły.

Ponad 80 lat temu Konrad Górski w głośnym esej „Reżyser ma pomysły” zwracał uwagę na niebezpieczną dominację inscenizatora nad literaturą, apelował o przywrócenie należnej literaturze rangi. Dzisiaj jest to apel po stokroć bardziej aktualny. W przeróbkach klasyki, dokonywanej przez tzw. dramaturgów, tekst stał się wyłącznie pretekstem do niania własnych obrazków – rodem najczęściej z popkultury, komiksu, reklamy. Jest to świadome, celowe obniżanie walorów racjonalnego słowa, a także czystszych, szlachetniejszych środków ekspresji. W rozbitym na cząsteczki-scenki przedstawieniu aktorzy nie mają szans zaistnienia jako postaci, widz zaś nie odnajduje wspólnoty losu z pozbawionymi osobowości komedianami. A bez tego teatr traci źródło swojej siły jako sztuka człowiekowi najbliższa i jedyna, budująca wspólnotę.

Czas transformacji cywilizacji chrześcijańskiej, który właściwie przeorał już całą Europę, przekształcając ją w kontynent ludzi bez tożsamości, szerokimi falami rozlewa się i po Polsce. Najcięższa przypadłość tego czasu w rzeczywistości pozateatralnej, której refleksem jest teatr, to dehumanizacja człowieka. Po obu stronach rampy mamy do czynienia z istotami, którym amputowano całe połacie wrażliwości – jakby nie umiały już przeżywać uczuć czystych, wzniosłości, piękna, tragizmu. Reakcje na świat, na sztukę są takie, jakby ta widownia uczestniczyła w niekończącym się sitcomie, a króluje w nim głośny rechot. Jeszcze raz powołam się na „Kłątwe” jako swoisty papiererek lakmusowy – tam też widownia rechotała podczas oralnego seksu aktorki z figurą Jana Pawła i żywo biła brawo (zapewne podczas zapowiadanej zbiórki pieniędzy na zabójstwo Jarosława Kaczyńskiego, mniejsza zresztą o to kiedy). Teatr w Polsce, Stary Teatr przede wszystkim, odrodzi się tylko pod warunkiem, że ten samobójczy rechot powstrzyma.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autorka to doktor nauk humanistycznych, krytyk teatralny i literacki, kierownik literacki czołowych polskich teatrów: Polskiego we Wrocławiu, Studio, Starego Teatru oraz Teatru Ōsmego Dnia.



Małgorzata Piekutowa

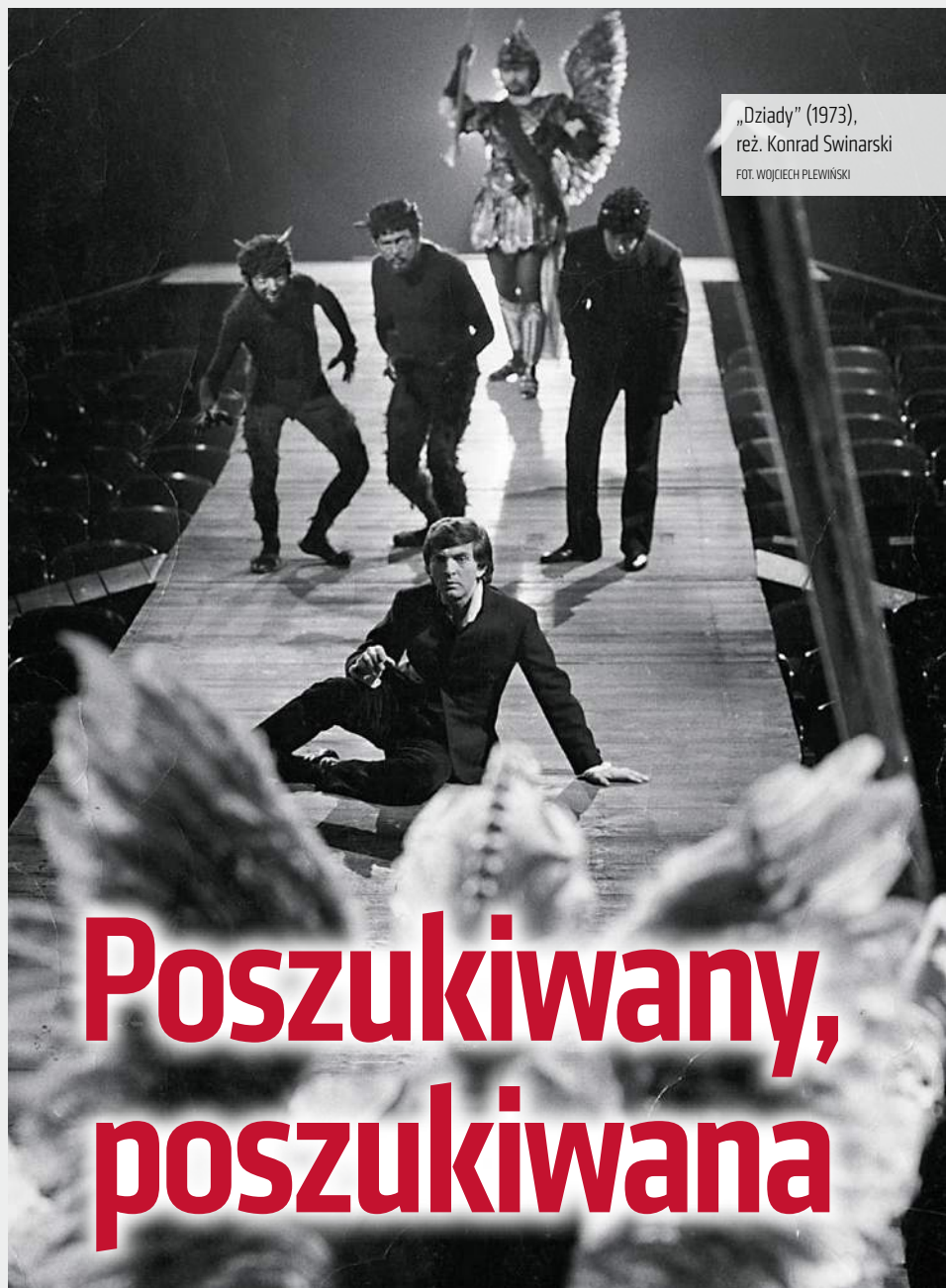
Gdyby dyrektora narodowej sceny definiować na podstawie średniej arytmetycznej oczekiwań, jego charakterystyka z grubsza powinna brzmieć następująco: Niemłody, ale i niestary. Doświadczony, ze świeżym spojrzeniem. Awangardowy tradycjonalista noszący się światowo po swojsku, w półfracku i w półkontuszu. Wielki inscenizator biegły w zarządzaniu instytucją kultury. Środowiskowy autorytet i najlepszy kumpel. Ostatnie, nie najmniej ważne: powinien być mężczyzną i kobietą.

Bez większego ryzyka można założyć, że kandydat spełniający warunki jak wyżej nie zadowoliliby nikogo. Pogódźmy się także z tym, że wybraniec, który obejmie dyrekturę Narodowego Starego Teatru w Krakowie, nie spełni bardzo wielu spośród formułowanych przez różne widownie oczekiwań. Jan Michalik, historyk teatru krakowskiego, przytacza komentarz Stanisława Wyspiańskiego, ubiegającego się o kierowanie Teatrem Miejskim, do prasowego postulatu, by projektowany przez artystę repertuar uwzględniał potrzeby wszystkich mieszkańców Krakowa: „A tak są i psy także. Czy i dla psów mam grywać sztuki?”.

IDEA TEATRU NARODOWEGO

Dla kogo i jakie sztuki ma grywać teatr z „narodowym” epitetem w nazwie, w całości utrzymywany z pieniędzy podatników, w Polsce – w warunkach światopoglądowego duopolu, w świecie – w którym utopia rozszerzonego, by tak rzec, multi-kulti ulatnia się z dymem samochodów płonących na paryskich banlieues?

Idea teatru narodowego narodziła się i rosła w Europie wraz z postępującą emancypacją lokalnych języków, kultur i tradycji, w ścisłym związku z formującym się nowożytnym państwem. Miała różne odmiany i wspólny punkt wyjścia: obserwację, że „narody różnią się tak przymiotami ducha, co ciała” (François Ogier, 1628). Zrazu wcielała program poprawy obyczajów, gustów i rozumów społeczeństw, z czasem rozszerzając go na służbę ojczyźnie. W Polsce, z powodów oczywistych, przede wszystkim wokół tej ostatniej skupiała się myśl artystów, których troską było przechowanie narodowej tożsamości. Zawsze jednak idea sceny narodowej w tajemniczy



„Dziady” (1973),
reż. Konrad Swinarski
FOT. WOJCIECH PLEWINSKI

Poszukiwany, poszukiwana

sposób godziła uniwersalne i lokalne, społeczne i narodowe, rygor zasad i wolność tworzenia, o czym woła nie pamiętać ci, którzy coraz skuteczniej pojęcie „teatru narodowego” wypierają za pomocą hasła „teatr publiczny”. (Zgoda, każdy „teatr narodowy” jest „teatrem publicznym”, ale czy każdy „teatr publiczny” jest „teatrem narodowym”?). Powody tych językowych manipulacji są oczywiste. Nie mam bowiem złudzeń – cytat z Herdera: „Jeżeli religia, naród, ojczyzna są przemilczanymi, mglistymi pojęciami, to i każda szlachetna harfa będzie dźwięczała głucho i we mgle”, który był tylko miękką przygrywką do rozważań o teatrze narodowym Friedricha Schillera, Goethego, a potem naszych wieszczów,

dziś u większości pracowników polskich scen wywołałby wstrząs anafilaktyczny. Jednak samej idei nie da się przemilczeć lub zlekceważyć, bo – jak zauważyła Dobrochna Ratajczakowa – współcześnie „teatr narodowy” to przede wszystkim marka, dobra marka. Nikt przytomny nie pozbywa się dobrych marek, bywają za to obiektem przejęć, czasem wrogich.

Kłopot w tym, że dziś w Polsce dyskusja o teatrze narodowym na poziomie estetyki jest niemożliwa, bo między wzajemnymi oskarżeniami o bluźnierstwo lub ciemnogóród (stosowanym wymiennie z faszyzmem) najsłabiej wybrzmiewają opinie wyrażane językiem krytyki artystycznej. Są bowiem dla obu stron niewygodne,

czego dobitnym przykładem są wybuchające ostatnio, częściej niż kiedykolwiek bywało, prowokowane awantury o teatr. Spójrzmy prawdzie w oczy, to nie jest spór o idee ani o system wartości, w każdym razie nie przede wszystkim. To jest strach przed utratą posad i pieniędzy. Polskie środowisko teatralne mentalnie i organizacyjnie jest zabetonowane jak korporacja prawnicza. W serialu „Artyści” Moniki Strzępki i Pawła Demirskiego pada znamienita kwestia: „Wyżej blokowiska nie podskoczysz”, i odnosi się ona w tym samym stopniu do pracownika technicznego i do reżysera „z prowincji”, którego uczyniono dyrektorem stołecznego teatru tylko dlatego, że posada jest trefna. O prawdziwej konkurencji można mówić wtedy, gdy Gene Hackman, Dustin Hoffman i Robert Duvall udzielają sobie noclegu, a utrzymują z dorywczych prac niewiele mających wspólnego z aktorstwem, jak bywało w Nowym Jorku na początku lat 60. W Polsce niemal wszyscy absolwenci szkół teatralnych znajdują pracę w zawodzie (proszę zauważyć, że nigdy nie udało się stworzyć prywatnych szkół aktorstwa czy reżyserii stanowiących poważną alternatywę dla państwowych, a przyczyną były niechęć i opór tzw. środowiska) i niemal wszystkie teatry korzystają (w różnym, rzecz jasna, stopniu) z publicznych subwencji. Te posady (także ich geografia, w znaczeniu mapy ośrodków teatralnych) czy wysokość dotacji nie zawsze odpowiadają poziomowi aspiracji zatrudnianych lub obdarowywanych, ale na tym przecież polega skuteczność sprawowania władzy na wszystkich jej szczeblach, od dyrektora teatru począwszy.

RYZIKO, A NIE KOMPROMIS

W takim kontekście będzie rozstrzygać konkurs na stanowisko szefa Starego Teatru. Nie wiem, kto powinien nim zostać. To trochę jak z doradztwem matrymonialnym – nie ma gwarancji, które okaże się lepsze: małżeństwo z rozsądku, aranżowane czy z miłości (podobno w każdym wariantcie odsetek związków udanych i trwałych jest porównywalny). Mam nadzieję, że decydenci unikną dryfujących gór lodowych. Że nie dadzą się omamić pochiebcom i arywistom. Że odrzucą pokusę „trzeciej drogi”, bo wybór defensywny to zły wybór. Że nie staną się zakładnikami elektoratów którejkolwiek ze stron. Mamy w Polsce dwie narodowe sceny. Teatr Narodowy w Warszawie pod kierownictwem Jana Englerta udanie przewodzi stawce

„teatrów kulturalnego miasta”. Ma dobrą prasę i stabilną, o rozległym spektrum widownię, nie prowokuje konfliktów. Więc może warto podjąć nieco większe ryzyko w przypadku Starego Teatru? Decyzja krakowskich rajców, którzy odmówili sceny umierającemu na syfilis Wyspiańskiemu, bywa traktowana jako przykład rozważi, a wybrany ostatecznie Ludwik Solski znalazł dla Wyspiańskiego miejsce w repertuarze kierowanego przez siebie teatru. A jednak tamta odmowa pozostaje zadrą w naszej pamięci.

łowana przez niego koncepcja Teatru Narodowego jako Domu Wyspiańskiego i pamięć jego przedstawień okazały się silniejsze niż doraźna, ślepa lub powodowana złą wolą krytyka i materialna nietrwałość sztuki teatru. Przed restytucją Narodowego pojawiały się głosy, że ta instytucja nie jest już nam do niczego potrzebna, i nie były to opinie harcówników. Grzegorzewskiemu zawdzięczamy, że dziś nikt poważny nie wystąpiłby z podobną tezą, a o status narodowej sceny dla swoich faworytów upominali



„Biesy” (1971),
reż. Andrzej Wajda
FOT. WOJCIECH PLEWIŃSKI

Historia teatru polskiego obfituje w akty symboliczne oraz paradoksy. W 1996 r. Zdzisław Podkański, PSL-owski minister kultury, który stanowisko zawdzięczał koalicyjnemu zwyczajowi partyjnego podziału łupów, podjął nieoczekiwaną a błogosławioną w skutkach decyzję. Dyrektorem restytuowanego Teatru Narodowego (wówczas tzw. Sceny Dramatu w ramach kombinatu operowo-dramatycznego, mniejsza o detale) uczynił Jerzego Grzegorzewskiego. Żeby było jasne: Narodowy Grzegorzewskiego wcale nie miał świetnej prasy, co najwyżej wąskie grono wyznawców; w 2003 r. artysta ustępował ze stanowiska w poczuciu osamotnienia. A jednak sformu-

się nawet ci, którzy w 2015 r. obchodzili „250-lecie teatru publicznego”. Jaki stąd morał? Że na zwrot inwestycji trzeba czasem długo czekać i że nie zawsze to inwestor cieszy się z owoców swoich decyzji. Dokonując wyboru, warto spojrzeć poza horyzont własnego czasu, bo w sztuce to ryzyko, a nie kompromis rodzi wartość. Teatr narodowy powinien być otwarty dla wszystkich, ale nie może być teatrem dla każdego.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autorka jest teatrologiem, współpracowniczką miesięcznika „Teatr” i portalu teatralny.pl. W latach 1997–2006 w Teatrze Narodowym w Warszawie, od 2002 jako kierownik działu literackiego.

Na wstępie może trzeba cofnąć się do czasów, gdy spektakle Starego Teatru kształtowały mój młody umysł i serce, w zdecydowany sposób wpływając na wybór życiowej drogi. Pamiętam taki na przykład weekend w maturalnej klasie (był chyba maj 1991 r.), gdy z przyjaciółmi zobaczyliśmy w Starym trzy przedstawienia: najpierw „Ślub” Gombrowicza w reżyserii Jerzego Jarockiego, potem „Braci Karamazow” Dostojewskiego w wizji Krystiana Lupy, wreszcie „Wesele” Wyspiańskiego

mistrzów wchodziły ze sobą w interakcję, gadały ze sobą, o siebie się ocierały, nawzajem rzucały na siebie światło. Warto pamiętać, że Stary Teatr, będący wtedy niezaprzeczalnym punktem odniesienia, nie miał w istocie żadnej konkurencji. Teatr Narodowy wciąż de facto nie istniał, wrocławski Polski rozkwitł za dyrekcji Jacka Wekslera, kiedy przedstawienia regularnie robili tam Jarocki, Lupa i powracający do miasta nad Odrą Grzegorzewski. Wówczas teatralna mapa Polski uległa zmianie, jednak przez

wszystkich stron warunkach. Kimś takim jest też niewątpliwie Anna Augustynowicz. Tyle że szefowa szczecińskiego Teatru Współczesnego mocno jest związana ze Szczecinem właśnie i trudno nawet sugerować jej przeprowadzkę. Poza tym przykład Krystyny Meissner, a po części i Jana Klaty, pokazał, że Kraków to trudne, a nawet bardzo trudne miasto.

Jego tradycja oraz tradycja Starego Teatru stanowią jednocześnie dziedzictwo i bagaż. Jan Kłata próbował odwołać się do niej automatycznie, projektując sezony

Powrót do teatralnej republiki



Jacek Wakar
Polskie Radio

przygotowane przez Andrzeja Wajdę. Byliśmy na różnych scenach Starego, a jakby w trzech teatrach trzech wielkich inscenizatorów. Pracował wtedy w Starym także Jerzy Grzegorzewski. Mimo że od śmierci Konrada Swinarskiego minęło lat 15, jego legenda i podskórny wpływ na zespół były wciąż bardzo mocne. Mawiano o Starym Teatrze lat 70. i 80., że jest teatralną republiką i dyrektorzy, których czas już mogę pamiętać – Stanisław Radwan i Tadeusz Bradecki – próbowali wciąż do tej idei się odwoływać. Stary miał wówczas aktorów najlepszych z najlepszych, w dodatku jednego dnia pracujących z Grzegorzewskim, a następnego na przykład z Jarockim. Spektakle

kilka dekad centralnym jej punktem był pl. Szczepański w Krakowie.

OSOBOWOŚCI

Powrotu do teatralnej republiki być może nie tylko dlatego, że nie ma wśród nas Jarockiego, Wajdy ani Grzegorzewskiego, trudno też wskazać ich następców. Model polskiego życia teatralnego do tego stopnia się zmienił, że trudno w nim o miejsce dla autorytetów. Kimś takim jest Krystian Lupa, ale z powodu sytuacji we Wrocławiu i rezygnacji ze współpracy ze Starym pod dyrekcją Jana Klaty nie ma dziś w kraju swojego miejsca. Dobrze by było, gdyby powrócił do Krakowa, rzecz jasna – na możliwych do zaakceptowania dla

tematyczne, nawiązujące do dokonania wielkich twórców sceny przy Jagiellońskiej. Skończyło się jednak na powtarzaniu nawet nie tytułów, ale autorów. Niewiele ciekawego z tego wynikło. Stary Teatr musi zatem w inny sposób powrócić do swej spuścizny. Szkoda, że już bez aktorów, którzy przez lata byli legendami tej sceny – Anny Polony i Jerzego Treli. Odejście Treli (choć był już na emeryturze) zawdzięcza Kłata dziwnemu performance'owi wokół biografii Swinarskiego. Stał się on w powszechnej opinii niczym więcej niż ekscesem, ale pokazał, że Kłacie i jego ludziom zbyt łatwo przychodzi deptanie świętości Starego.

Podział jest dzisiaj jasny. Teatr Narodowy uchodzi za scenę klasyczną,

Narodowy Stary Teatr oznacza działania progresywne. Trochę w tym publicystycznego uproszczenia, bo jubileuszowy sezon 250-lecia warszawskiej narodowej sceny uważam za wzorzec i trudno w „Kordianie” Jana Englerta, „Dziadach” Eimuntasa Nekrošiusa oraz „Soplicowie” Piotra Cieplaka doszukiwać się konserwatywnego zamknięcia na świat. Przeciwnie, trzema wspianymi inscenizacjami Narodowy pod wodzą Englerta udowodnił, że jest zdolny do najpoważniejszych przewarściowań, tyle że będzie prowadził je na

i Demirskiego odkryłem dla siebie przy okazji „Artystów” oraz ostatnio przygotowanego w Starym „Triumfu woli”. Jan Kłata natomiast swe najlepsze przedstawienia zrobił nie w Krakowie, ale we Wrocławiu („Sprawa Dantona” w Polskim, „Jerry Springer: The Opera” w Capitolu) i mimo festiwalowych sukcesów „Króla Leara” i „Wroga ludu” oraz zachwytów części krytyki, których nie podzielałam, nie potrafił dać Staremu spektaklu założycielskiego swojej dyrekcji. Zdarzenia, które zjednoczyłyby wszystkich, tak jak kiedyś

a od ich obecności zależy powodzenie przyszłego konkursu w Starym.

KONKURS

Nie wiem, kto w nim wystartuje. Namawiałbym Jana Klatę, aby tą drogą zweryfikował swój program. I namawiałbym ważnych artystów z szeroko pojętego pokolenia 40-latków (to oczywiście umowna cezura), gdyż zwycięstwo Cezarego Morawskiego we Wrocławiu wzięło się z braku konkurencji. Do dziś żałuję, że zespół Teatru Polskiego wraz z Krzysztofem Mieszkowskim nie wyznaczyli wówczas własnego kandydata na dyrektora, który zapewniłby sensowną kontynuację dotychczasowej linii z koniecznymi modyfikacjami. Gdyby stało się to kilka miesięcy przed konkursem, udałoby się przeprowadzić akcję informacyjną i owego kandydata wypromować. Wówczas przeprowadzenie do zwycięstwa kandydatury Morawskiego byłoby niemożliwe albo dużo trudniejsze. Warunek konieczny do tego, aby w Krakowie nie powtórzył się wariant wrocławski, to lista kandydatów. Twórców gotowych do podjęcia dialogu z zespołem oraz rozszerzania go. Ludzi wiarygodnych dzięki swemu dorobkowi, a nie takich, którym wydaje się, że legitymację do kierowania narodową sceną daje im popieranie odpowiedniego politycznego obozu.

Dyrektor Starego Teatru musi ponosić odpowiedzialność za jego działalność sam, choć może odwoływać się do opinii artystów zapraszanych przez siebie do pracy. Powoływanie jakichkolwiek zewnętrznych gremiów doradczo-nadzorczych musi zakończyć się fiaskiem. Ważne, aby otwierać się na różne estetyki, nie zapominać o publiczności. Mocą Starego Teatru – tak jak w czasach Lupy, Jarockiego, Grzegorzewskiego i Wajdy – zawsze była różnorodność. Siły i środki nie te, czasy inne, a mimo to warto wracać nawet do niemożliwego. Tym bardziej że Narodowy Stary Teatr przestał być niekwestionowanym krakowskim hegemonem. Twórczy ferment zapanował w Teatrze Słowackiego, który może przyciągnąć dotychczasową publiczność Starego. Wiele się dzieje w Ludowym, o mocnej od lat pozycji Łaźni Nowej nie wspominając. Teatralny Kraków się zmienia. Zmienić powinien się również Stary Teatr.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest krytykiem teatralnym, dziennikarzem Programu II Polskiego Radia, współpracownikiem TVP Kultura i miesięcznika „Teatr”



Mocą Starego Teatru – tak jak w czasach Lupy, Jarockiego, Grzegorzewskiego i Wajdy – zawsze była różnorodność

„nie-boska. WSZYSTKO POWIEM BOGU!” (2014),
reż. Monika Strzępka FOT. MAGDA HUECKEL

bazie klasyki. Stary Teatr siłą rzeczy nie może powtórzyć tego samego modelu, będzie wciąż zatem sięgał do poszukiwań nowych teatralnych języków, balansował na granicy ryzyka. Nowemu albo obecnemu dyrektorowi (jeśli Janowi Kłacie po zwycięstwie w konkursie przypadnie druga kadencja) sugerowałbym większą niż dotąd wiarę w siłę samego teatru kosztem publicystycznych przesłań i wszelkiego rodzaju działań pobocznych.

Wykryształizowała się ostatnio nowa wielka trójka Starego Teatru, do której oprócz dyrektora należy Monika Strzępka, wspierana przez Pawła Demirskiego, oraz Krzysztof Garbaczewski. Teatr tego ostatniego jest mi biegunowo odległy, Strzępkę

„Sprawa Dantona” z Polskiego. Niemniej czas każe łaskawiej spojrzeć na kadencję Klaty, gdyż po pierwszych burzach umiał on uspokoić sytuację i sprawić, że o Starym Teatrze nie mówiło się tylko w sensacyjnym tonie. Inna rzecz, że zabrakło krakowskiej narodowej scenie wydarzeń ponad podziałami. Ja powiem, że blisko był „Woyzeck” Mariusza Grzegorzka albo „Platonów” Konstantina Bogomołowa, wymienię jeszcze „Triumf woli”. Ktoś wskaże całkiem inne tytuły. To normalne, bo nie da się zadekretować gustu widzów. Rozstrzał opinii wskazuje jednak, że dyrekcję Jana Klaty trudno ocenić jednoznacznie. Tym bardziej że trudno wskazać potencjalnych następców,



Maciej Nowak

Owyjątkowej pozycji Narodowego Starego Teatru w pejzażu polskiej kultury nie musimy się przekonywać. Już sam fakt, że duży ogólnopolski tygodnik opinii poświęca tej scenie specjalny dodatek, jest sygnałem szczególnym. Od czasu inauguracji odbudowanego z pożogi Teatru Narodowego w roku 1997 podobnej debaty w naszej prasie nie było. Dobrze, że dyskutujemy zamiast znowu podpisywać egzaltowane supliki do władzy bądź organizować protesty ulicznych grup modlitewnych.

Budynek przy pl. Szczymskim w Krakowie budzi wśród publiczności i twórców teatru emocje szczególne. Ani najstarszy, ani najwygodniejszy, ani nie zawsze w olimpijskiej formie, jest jednak punktem odniesienia dla wszystkich innych polskich teatrów. To narodowy skarb, rodowe srebro i porcelana, wobec których należy postępować z największą ostrożnością. W historycznym składzie tak delikatnego towaru łatwo można doprowadzić do demolk. Zgrozę wywołuje myśl, że ambicje polityczne i artystyczne, małostkowość i zawiść mogłyby uruchomić w Krakowie mechanizm analogiczny do tego, który pustoszy Teatr Polski we Wrocławiu.

Ale przecież i tego nie można wykluczyć, bo polskie rozdarcie to przede wszystkim zacięta wojna kulturowa o symbole. A Stary takim symbolem bez wątpienia jest. A co za tym idzie – niezwykle pożądanym łupem przez każdą ze stron wielkiego konfliktu. W takim rozgorączkowaniu nietrudno o decyzje i gesty pochopne lub triumfalistyczne. Dmuchając na zimne, powinniśmy utrzymać przez najbliższe lata obecny status quo. Czyli docenić trudny

balans, jaki udało się osiągnąć Janowi Klacie, dyrektorowi na Starym od roku 2012. Nie widzę dzisiaj w naszym środowisku nikogo o porównywalnym autorytecie artystycznym, a jednocześnie ze znajomością wszystkich komplikacji, kto mógłby już jesienią tego roku przejąć stery u Modrzejewskiej. W pierwszej kadencji rozpoczął rejs, który powinien kontynuować w następnej. Czy miałoby to trwać jeszcze dłużej, nie wiem, zostawmy sobie ten dylemat na początek trzeciej dekady XXI w.

w mediach tradycyjnych i społecznościowych trwa pamięć o protestach części krakowskiej socjety podczas spektakli „Do Damaszku” Strindberga/Klaty w listopadzie 2013 r. i oskarżeniach o rzekomy brak moralności. Z kolei przedstawiciele postępowej barykady nie mogą zapomnieć dyrektorowi spacyfikowania republiki Krystiana Lupy w Teatrze Kameralnym przerwania prób „Nie-Boskiej” Krasińskiego/Frljcia oraz wstrzymania przygotowań do premiery Wojtka Ziemińskiego. Paradoksalnie jednak płynąc na

go/Strzępki oraz „Królem Learem” i „Wrogiem ludu” Klaty. Dyrektor umie przekroczyć dawne uprzedzenia i zaprosić do współpracy Pawła Miśkiewicza, co poskutkowało świetnymi „Podopiecznymi”. Docenia też konieczność szukania nowych talentów, stąd obecność w Starym Krzysztofa Garbaczewskiego, Anny Smolar, Justyny Sobczyk, Łukasza Tworowskiego. Po wstępnych niepokojach wydaje się też, że wraca energia i wiara w zespół aktorski. Zintegrowany wokół autorytetów średniego i starszego pokolenia, nieustająco wzbogaca się o młode indywidualności. Monika Fraczyk, Marta Nieradkiewicz, Małgorzata Gorol, Bartosz Bielenia – to artyści, do których będą należeć najbliższe dekady. Duże wrażenie robi też Klaty troska o tradycję Starego, przejawiająca się m.in. w utworzeniu Centrum Edukacji Teatralnej, najnowocześniejszej dziś w Polsce ekspozycji poświęconej przeszłości narodowej sceny.

Po jednym ze spektakli „Triumfu woli” wszedłem za kulisy, by pogratulować twórcom. Satysfakcja artystów była widoczna już na scenie, gdzie szczęśliwi kłaniali się, przyjmowali kwiaty i śpiewali razem z widownią. Miło było ich widzieć w takim stanie. Jeszcze bardziej krzepiący był entuzjazm pracowników obsługi, których zastałem na zapleczu. Uśmiechnięte panie garderobiane, panowie maszyści przybijający piątki i pani inspicjentka, która nie mogła w ekscytacji przestać mówić przez interkom jeszcze kilkanaście minut po zakończeniu przedstawienia. Tego żaru, jaki rozgrzewa dzisiaj Stary Teatr, nie można wygasić.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest krytykiem teatralnym i kulinarnym, współpracownikiem „Gazety Wyborczej”. Od 2015 r. zastępcą dyrektora ds. artystycznych Teatru Polskiego w Poznaniu.



„Triumf woli” (2016), reż. Monika Strzępka FOT. MAGDA HUECKEL

W ciągu swoich pierwszych pięciu krakowskich sezonów Klatę naraził się wszystkim. Środowiska prawicowe i konserwatywne demonstrowały przed kilkoma laty niezadowolenie z pojawienia się na narodowej scenie nowych środków wyrazu. Sam widziałem Elżbietę Morawiec, która przerwała „Trylogię” Sienkiewicza/Klaty okrzykami: „Skandal! Skandal!”. I ostentacyjnie wyszła z widowni, trzaskając drzwiami. Do dziś

nieustającym i ulubionym przez siebie halsie, Klatę prowadzi narodową nawę pewnym i stabilnym kursem. Świadczą o tym ciasno wypełniony afisz miesięczny z wysokim, akademickim repertuarem, świetna frekwencja i coraz częstsze standing ovation na widowni.

Bywają realizacje mniej udane, to oczywiste, ale z całą pewnością ta dyrekcja przejdzie do historii „nie-boską” i „Triumfem woli” Demirskie-

„Ślub” (1991),
reż. Jerzy Jaroński
FOT. WOJCIECH PLEWIŃSKI

Parę uwag w związku z (nieprzewidywalną) przyszłością Starego Teatru



Jacek Sieradzki

Redakcja „Do Rzeczy” pyta: „Jak w Polsce rozdzielonej konfliktem wyglądać winna druga scena narodowa?”. Zaczniemy od tego, że sama kwestia „drugiej sceny narodowej” ma bardzo młodziutką metrykę. Przymiotnik „narodowy” przyczepiono do szyldu Starego Teatru ledwie w latach 90. i to z przyczyn administracyjno-finansowych. Szykowano przekazanie teatrów samorządom i chodziło o to, żeby Stary stał się jedną z trzech scen zarządzanych centralnie, przez Ministerstwo Kultury. I żeby dysponował subwencją znacznie wyższą niż ta, na którą stać władze lokalne.

1. Nie mówię, że Staremu nie należały się prestiż ani forsa. Należały się. Mówię tylko, żeby nie przykładać spizowej miary do tytułatury. Upojenie szczytną nazwą bywa oplakane w skutkach, bo powoduje, że prestiż staje się bagażem oczekiwań ponad siły, swoistą kotwicą pętającą ruchy. „Pierwsza” scena narodowa, ta warszawska, miała prze-

cież w historii długie okresy drugorzędności, choćby w międzywojniu. Można się upierać, że nazwa zobowiązuje i od teatru z przymiotnikiem należy wymagać więcej niż od bezprzymiotnikowego, ale życie takie żądania weryfikuje bezlitośnie i zazwyczaj złośliwie.

2. Stary Teatr był bez wątpienia sceną narodową wtedy, gdy nikt mu nie dopisywał przymiotnika do szyldu – w latach 70. Na wielkie i mądre przedstawienia jeździły do Krakowa z Warszawy całe pociągi pielgrzymów-teatromanów.

A przecież okoliczności były tak niesprzyjające! Gdy nie zdzierżywszy szarogęszenia się cenzury, dymisję złożył legendarny Zygmunt Hübner, teatr powierzono Janowi Pawłowi Gawlikowi, pośledniemu dramaturgowi bez doświadczenia. A on okazał się dobrym dyplomata: urabiając i uspokajając władze, umiał dostrzec i wyzyskać impet twórczy wchodzących w życiową formę Konrada Swinarskiego, Jerzego Jarońskiego, Andrzeja Wajdy, Jerzego Grzegorzewskiego. Potrafił ich mądrze inspirować. A potem działał już niesamowity, nie-do-zaplanowania mechanizm kuli śnieżkowej, kiedy sukces nakręca

sukces, teatralny organizm się rozpędza, kumuluje twórczą energię, przyciąga widzów, których oddanie i zachwyt też zmienia się w paliwo. Oglądaliśmy takie zjawiska także ostatnio. Żadne z nich nie zostało zaplanowane, każde uruchamiało się i rozpędzało samo, siłą talentów liderów i artystów. Tudzież siłą przypadku, w teatrze nie do przecenienia.

3. Nieklamany sukces teatru zawsze marmurzeje, zmienia się w pomnik-utrapienie dla następców. Świeżłana przeszłość staje się maczugą do bicia sukcesorów. Jana Klatę, gdy został dyrektorem Starego Teatru, okładano ile sił statuą Konrada Swinarskiego, mędrca i geniusza, któremu następca, twierdzono, nie dorasta do pięt.

Aliści wystarczyło poszperać nie w idealizującej pamięci, tylko w historii, by wiedzieć, że Swinarski w swoim czasie był przez krakowski establishment wręcz wyklinyany. W roku 1973 mówił: „Tym razem [...] nie ma tego, co zawsze z okazji moich przedstawień bywało, że część prasy krakowskiej potępiała je za amoralność, za bezideowość, za brutalność [...]. Przez jakiś czas bywało i tak, że profesorowie

Uniwersytetu zabraniali studentom uczęszczać na moje przedstawienia". Proboszczowie z ambon też.

Czy w przyszłości upomnikowanym Klatą będą walić po łbie kolejnego szefa Starego Teatru? Nie umiem sobie tego wyobrazić, ale to pewnie tylko ubóstwo mojej wyobraźni.

4. Nie wierzę w sens dekretoowania z zewnątrz, jaka powinna być scena narodowa naszych rozdartych czasów. Rzeczywistość nigdy nie słucha takich rad. A jeżeli czasem słucha, to na własną zgubę, bo tworzy się wtedy struktura „oficjalna”: sztywna, porządnicka i martwa. Są takie teatry narodowe w Europie.

Nie wierzę w arbitralne rozstrzygnięcie sporu, jakie winny być proporcje między – powiada redakcja – „sceną poszukiwań oddaną młodym a szacunkiem dla tradycji i bardziej konserwatywnych widzów”. Powinny być takie, jakie zaproponuje lider, zgodne z jego temperamentem i światopoglądem. Powinny być funkcją jego programu – nie gorsetem.

A już ni w ząb nie wierzę w postulat, iżby zmienić „strukturę zarządzania narodową sceną i odwołać się do ciał kolegialnych”. To złudzenie urzędników, choć, jak widać, nie tylko ich: mamy problem, więc powołajmy komisję. Teatr nie jest instytucją demokratyczną. I nie może nią być.

Jedyny tak naprawdę istotny, elementarny problem związany z dyrektowaniem narodową sceną – i każdą inną też – zamyka się w prostym odwiecznym pytaniu: Jak i gdzie znaleźć człowieka mającego w sobie potencjał lidera, zdolność pociągnięcia za sobą ludzi, przekonania do swoich pomysłów widowni, umiejętności dyplomatyczne i wielkie pokłady intuicji. Człowieka, który weźmie dyрекcję i da jaką taką rękojmnię (pewności nie da nikt), że starej budy nie przemarnuje.

5. Czy rzeczywiście zostanie ogłoszony, jak czytamy, „otwarty konkurs na dyrektora Starego Teatru”? Nie słyszałem, ale może redakcja ma lepsze informacje.

Nie byłby to fortunny pomysł.

Konkurs na dyrektora jest obligatoryjny w instytucjach samorządowych, w narodowych nie. Minister po prostu mianuje dyrektora. Dobrą wolą Bogdana Zdrojewskiego było wyłonienie dzisiej-

szego szefa Starego Teatru w drodze konkursu zamkniętego: aplikacje pisało kilku imiennie zaproszonych artystów.

Redakcja pyta: „Czego uczy nas konflikt z obsadą Teatru Polskiego we Wrocławiu?”. Otóż uczy tego, że konkursy na dyrektorów teatru sprawdzają się dziś średnio, a w ostrym konflikcie nie sprawdzają się w ogóle. Konkurs wrocławski, źle, za późno ogłoszony, prowadzony w awanturze politycznej, z wielkim długiem w tle, zgromadził mikrą liczbę kandydatów, nie na miarę rangi ani ostatnich osiągnięć sceny. Co gorsza, przez urzędniczą niekompetencję konkurs wygrał facet, którego program był kuriozalną bzdurą, zestawem przypadkowych tytułów, obietnicą czczenia wielkich rocznic (stosowano to w PRL; Jerzy Koenig pisał z przekąsem o „teatrze z kalendarza”) i spisem rzekomych współpracowników wyssanym z palca.

Szykuje się kolejny turniej demagogii, oskarżeń i pieniactwa

Średnio rozgarnięty teatroman wystukałby to na komputerze w pół godziny. Jeśli kandydat z czymś takim w portfolio dostaje we władanie jedną z pierwszych scen w kraju, to trudno o wyraźniejszy sygnał, że meritum nijak się tu nie liczy.

Co jak najgorzej wróży ewentualnemu konkursowi na dyrektację Starego. Szykuje się kolejny turniej demagogii, oskarżeń i pieniactwa. Szykuje się rozczerwanie, że nikt z najwybitniejszych nie stanął do wyścigu, poczucie, że trzeba wybierać ofertę najlepszą spośród słabych. Jakie rezultaty przyniosło to we Wrocławiu – widać na obrazku. Było warto?

6. Nie program wydrukowany na zawsze cierpliwym papierze, nie do zweryfikowania, powinien przesądzać o jakości kandydata. Ważniejszy – przy aspirowaniu do takiej sceny jak Stary – winien być dorobek. Niekoniecznie dyrektorski. Wszelki, gdzie mogły się zaznaczyć osobowość kandydata, talenty kierownicze, skuteczność. I ważna winna być ekipa. Nie wypisana z (cudzej) książki telefonicznej. Małe

grono współpracowników, które będzie z kandydatem robić teatr. Dorobek i ekipa, w dalszej kolejności zamiary artystyczne (oby coś więcej niż lista pobożnych życzeń) – z takim wianem kandydat na dyrektora powinien siadać do przesłuchania przed... Przed komisją konkursową? Nie. Przed ministrem. Albo jego przedstawicielem.

Nie mam pojęcia, jakim cudem powyższe zdanie przeszło mi przez palce na klawisze komputera. Zawsze opowiadałem się za komisijną procedurą konkursową, najbardziej transparentną. Mam też świadomość, że dzisiejsza ekipa ministerialna jest najbardziej zideologizowana w historii niepodległej Polski, obciąża ją masa idiosynkrazji personalnych, a parę wyborów kadrowych było strzałami, co się zowie, kulą w płot.

A jednak arbitralna decyzja ministra jest lepszym wyjściem, niż mieć w Starym dyrektora wyłoniętego przez komisję, z której nikt nie weźmie odpowiedzialności, a na ucho będą nam mówić: „No, sam widziałeś, kto się zgłosił, z kogo musieliśmy wybierać”. Bezpośrednia nominacja to współodpowiedzialność i mocny mandat. Bogdan Zdrojewski nominował Jana Klatę, mając argumenty przemawiające za jego kandydaturą, i pozostał wobec niego lojalny przez wszystkie zawirowania generowane wokół artysty z irokezem. Teraz emocje opadły, Kłata kończy pierwszą kadencję, wcale nie jest powiedziane, że ostatnią, dorobek ma dyskusyjny, acz nie do przekreślenia jedną kreską. Czy Piotra Glińskiego będzie stać na jednoznaczne opowiedzenie się za kimś, kto będzie się legitymował poważnym, niechby kontrowersyjnym, dorobkiem, koło kogo stanie poważna ekipa i kto da nadzieję, że będzie budował na swoją oryginalną modłę ciekawą i żywą scenę narodową? Nie wiem. Wielkich nadziei nie mam. Lepszej drogi jednak nie ma.

A potem będzie jak zawsze. Uda się albo nie. Program dobrze wystartuje i ruszy kula śniegowa sukcesu albo przyjdą klęski, z których się trzeba będzie mozolnie podnosić. Nie przewidzi tego żadna władza, żadna komisja ani żadna wyrocznia.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem naczelnym miesięcznika „Dialog”

CZYTAJ CO TYDZIEŃ **W LEPSZEJ CENIE** **ZAMÓW PRENUMERATĘ**

PRENUMERATA PÓŁROCZNA TYGODNIKA „DO RZECZY”

+ **KSIĄŻKI**: J. GRZĘDOWICZ „HEL 3”,

M. L. KOSSAKOWSKA „BRAMY ŚWIATŁOŚCI. TOM 1”



143 zł

oszczędność 125 zł

www.prenumerata.dorzeczy.pl

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPLATA NA KONTO:
62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o.
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa.

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy
Ci obecnie trwającą prenumeratę,
a prezent wyślemy z najbliższym
wydaniem tygodnika.

WIĘCEJ INFORMACJI:

E-MAIL: prenumerata@point-group.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: www.prenumerata.dorzeczy.pl
eprasa.pl bd301d5ae4



FOT. MATERIAL PHASONE

WIESŁAW
CHĘĆMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Czarni i biali w kolorze



★★★★★
REŻ. THEODORE
MELFI „UKRYTE
DZIAŁANIA”
(„HIDDEN
FIGURES”)
USA 2016

wyst. Taraji Henson,
Octavia Spencer,
Janelle Monáe,
Kevin Costner

Dla jednych są zaszczyty, dla drugich kasa. „Moonlight” dostał najważniejszego Oscara, ale z ekranów kin zniknął szybko. „Ukrytych działań” nie nagrodzono żadną statuetką, lecz Amerykanie nadal chcą je oglądać. Film pod myślnym szpiegowskim tytułem zarobił w Stanach na czysto więcej niż „La La Land”. Swoją drogą, podziwiam spokój, z jakim przyjęli werdykt Akademii Latynosi i Azjaci. Rasiści z Los Angeles i okolic na oczach całego świata kompletnie zlekceważyli ich wysiłki. I to nie po raz pierwszy. Czas na ogłoszenie obywatelskiego bojkotu!

Mówiąc poważnie, szafarze Oscarów w swych wyborach kierują się w ostatnich latach głównie snobizmem i polityczną poprawnością. Drzewiej bardziej doceniali

zawodowe umiejętności. Gdyby „Ukryte działania” nakręcono 20 lat temu, zgarnęłyby wiele nagród, bo to przykład świetnego filmowego rzemiosła. Theodore Melfi (niestety, biały) już wcześniej zresztą dowiódł, że odświeżanie zużytych konwencji to jego specjalność.

Rzecz dzieje się za prezydentury Kennedy’ego. Sowiecki sputnik krążący nad Ziemią drażni i niepokoi Jankesów. Aby wygrać kosmiczny wyścig mocarstw, trzeba odłożyć na bok przesady. NASA werbuje grupę uzdolnionych matematycznie Murzynek. Katherine nie wygląda na geniusza, więc gdy trafia do najważniejszej sekcji, w pierwszej chwili biorą ją tam za sprzątaczkę. Mary też ma łeb jak sklep i chce zostać pierwszym czarnoskórym inżynierem w dziejach agencji. Dorothy, której odmówiono awansu,

po godzinach rozgryza tajemnice wielkiego jak szafa komputera – w słusznym przekonaniu, że programista to zawód przyszłości.

W Langley pracuje elita, rasizm ma tu charakter dyskretny, lecz w stanie Wirginia obowiązuje segregacja – osobne są nawet toalety. Nasze trzy panie są jednak odporne psychicznie i nie dają sobie w kaszę dmuchać. Poza tym NASA łączy naród – wszyscy trzymają kciuki za siedmiu wspianych, którym powierzono misję podboju kosmosu. Oczywiście, twórcy „Ukrytych działań” trochę koloryzują. John Glenn nie był pierwszym ani nawet drugim człowiekiem, który wszedł na orbitę. A powodzenie jego wyprawy nie zależało od jednej osoby.

Ton fabuły jest lekki, momentami żartobliwy. Feministyczny i antyrasistowski przekaz sączy się z ekranu bez przerwy, lecz jakby mimochodem. Przeciwnicy nie są demonami. Można ich pokonać, a nawet przekonać. Powinni to sobie wziąć do serca nasi artyści, z uporem godnym lepszej sprawy próbujący uprawiać propagandowe poletko. Amerykanom zaś bardzo przydałby się nowy, wspólny bohater. John Glenn umarł pod koniec zeszłego roku. Kim Kardashian raczej go nie zastąpi. ©©



KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „KONG: WYSPA CZASZKI”

Ta opowieść o King Kongu nie ma nic wspólnego z filmem Petera Jacksona sprzed 12 lat, za to – wiele z nową wersją „Godzilli” z roku 2014. Obydwa należą do przedsięwzięcia amerykańskiej wytwórni Legendary i japońskiej Toho – MonsterVerse. Jest to seria o potworach rozgrywająca się w tym samym uniwersum. Na ekrany

wchodzi opowieść o wyspie, z której pochodzi Kong. W roku 2020 mamy poznać kulminacyjny obraz serii – „Godzilla kontra King Kong”. ©©

Piotr Gociek

• „Kong: Wyspa Czaszki” („Kong: Skull Island”), reż. Jordan Vogt-Roberts, wyst. Brie Larson, Tom Hiddleston, Samuel L. Jackson, USA 2017

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- „Chata” („The Shack”), reż. Stuart Hazeldine, USA 2017
- „Captain Fantastic”, reż. Matt Ross, USA 2016
- „Wykłęty”, reż. Konrad Łęcki, Polska 2017

Kochanica Francuza

Kiepski prezent na 150. urodziny Marii Skłodowskiej-Curie. Z filmu madame Noelle wynika jasno, że największym życiowym osiągnięciem naszej rodaczki było zwycięstwo nad patriarchatem, przełomowym zaś wydarzeniem – romans z o pięć lat młodszym, lecz żonatym i dzieciatym kolegą. W oczach czytelników ówczesnej prasy brukowej obyczajowy skandal poniekąd unieważnił naukowe dokonania Marii. Od biografów oczekuje się jednak czegoś więcej niż mnożenia scen, w których dwukrotną noblistkę można obejrzyć taką, jaką ją Pan Bóg stworzył. Karolina Gruszka, mało do Skłodowskiej podobna, nagości się nie boi i z uroczym uśmiechem realizuje założenia

scenariusza. Gra czułą matkę, namiętą kochankę, poliglotkę, zwołaną pływaczkę i cyklistkę oraz wielbicielek róż, która w laboratorium znajduje azyl przed bezdusznym męskim światem. Powielanie seksistowskich stereotypów tudzież uparte definiowanie bohaterki w kategoriach płci nie przydają fabule atrakcyjności. Wręcz przeciwnie.

Na ekranach kin wciąż grasuje, lansowana przez postępowe media, „Sztuka kochania”. Michalina Wisłocka, jako bezpruderyjna bojowniczka o prawa kobiet, wydaje się duchową siostrą filmowej Skłodowskiej. Mam jednak przeczucie, że w realu obie panie by się nie porozumiały. Zabrakłoby chemii. ©©

Wiesław Chełmniał



★★★★★
REŻ. MARIA NOELLE
„MARIA SKŁODOWSKA-CURIE”
FRANCJA/ BELGIA/ NIEMCY/ POLSKA 2016

wyst. Karolina Gruszka, Arie Wirthalter, Charles Berling, Izabela Kuna



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

BRIDGET, CZYLI MAMUŚKA

Zaczyna się od pogrzebu Daniela Cleavera, zatem Hugh Grant w tej części przygód Bridget Jones nie będzie dobierał się do jej majtek. W grze pozostaje żonaty z inną Mark Darcy (Colin Firth), a na horyzoncie pojawia się poznany przypadkowo amerykański milioner Jack (Patrick Dempsey). Bridget ma 43 lata i desperuje, że na wszystko w życiu jest już za stara. Przejdzie jej, kiedy zajdzie w ciążę. Kto jest ojcem dziecka? Przez długi czas głównym bohaterem komedii są dwie pięknie ujęte węgierskie prezerwatywy (przyjazne dla środowiska), ale – o dziwo! – to działa. Może wskutek sentymentu widzów do poprzednich części, może dlatego, że w akcji znów oglądamy bardzo sympatyczną obsadę (mistrzowska Emma Thompson jako pani ginekolog). Reszta po staremu. Jedynie liczba scen promujących szczęśliwe gejostwo tudzież homoadopcje znacznie wzrosła.



wyst. Renée Zellweger, Gemma Jones, Jim Broadbent

★★★★★
REŻ. SHARON MAGUIRE
„BRIDGET JONES 3” („BRIDGET JONES'S BABY”)
WIELKA Brytania 2016, UNIVERSAL POLSKA

ABSOLUTNIE NIEREFORMOWALNE

Z sitcomu „Absolutnie fantastyczne” nigdy nie dowiedzieliśmy się, czym właściwie główna bohaterka Edina zaskarżyła sobie na wyjątkową pozycję w świecie londyńskiego PR. W filmowej wersji serialu wreszcie wątpliwości co do tego mają jej klienci. Spłukana do cna i poniżona przez wydawcę (pyszny epizod Marka Gatissa), Edina próbuje skaptować do swojej tajni supermodelkę Kate Moss, co kończy się spektakularną katastrofą. Znów pojawiają się: Patsy, na tradycyjnej diecie z szampana, papierosów i botoksu, oraz pozostałe postacie z serialu. Akcja przenosi się z Londynu do Nicei, gdzie bohaterki ukrywają się przed prawem. Rozmach produkcji jest kinowy, ale bohaterki się nie zmieniły. Edina i Patsy to skrajne egoistki, radosne idiotki i najgorsza możliwa wizytówka świata celebrities. Co jest śmieszne, smutne i straszne za jednym zamachem. ©©



wyst. Jennifer Saunders, Joanna Lumley, Jane Horrocks

★★★★★
REŻ. MANDIE FLETCHER
„ABSOLUTNIE FANTASTYCZNE: FILM” („ABSOLUTELY FABULOUS: THE MOVIE”)
WIELKA Brytania 2016, IMPERIAL

recenzuje Piotr Gociek

GRA TYGODNIA: „URBAN EMPIRE”

Nikt nie mówił, że zarządzanie miastem to bułka z masłem. Zwłaszcza jeśli musimy rozwijać metropolię przez ponad 200 lat postępu cywilizacyjnego, zmagając się nie tylko z logistyką, lecz także z brutalną polityką. Chociaż „Urban Empire” z pozoru wygląda jak uboższa graficznie wersja „SimCity”,

najlepsza część gry leży nie tyle w wątku ekonomicznym, ile w polityce właśnie. Mając do wyboru jeden z czterech rodów, które wyznają różne wartości, musimy być mu w trakcie gry wierni. I odpowiednio przekonywać radę miasta, aby zgodziła się na budowę np. potrzebnego nam dworca.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Niestety po dłuższym czasie gra raz i powtarzalnością. ©©

Marcin Makowski

- **Gatunek:** Ekonomiczna
- **Platforma:** PC
- **Producent, dystrybutor:** Reborn Games/cdp.pl
- **Klasyfikacja PEGI:** 3+

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Duma i bezwstyd

Montenegro... Nazwa chyba żadnego innego europejskiego kraju nie brzmi tak pięknie. Montenegro – Czarnogóra. Niewiele o niej wiem, pewnie dlatego z takim zainteresowaniem przeczytałem „Czarnogórskie klimaty” Grzegorza Łatuszyńskiego, znakomitego znawcy problematyki bałkańskiej, tłumacza literatury serbskiej, chorwackiej i czarnogórskiej, twórcy antologii poezji tych właśnie krajów. A na poezję czarnogórską Łatuszyński – sam poeta – musiał zwrócić szczególną uwagę, bo też powstawała ona w wyjątkowym miejscu.

W wierszu „Cetinje” autor „Czarnogórskich klimatów” pisze: *I dzisiaj tu, i nie tylko tu, w całej Czarnogórze, jest chyba największe zagęszczenie poetów na świecie. Tu się poeci rodzą na kamieniu, bo i na czym by się mieli rodzić w tym kamienistym kraju. Ani tu słońce, ani orzeł. Same góry, same piargi. Jeśli coś się potrafi zakorzenieć, to oliwka, krzew winny i poezja, która od najstarszych czasów rozbrzmiewała pieśnią w tutejszych gajach oliwnych i winnicach, pieśnią liryczną i epicką.*

Łatuszyński nie zanurza się w historii tego małego kraju, powierzchnią równemu województwu lubuskiemu, a liczbą mieszkańców Wrocławowi, a przynajmniej niewyłącznie w historii dawnej, choć ta jest dumna i bohatera. Dość powiedzieć, że tylko od początku XVIII w. do I wojny światowej Czarnogórcy wolności swojej bronili, i to skutecznie, w 23 wojnach. Z Turkami, Francuzami, Wenecjanami, Niemcami. Pod rządami poety Niegosza była Czarnogóra jedynym w Europie obok Rosji Mikołaja I niepodległym państwem słowiańskim. Wszystkie pozostałe pozostawały pod zaborami.

Mniej o historii, a bardziej o jej dniu dzisiejszym i o wydarze-



FOT. ANDRZEJ RYBCZYŃSKI/PAP

niach, jakie rozgrywały się na tych ziemiach po rozpadzie Jugosławii, rozmawia autor książki m.in. z nieżyjącymi już Milovanem Djilasem i Mirko Kovačem, ale i świetnym poetą Jevrem Brkovićem, a i z architektem czarnogórskiej polityki, premierem Milo Djukanovićem. Nieprzypadkowo „Czarnogórskie klimaty” noszą podtytuł: „Ogłód literacki i dziennikarski”. Oba są interesujące, ale ten pierwszy miejscami rewelacyjny. Objawia się w nim Łatuszyński także jako prozaik, w opowiadaniu „Fascynacja” przedstawiając niezwykłą historię Vuka Njegusia, wiejskiego chłopaka, który niemal na własną rękę walczył w czasie wojny najpierw z Włochami, a potem z Niemcami, przyłączając się w pewnym momencie do oddziału... polskiego. Mianowicie spotkał w swojej Czarnogórze żołnierzy Września '39, którzy po przedostaniu się do Rumunii przez Banat przedarli się do Jugosławii, gdzie bili się dalej ze wspólnym wrogiem. Do czasu jednak, bo sławny gen. Draža Mihailović rozkazał podstępnie ich rozbroić i tak trafili do serbskiej niewoli, skąd – po interwencji aliantów – umożliwiono

im przemarsz na czarnogórskie wybrzeże i na ewakuację do armii polskiej. Ich właśnie spotkał na swojej drodze Vuk, za co po wojnie go aresztowano, bo w końcu dla zwycięskich partyzantów Tity „biali Polacy” stanowili element mocno podejrzany. Vuk uciekł z aresztu, ukrywał się w lasach, toczył dalej swą prywatną wojnę, w osamotnieniu dziczał, aż w końcu – były to już lata 60. – postanowił wybrać się do dalekiego kraju Pana Rotmistrza, który go przecież zapraszał do siebie... Niedaleko doszedł – do Nowego Sadu. Odstawiony na rodzinną ziemię znów zaszył się w lasach. Czarnogórski żołnierz wyklęty – Vuk, po polsku Wilk.

Dzisiaj mała Czarnogóra puka do drzwi Unii Europejskiej i NATO, na razie bezskutecznie. Jaka ją czeka przyszłość? Rozmówcy Łatuszyńskiego w wejściu do UE widzą same dobrodziejstwa. Autor książki tonuje ten entuzjazm, zauważając: „[...] nie same dobre rzeczy przychodzą z Europy, ale i takie, których byśmy nie chcieli, które są wręcz zagrożeniem dla kultury wysokiej”.

„Czarnogórcy – odpowiada wybitny pisarz i dziennikarz czarnogórski, Ilja Lakusić – są dość konserwatywni, mają swoje wartości i nie gonią za nowinkami. Próbowano tutaj, w Budvie, organizować parady gejoskie, my to nazywamy inaczej, ale się nie udało. Oni je nazywali paradami dumy. A naród to wyśmiał. Bezwstydnie nie można przemienić na jakąkolwiek wartość. Nie mieści się to w czarnogórskiej mentalności. To jest drastyczna próba ingerencji w nasze życie, w nasze wartości, w obyczaje.

– To i u nas forsuje się dość siłowo... – wtrąca Grzegorz Łatuszyński.

– Wy jesteście wielkim krajem. Możecie to przełknąć, ale u nas... mamy tylko 620 tysięcy mieszkańców – to by była katastrofa. To byłaby klęska”. ©©



★★★★★
GRZEGORZ
ŁATUSZYŃSKI
„CZARNOGÓRSKIE
KLIMATY. OGŁÓD
LITERACKI
I DZIENNIKARSKI”
AGAWA,
WARSZAWA 2016



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Labirynt wyobraźni

Encyklopedia książek zmyślonych – hm, przecież każda książka jest zmyślona, nawet tzw. literatura faktu. Żeby powstała, ktoś musiał ją wymyślić. Paweł Dunin-Wąsowicz wyszykował jednak inny zbiór – chodzi o książki, które istnieją jedynie na łamach innych książek, zmyślenie jest więc podwójne.

Przykład? Ot, zagląda pan Wokulski, bohater „Lalki”, do swego przyjaciela, dr. Szumana, a ten właśnie robi korektę swojej książeczki „O kolorze i formie włosów ludności zamieszkującej Królestwo Polskie”. Powieściowcy Wokulski jest postacią wymyśloną, dr Szuman jest postacią wymyśloną, a jego broszura istnieje tylko jako element wzbogający świat kreślony talentem Bolesława Prusa.

Ile jest takich książek? Może nieskończenie wiele. Przecież kiedy czytamy krótką scenę, w której bohater „wszedł do biblioteki wypełnionej tysiącami tomów”, a rzecz dzieje się wewnątrz literackiej fikcji, to czyż nie powinniśmy założyć, że większość znajdujących się w owej bibliotece tytułów też jest dziełem postaci fikcyjnych? I być może one też opisują książki w książkach?

Zawracając z borgesowskiej ścieżki rozważań, która doprowadzi

nas do labiryntu, który nigdy się nie skończy – „Polska Biblioteka Widmowa” gromadzi takich pozycji 700, ograniczając się do autorów rodzimych. Prawie jedna czwarta haseł to owoc pracy polskich fantastów. Rzecz oczywista nie dlatego, że fantaści mają najbardziej nieokiełznaną wyobraźnię, ale dlatego, że w coraz popularniejszych historiach alternatywnych wymyślone przez pisarzy książki czy filmy służą pięknie uwiarygodnieniu opisywanego świata, który jest inny, a jednak podobny do naszego. Takie więc powinny być i te „alternatywne” książki.

Wspomniałem o filmach, bo książkę Dunin-Wąsowicza uzupełnia dodatek „Polska FilMOTEKA Widmowa”, przypominający fakty, które mogły wyfrunąć już dawno temu z pamięci nawet uważnych czytelników: ot, choćby bohater „Małej apokalipsy” Konwickiego ogląda w kinie Skarpa plakaty reklamujące sowiecką komedię muzyczną „Świetlana przyszłość”.

Pyszna to lektura. Nie tylko wielka pomoc dla literaturoznawcy, lecz także piękna podróż przez zbiorową wyobraźnię polskich autorów. No i ze zdumieniem odkryjemy, jak często po taki chwyt – książki w książce – sięgali polscy pisarze dawno, dawno temu. © ©

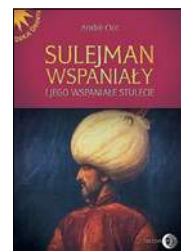


★★★★★

PAWEŁ DUNIN-WĄSOWICZ
„POLSKA BIBLIOTEKA WIDMOWA”
NARODOWE CENTRUM KULTURY 2016

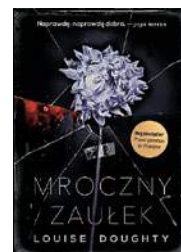
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE:

Monumentalna opowieść o słynnym władcy. Podczas gdy większość publikacji żerujących na popularności serialu „Wspinałe stulecie” skupia się na błahych sensacjach, Clot proponuje świetnie udokumentowaną biografię.



ANDRÉ CLOT
„SULEJMAN WSPANIAŁY I JEGO WSPANIAŁE STULECIE”
DIALOG

Kolejny rywal „Dziewczyny z pociągu” – thriller psychologiczny, w którym najważniejszym elementem intrygi okaże się nietypowy związek bohaterki z tajemniczym kochankiem, miłośnikiem seksu w publicznych miejscach.



LOUISE DOUGHTY
„MRO CZNY ZAUŁEK”
BURDA KSIĄŻKI

Prezydencki minister odpowiedzialny za sprawy zagraniczne stawia diagnozę i proponuje terapię (stąd podtytuł „Kryzys integracji i polska inicjatywa naprawy”). Teza? Jeśli natychmiast nie naprawimy Unii, to przestanie istnieć.



KRZYSZTOF SZCZEPIŃSKI
„UTOPIA EUROPEJSKA”
BIAŁY KRUK

Biografia genialnego hinduskiego matematyka-samouka. Srinivasa Ramanujan latami korespondował z angielskim uczonym Godfreym Haroldem Hardym, w 1914 r. przybył do Anglii, gdzie wywołał sensację. © ©



ROBERT KANIGEL
„CZŁOWIEK, KTÓRY POZNAŁ NIESKOŃCZONOŚĆ”
ŚWIAT KSIĄŻKI

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. **Michalina Wiśłocka „Sztuka kochania” (Agora)** – najsłynniejszy polski poradnik seksualny wraca na półki za sprawą filmu o autorce.
2. **Jerzy Zięba „Ukryte terapie”, tom 2 (Wydawnictwo Egida Halina Kostka)** – ciąg dalszy kontrowersyjnych opowieści z cyklu „Czego ci lekarz nie powie”.
3. **Dagmara Dworak „Kromka chleba” (Rebis)** – syberyjskie wspomnienia pary Polaków. Plus film nakręcony po latach w miejscu dawnej zsyłki.
4. **Simona Kossak „O ziołach i zwierzętach” (Marginesy)** – prywatna księga dziwów wielkiej miłośniczki Puszczy Białowiejskiej.
5. **M.L. Stedman „Światło między oceanami” (Albatros)** – rok 1920, samotne małżeństwo przygarnia obce dziecko. Są konsekwencje. Melodramat retro.

(Najchętniej kupowane książki w sieci księgarń BookBook)



JAN POSPIESZALSKI

KONTRA/BASEM

W czasach zamętu, wojen, deptania prawdy, utraty nadziei, powrót do źródeł i przypomnienie tej najbardziej uniwersalnej instrukcji przekazanej człowiekowi jest naszym obowiązkiem – mówią artyści uczestniczący w nagraniu. W połowie marca oficjalną premierę będzie miała płyta „Decalogue”.

To wyjątkowy album przygotowywany przez siedem lat i nagrany z udziałem 150 muzyków z kilku kontynentów. Na płycie znalazły się przykazania Boże wyśpiewane przez artystów, którzy sami współtworzyli kształt utworów. Wykonawcami są: Irlandczyk Paddy Kelly (członek grupy Kelly Family), Tony Meléndez z Nikaragui, Stanley Fortuna – franciszkanin z USA (wirtuoz gitary basowej), afrykański muzyk Levi Sakala, Adeb Chamoun z Syrii, włoski aktor i piosenkarz Al Bano Carrisi oraz mocna reprezentacja artystów z Polski, m.in. Luxtorpeda, Darek Malejonek, Józef Skrzek, Andrzej Lampert, Michał Lorenc.



Dyryguje Wojciech Rajski FOT. ŁUKASZ PIETRZAK/CHURCH IN NEED

Dziesięć prostych słów

Pomysł zrodził się z rozmów Radka Grabowskiego (przedsiębiorcy i producenta muzycznego) i Marcina Pospieszalskiego, współtwórcy, aranżera utworów (mojego brata, co z dumą podkreślam). To oni zaryzykowali pracę, energię i własne środki w uruchomienie wielkiego międzynarodowego artystycznego przedsięwzięcia. Droga do dalszej produkcji i do pozyskania partnerów otworzyło im pierwsze nagranie „Dekalog – Prolog” w którym obok Paddy’ego Kelly’ego i naszych wokalistów zaśpiewał Polski Chór Kameralny (maestro Jan Łukaszewski), z towarzysze-

niem Orkiestry Polskiej Filharmonii Kameralnej pod batutą Wojciecha Rajskiego. Wydawcą płyty jest Agencja Muzyczna PR, a w połowie roku przewidziane są koncerty promocyjne w Polsce i w krajach pochodzenia twórców.

– Różnorodność stylistyczna, od reggae, rocka, przez chorał do klasyki, podkreśla uniwersalizm Bożych praw. Każdy z twórców inaczej opowiada o swojej drodze do Boga, pokazując, że Dekalog nie jest ograniczeniem, lecz źródłem prawdziwej wolności – mówi producent albumu (więcej na www.pkwp.org, www.decalogue.pl). ©©



GRZEGORZ BRZOWICZ

NA SŁUCH

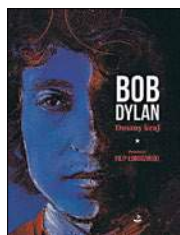
Dylan zrozumiały

Po 55 latach od wydania pierwszej płyty Boba Dylana ukazała się książka z polskimi przekładami piosenek noblisty. Filip Łobodziński przełożył 132 teksty, z których wiele zmieniło historię muzyki, a kilka i kultury.

Nad zbiorem przekładów „Ojca założyciela współczesnej piosenki z ważkim tekstem” Łobodziński pracował przez 38 lat. Wykonał żmudną pracę, z pietyzmem podchodząc zarówno do treści, jak i melodyki piosenek. Niektórzy mogą się czepiać stosowanej przez niego „geografii emocjonalnej”, wedle której „Highway 61” staje się „Autostradą A2”, a „Missisipi” – „Dusznym krajem”. Inni nie będą zadowoleni, że Mr. Jones stał się Panem Wąsem, ale pamiętajmy, że teksty powinny się „śpiewać” po polsku.

Wiersze zostały pogrupowane w 12 rozdziałach tematycznych. Na końcu książki każdy został rozszyfrowany przez tłumacza, tak byśmy mogli zrozumieć odniesienia kulturowe, frazeologiczne, religijne itd. Teksty Dylana są często wielopoziomowe, a przykładowo „Visions of Johanna”, „Jokerman” i „Desolation Row” to poezja wysokiej próby, często niezrozumiała dla samych Amerykanów.

Tytuł, moim zdaniem niefortunny, wybrał wydawca. Bardziej niż do Dylana odnosi się do naszej dusznoty literackiego zaścianka. Kilka autorytetów zakwestionowało Nobla dla piosenkarza. Wątpię, by go czytali. Teraz to będzie ich psi obowiązek, bo bez tekstów Dylana trudno jest opisać kulturę amerykańską ostatniego półwiecza. ©©



★★★★★
BOB DYLAN
„DUSZNY KRAJ”
BIURO
LITERACKIE



★★★★★
SAMPHA
„PROCESS”
SONIC RECORDS
Czarnoskóry

Brytyjczyk nagrał prześiąkniętą emocjami płytę łączącą współczesny R&B, soulowy falset, afrykańskie barwy i nowatorską produkcję nagrań. Współpracownik m.in. Kayne’a Westa i Solange wytycza nowe kierunki. ©©



★★★★★
RENDEZ VOUS
„RADEK DANE”
POLSKIE RADIO
KRAJ 2015

Powrót jednej z ważniejszych grup lat 80. Ziemek Kosmowski znowu pisze frapujące, utrzymane w średnim tempie mikroopowieści z życia wzięte. Są nowe wersje starych przebojów, a niezapomniana „Anna” doczekała się sequela, który otwiera album. ©©

HISTORIA
PROJEKT I WYKONANIE
**DO
RZECZY**

JUŻ W MARCU!

NOWY PORTAL HISTORYCZNY
historiadorzeczy.pl

NAJCIEKAWSZE WYDARZENIA
TAJEMNICE HISTORYCZNE
KOMENTARZE HISTORYKÓW I EKSPERTÓW

PARTNERZY SERWISU:





Rafał A. Ziemkiewicz

**Skupianie się tylko
na najgorętszych zwolennikach
zawsze obraca się przeciw władzy**



Czas pelikanów

Jednej nadziei na pewno rządy PiS nie spełniły i nie spełnią: nadziei na zakończenie „wojny polsko-polskiej”, a co za tym idzie – na jakościową zmianę polskiej polityki i debaty publicznej. Nowa władza, podobnie jak „totalna opozycja”, skupia się tylko na obsłudze emocji

i oczekiwań swojego zadeklarowanego elektoratu, wszystkich pozostałych, zgodnie z piłsudczykowską tradycją, traktując jak legionistów w Pierwszej Brygadzie: „j... was pies”. A zadeklarowany elektorat obsługuje się łatwo. W Internecie przyłgnęło już do niego miano „pelikanów” (analo-

giczne do „lemingów”, bezrefleksyjnych wyborców PO) – pelikanów, które „łykają wszystko”.

Efekt skupienia na przekonywaniu przekonanych jest taki, jakiego od samego początku należało się spodziewać. Po półtora roku maksymalnego mobilizo-

nia obu opozycyjnych partii wróciły do stanu wyjścia.

Zgodnie ze starym powiedzeniem o szklance do połowy pełnej lub do połowy pustej każda ze stron sporu uznaje to za swój sukces: nie straciliśmy! To oczywiście przyjemniejsze niż przyjęcie do wiadomości, że sytuacja taka dowodzi klęski – przez cały ten czas niczego nam się nie udało zyskać.

MAŁPA PLATFORMY

W czasach swej świetności Platforma i stanowiące jej bezpośrednie zaplecze elity żyły w przekonaniu, że władza i „rząd dusz” są im dane raz na zawsze, bo cały świat idzie – umownie to ujmując – na lewo, narody i patriotyzmy zanikają, triumfy święcą: tolerancja, laicyzacja oraz polityczna poprawność i jest to proces nieodwracalny, wskutek którego także rodzimi patrioci i tradycjonałisi „wymrą jak dinozaury” – można im w tym najwyższej pomóc, „dorzynając watahę”. Z tego przekonania zrodziła się polityczna doktryna Tuska: doktryna polaryzacji, mobilizowania „swojej” większości stałym poczuciem zagrożenia przez tę PiS-owską. Sposobami jej realizacji były: nieustanne prowokowanie przeciwnika, brutalne łamanie kolejnych kulturowych tabu, które miało regularnie poniżaną, oplukaną i wyszydzaną „watahę” doprowadzać do zachowań, w przekonaniu postępowych „dorzynaczy”, tym bardziej ją kompromitujących. Na wewnętrznych szkoleniach PO mówiono o braciach Kaczyńskich, i w ogóle o PiS ob-razowo jako o „małpie w klatce”, i zalecano, by ani na chwilę nie pozwalać „małpie” siedzieć cicho, tylko stale „kopać w klatkę”, aby ją prowokować do wrzasku.

Punktem kulminacyjnym „kopania w klatkę” były pierwsze miesiące po tragedii w Smoleńsku, a zwłaszcza medialno-polityczna prowokacja na warszawskim Krakowskim Przedmieściu, gdzie z jednej strony „bronili krzyża” zawodowy prowokator wraz z przyjaciółką prezydenckiej „suflerki” i stałą autorką komentarzy w „Nie” Urbana, a z drugiej atakowała go „nowoczesna młodzież” pod wodzą króla warszawskiego nierzędu i tajemniczego, nieźrównoważonego osobnika chwale-cego się w sieci, niczym Breivik, zdjęciami z bronią, wszyscy na miłą pachnącą służbami, obie zaś strony – i poszczególna przeciwko „ciemnogrodowi” lewica, i do żywego rozjuszeni „szczaniem na znicze” patrioci – okładały się z zawziętością godną najgorętszych wojen domowych.

Niektórym – w tym autorowi niniejszych słów – wydawało się oczywiste, że PiS odkryje, iż to właśnie ta polityka stałego wzmagania napięcia ostatecznie doprowadziła do tego, że stało się to, co wydawało się absolutnie niemożliwe, i „wataha”, zamiast wymrzeć, wzmocniła się na tyle, iż wygrała zarówno prezydenturę, jak i parlament. Skoro zaś PiS zrozumie, dzięki czemu wygrał, spełni oczekiwania większości i będzie dążyć do wygaszenia emocji, skupiając się na wzroście gospodarczym, spadku bezrobocia i, generalnie, poprawianiu jakości państwa, szczególnie usług publicznych.

STRATEGIA PiS

Tymczasem PiS, generalnie, przyjął tę samą, acz symetrycznie odwróconą strategię: najwyraźniej zakłada, że elektorat skompromitowanych partii „elit” gdzieś się z czasem rozpułynie, wymrze i przestanie cokolwiek znaczyć. Przecież cały świat idzie dziś – umownie to ujmując – na prawo. Natchnieniem i zarazem dowodem wydają się dla PiS Węgry, gdzie odwrót od laicko-liberalnego paradygmatu zaczął się wcześniej i gdzie dziś sondaże dają Fideszowi, partii Orbána, ponad 40 proc. głosów, a kolejne ponad 20 proc. wyrosłym przy niej narodowcom z Jobbiku, podczas gdy rozbita na kilka kanap socjalistyczna i liberalna opozycja zepchnięta została na margines życia publicznego.

Wojna plemienna czyni swych uczestników nieczułymi na wszelkie sprawy merytoryczne. Uderza to jednak w obie strony sporu

Ani politycy PiS, ani ich najgorętsi kibice z tzw. prawicowych mediów nie chcą przy tym zupełnie przyjmować do wiadomości, że Orbán na swój sukces pracował w sposób zupełnie odmienny od nich: szukając płaszczyzny porozumienia z „gorszym sortem”, starając się oswajać lęk przed prawicą i przekonywać do siebie niechętnych jego polityce liderów opinii oraz celebrytów.

PiS woli krzepić się przekonaniem analogicznym do tego, jakie żywiła poprzednia władza – że opozycja nigdy już nie będzie w stanie jej zagrozić, ponieważ do następnych wyborów zostanie tak skompromitowana, iż się z tego nie podniesie.

wania „żelaznych elektoratów” sondaże, jeśli wyciągnąć średnią z wyników podawanych przez rozmaite pracownie, nie odbiegają od tych przeprowadzonych tuż po wyborach. Przez cały ten rok jedynym przeplątem był wirtualny wzrost Nowoczesnej kosztem PO, po którym notowa-

FOU FOTOLIA

Wydobyte zostaną na światło dzienne tajemnice „zbioru zastrzeżonego”, spisane i ogłoszone „przekręty” oraz mafijne powiązania...

PRZEKONANI NA ZAWSZE

Umocnia władzę w tym przekonaniu postępowanie „opozycji totalnej”, która ochoczo kompromituje się sama. Zarówno jednak sprawy tego rodzaju co faktury Kijowskiego lub wyprawa pary przewodniczących Nowoczesnej do Portugalii, jak i odkrywanie najpoważniejszych patologii państwa Tuska, choćby w sprawie Amber Gold czy warszawskiej „reprivatyzacji”, nie są w stanie – jak widać z sondaży – skompromitować „totalnej opozycji” w oczach jej zwolenników. Dokładnie tak samo jak wieloletnia ofensywa propagandowa przeciwko PiS nie zdołała swego czasu zniechęcić do partii Kaczyńskiego wyborców tradycyjalistycznych.

Oczywiście, demaskacje dokonywane w kręgach sprzyjających rządowi i upowszechniane w mediach budzą oburzenie, ale głównie tych, którzy i tak są mniej lub bardziej zdecydowanymi zwolennikami obecnej władzy. Warto jednak zauważyć, że – cytowane sondaże są tego wymownym dowodem – tak jak w poprzedniej kadencji nawet najbardziej wściekły na „swoich” tradycjonalista nie stawał się wskutek ośmieszania PiS liberałem, co najwyżej ukrywał swe preferencje przed ankietą, tak i dziś żadna najbardziej widowiskowa kompromitacja Schetyny, Petru czy Kijowskiego nie zmieni lewicowego liberała w konserwatywnego katolika.

Wojna plemienna, tożsamościowa czy – niestety – w swych uczestników nieczułym na wszelkie sprawy merytoryczne. Uderza to zresztą jednak w obie strony sporu, czyniąc nieskutecznymi wszystkie medialne burze, które wciąż jeszcze rozpętują wpływowe media „opozycji totalnej”. Ich historie o sierotach z Aleppo, wycince drzew i przechodzeniu przez ulicę ministra Macierewicza to jedynie rodzaj terapii nienawiścią, prowadzonej na własnych sfrustrowanych, wciąż nie mogących się pogodzić z rzeczywistością zwolennikach.

SAMONAKRĘCANIE

KOD i inne siły „opozycji totalnej” nie tyle robią dziś politykę, ile świadczą

elektoratowi michnikowszczyznę tę samą usługę, jaką po upadku PZPR i PRL świadczył elektoratowi partyjno-mundrowemu Jerzy Urban ze swoim „Nie”. Jeśli PiS, w przeciwieństwie do ówczesnego „obozu postsolidarnościowego”, nie ulegnie destrukcji ani skłóceniu, to raczej nie ma się ich co obawiać.

Prawdziwym zagrożeniem są dla niego, paradoksalnie, własne „pelikany”. Widać już wyraźnie, że PiS wygodnicko, idąc po linii najmniejszego oporu, powtórza błąd PO – nie tylko mówi wyłącznie do swoich, lecz także wyłącznie swoich słucha. Jedynym zaś, co może od nich usłyszeć, jest to, co im sam wcześniej powiedział: że nie ma się co przejmować głosami krytyki, bo to tylko kwik odpędzanych od koryta oraz czarny PR



środowisk wrogich Polsce. I PiS bardzo chętnie korzysta z tego alibi do nieprzejmowania się żadnymi uwagami o tym, co psuje, nieważne, czy wychodzą z kręgów „totalnej opozycji”, od Kukiza i wolnościowców czy z „prawicowych” mediów. Paradoksalnie – reakcje prezesa PiS na wzburzenie „wycinką drzew” czy wcześniej na „czarne protesty” pokazują, że władza prędzej reaguje na hejt mediów „opozycji totalnej” niż na głosy tych, którzy są jej życzliwi i chcieliby nie tyle jej odsunięcia, ile tego, by rządziła mądrzej i sprawniej.

To błąd fundamentalny, bo – patrząc perspektywicznie – Polska tak wściekle skłócona, jaką pospołu stworzyli Tusk i Kaczyński, ze sceną polityczną zamienioną w karuzelę, której każda strona uważa się za jedyną i wierzy, że pół kraju kiedyś zniknie, nie jest w stanie dobrze funkcjonować. A jedynym sposobem wyjścia z wojny domowej jest porozumienie

ponad podziałami, czyli budowanie konsensusu na sprawach obywatelskich, z odsuwaniem sporów tożsamościowych i ideologicznych na dalszy plan. Tylko wtedy liczba Polaków, którzy czują się w państwie u siebie, będzie wzrastać, a poparcie dla jednej partii nie będzie oznaczać obowiązku przykładania ręki do niszczenia państwa i wszelkiego dobra publicznego, gdy „nasi” nad nimi nie panują.

PiS przez półtora roku wiele zmienił, ale – by rzucić kilka odosobnionych przykładów – rząd wciąż liczy sobie ponad stu ministrów i wiceministrów, co stanowi światowe kuriozum, i utrzymując rzeszę nieusuwalnych urzędników nic nierobiących za groszowe pensje, rządzi niekonstytucyjnymi gabinetami politycznymi wynagradzanymi fikcyjnymi „fuchami” w radach i zarządach. Nadal obowiązuje haniebny i niszczący zwłaszcza dla mediów lokalnych art. 212 kk, nadal panuje bałagan w służbie zdrowia, policji i BOR, Warszawa ma 10 razy więcej radnych niż Chicago, plany sanacji gospodarczej pozostają w formie prezentacji etc. O obietnicach, które PiS już „odpuścił” – kredyty frankowe, wstrzymanie wyprowadzania spod polskiego opodatkowania zysków wielkich korporacji, wyrównanie szans drobnego rodzimego handlu w rywalizacji z hipermarketami – też warto przypominać.

Pelikany o nich władzy nie przypominają. Przeciwnie, będą w podobnym sprzężeniu zwrotnym ze swoją władzą, jak kiedyś lemingi ze swoją, nakręcać się nawzajem w wojennej retoryce i tłumić wszelkie zastrzeżenia.

Skupiając się tylko na swoich pelikanach, PiS prosi się o powtórkę roku 2007, kiedy to całą swą politykę oparł na walce z korupcją i oczyszczaniu, a tym, czego chciała większość, była lepsza jakość życia. Zresztą chciała tego także w 2015 r., gdy PO oferowała jej tylko walkę ze „średniowieczem” i „państwem wyznaniowym”. Politykom zawsze łatwiej widzieć entuzjastów, przychodzących na spotkania i angażujących się w spory, niż milczącą większość, która na co dzień „nie interesuje się polityką”. O ich losie decydują jednak ci drudzy, nie lemingi ani pelikany.



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Skwarki

Dawno, dawno temu, kiedy prezydentem Rzeczypospolitej był Aleksander Kwaśniewski, niebędący jeszcze alkoholowym memem, Polskę odwiedził Michael Jackson. Doszło wtedy do wiekopomnego spotkania: człowieka, który chciał się przyciemnić (Kwaśniewski), z człowiekiem, który chciał się rozjaśnić (Jackson).

Dzisiaj widzę, że pragnienia obu panów nie były odosobnione, acz – co interesujące – są one głównie domeną pań. Ileż wyjeżdżam gdzieś w dalekie kraje, tyleż obserwuję rozpaczliwe próby miejscowych kobiet, by upodobnić się do ideału urody, który – jak rozumiem – jest znacznie jaśniejszy niż one. Tutejsi facci raczej nie mają kłopotu z własną karnacją, choć muszę przyznać, że raczej nie obcuje z tubylczymi piękniśkami. Może dandysi podążają śladami Michaela Jacksona, ale trudno mi to stwierdzić.

W przypadku kobiet zjawisko jest dość powszechne. W drogeriach można kupić rozmaite rozjaśniające mleczka i oleje. Ostatnio trafiłem na filtr do opalania wzbogacony o substancję wybielającą. Czyli idziesz na słońce i nie tylko się nie opalasz, lecz jeszcze rozjaśniasz. Ot, taki modowy paradoksik.

Efekty tego wybielania są przede wszystkim i chyba na szczęście mało widoczne. Z jednym wyjątkiem – włosów. Azjatkę z Tajlandii, Kambodży czy Sri Lanki natura wyposażała w piękne kruczoczarne, czę-

sto kręcone włosy. Elegantki prowadzą ze swym naturalnym kolorem pukli brutalną wojnę chemiczną, polegającą na stosowaniu najmocniejszych farb i płukanek. Z brunetki niełatwo jednak przepoczwaczyć się w blondynkę. Paradują tu więc bataliony lasek z włosami koloru rudoburego, bardzo nieładnego, a w dodatku z włosinami wyniszczonymi przez chemiczne zabiegi i rozgrzane do czerwoności prostownice. Szczerze mówiąc, nie wygląda to najlepiej. A na pewno znacznie gorzej niż przed fryzjerskimi eksperymentami.

Miejscowe panie mijają się z zachodnimi turystkami, które z kolei uciekają przed tym, co ich tubylcze koleżanki chcą osiągnąć. One przybywają tutaj, aby się przyciemnić. Bardzo się starają i smażą z wielkim oddaniem, choć rak skóry od przynajmniej trzech dekad nie jest chorobą nieznaną. Te rozsądniejsze chronią się przed słońcem, stosując blokujące filtry, ale w efekcie, żeby się opalić, smażyć się muszą z jeszcze większym poświęceniem.

A efekt... No cóż. Bywa smakowity. Nie da się jednak ukryć, że wiele kobiet Zachodu w swym słonecznym zapamiętaniu przekracza estetyczną granicę i pogrąża się w dość pociesznej grotesce. W efekcie upodabniają się do pomarszczonych skwarek, a nie modelek z okładek magazynów.

Proszę, do czego doprowadzili Kwaśniewski z Jacksonem. ©©



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Logika wojny

Czy coś, co wygląda jak koń, reaguje jak koń, zachowuje się jak koń, odzywa jak koń, jest koniem? Logicznie rzecz biorąc – tak. Chociaż niekoniecznie. Istnieje bowiem jedna logika, która wymyka się normalnym zasadom rozumowania – jest nią logika wojny. Jeśli więc nasz wróg cynicznie i podstępnie nazywa jakieś zwierzę koniem, to ono

Jeśli nasz wróg nazywa jakieś zwierzę koniem, to ono żadną miarą koniem być nie może

żadną miarą koniem być nie może, a nawet gdyby nawet było, na przyznanie, że to prawda, nie pozwalają nam: nasza godność, zwartość i interes polityczny.

Wyobraźmy sobie losowo wybranego obywatela III RP. Jeszcze niedawno osobnik ten wywodzący się z pnia solidarnościowego i mający katolicko-narodowe korzenie reprezentował dość zwarty zestaw wartości – kochał Polskę i jej tradycję, w stanie wojennym biegał na msze za ojczyznę, nienawidził komunistycznej junty, jej kolaborantów, agentów wszelkiej maści, dyżurnych pismaków. Potępiał korupcję, miał złe zdanie o sądach, pogardzał płaszczeniem się przed obcymi (szczególnie Ruskimi i Niemcami)...

A dziś? Cóż, troszkę się zmienił – rozumie już tych,

którzy uznawali Cze.Kiszczków za „ludzi honoru”, bronił TW „Bolka” jak niepodległości, samą niepodległość uważa zresztą za rzecz drugorzędną w Europie Zjednoczonych Landów, rechoce na spektaklach obrażających Kościół, chciałby w kraju jak najwięcej muzułmanów (bo ubogacają), popiera adopcję dzieci przez kochających inaczej, aborcja to wolny wybór kobiet. Sprawę korupcji uważa za wydumaną, wie o dzikiej reprowatyżacji, ale prawo przecież nie działa wstecz... Dojrzał czy tylko oszalał? Czytanie „Wyborczej” i oglądanie TVN rzuciło mu się na mózg? Chyba nie do końca.

Moim zdaniem do obecnego stanu doprowadziła go logika wojny. Jeśli uznał, że złem absolutnym są Kaczyński i PiS, to wszystko, co ta formacja proponuje, jest złem, a to, co zwalcza, dobrem. Tertium non datur! Projekt ustawy wymyślony przez Nowoczesną lub PO, ale zgłoszony przez PiS, traci swój sens i staje się złowrogim zakusem na demokrację. Przestępca aresztowany przez PiS-owski aparat ścigania z automatu jest niewinnym, szukanym obywatelem, kandydatem na męczennika i bohatera. A przywódca ościennego mocarstwa może mordować własnych opozycjonistów, zestrzeliwać cywilne samoloty, napadać na ościenne kraje, obalać rządy, ustawiać wybory w innych krajach, ale przynigdy nie posunąłby się do zaaranżowania katastrofy, w której mógłby pozbyć się wielkiego grona swych oczywistych wrogów z „bliskiej zagranicy”. ©©

Nowe państwo środką

Niemcy chcą już nie tylko wielkich wpływów gospodarczych w UE.
Chcą też przejąć przywództwo





Grzegorz Kucharczyk

Wywołany przez niemieckich polityków kryzys migracyjny nie powinien przesłaniać innego procesu z Niemcami w roli głównej, który można obserwować w ostatnich kilku latach, co najmniej od zaistnienia tzw. globalnego kryzysu finansowego w 2008 r. i związanego z nim kryzysu strefy euro. Załamanie związane z bankructwem Grecji i wszystkie okoliczności towarzyszące próbom jego opanowania wyraźnie pokazały, że najważniejsze decyzje w tej sprawie, a de facto też w sprawie przyszłości całej strefy euro, zapadają w Berlinie. Zjawiska kryzysowe nie ominęły również przetartyzowanej gospodarki francuskiej. Oś francusko-niemiecka jako rdzeń „twardego jądra Europy” to tylko wishful thinking oderwanych od rzeczywistości francuskich elit politycznych rojących o „gloire de France”. A przecież wspomniany kryzys migracyjny jest w pewnym sensie kolejnym dowodem na to, co mogą i ile znaczą we współczesnej Europie Niemcy.

UMOCNIENIE

Wzrost politycznej roli Niemiec na kontynencie europejskim wyraźnie uwidocznił się także podczas kryzysu ukraińskiego wywołanego rosyjską aneksją Krymu. Rozmowy w „formacie mińskim” na temat rozejmu w Doniecku i Ługańsku pokazały, że prezydent Francji François Hollande

jest tylko osobą towarzyszącą kanclerz Angeli Merkel, która wraz z Władimirem Putinem podejmowała decyzje.

Można powiedzieć, że nic w tej sprawie nie mogło się stać bez wiedzy, a przynajmniej milczącej aprobaty Waszyngtonu. Po zjednoczeniu Niemiec (1990) amerykańska polityka właśnie w Bundesrepublikie coraz chętniej widziała podwykonawcę swojej globalnej strategii politycznej na europejskim odcinku. Niedawna decyzja Brytyjczyków o wyjściu z Unii Europejskiej może tylko zwiększyć tę tendencję, a tym samym dodatkowo wzmocnić pozycję polityczną Niemiec na Starym Kontynencie.

Ten nowy stan rzeczy znalazł również odbicie w sposobie sformułowania nowej doktryny bezpieczeństwa RFN, która w czerwcu 2016 r. została ogłoszona przez niemieckie ministerstwo obrony jako biała księga. Czytamy w niej: po upadku muru berlińskiego „stało się jasne, że Niemcy mają teraz takie same prawa, obowiązki i odpowiedzialność, jak każde inne państwo na arenie międzynarodowej”.

Dokument podtrzymuje, że filarami strategii bezpieczeństwa państwa niemieckiego są jego zaangażowanie w politykę obronną NATO oraz współpraca w ramach Unii Europejskiej. Podkreśla się jednocześnie coraz aktywniejszą politykę Berlina w tych dwóch najważniejszych obszarach polityki bezpieczeństwa Niemiec i całego kontynentu. Przede wszystkim więc zaangażowanie (z perspektywą rosnącą) armii niemieckiej w realizowanie wdrażanej od 2014 r.

w ramach NATO koncepcji „framework nation” (narodu ramowego), czyli państwa wiodącego, przejmującego przywództwo w realizowaniu wzmocnienia NATO na szczególnie newralgicznych obszarach. W naszym przypadku chodzi o flankę wschodnią – i tutaj planuje się w Berlinie wzmocnić wojskową obecność Niemiec. Co więcej, ogłoszona w 2016 r. nowa doktryna bezpieczeństwa Niemiec opiera się na założeniu, że „długofalowym celem niemieckiej polityki bezpieczeństwa jest stworzenie Europejskiej Unii Bezpieczeństwa i Obrony”.

Lekturę tego typu dokumentów jak białe księgi na temat polityki bezpieczeństwa trzeba koniecznie uzupełniać analizą realnych działań. Niezmiennie zaangażowanie Niemiec w realizowany wspólnie z Rosją projekt wybudowania Nord Stream II (na razie wstrzymany) jest doskonałym przykładem tego, że deklarowana współpraca z „sojusznikami z NATO i partnerami z UE” ma jasno wytyczone granice.

STARA GEOPOLITYKA I NOWE ZADANIA

W 2015 r., a więc w stulecie ogłoszenia przez Friedricha Naumanna projektu Mitteleuropy (koncepcji utworzenia z Europy Środkowej i Wschodniej obszaru niemieckiej dominacji politycznej, wojskowej i gospodarczej), ukazała się w Niemczech książka Herfrieda Münklera, jednego z najbardziej znanych nad Renem i Sprewą politologów oraz historyków idei, pod wymownym tytułem „Potęga w środku. Nowe zadania Niemiec w Europie”.

REKLAMA

BARTAS SZYMONIAK
NOWA PŁYTA



Jak pisze profesor berlińskiego Uniwersytetu Humboldtów: „Wraz z nowym sformatowaniem »Zachodu« i wzrostem znaczenia gospodarczej potęgi powstała w Europie nowa konstelacja geopolityczna, którą można w skrócie nazwać »powrotem środka« w sensie centrum europejskiego ładu politycznego. W ten sposób powróciły geopolityczne konstelacje, które wielokrotnie pojawiały się w europejskiej historii, ale które rzadko odznaczały się okresem pokoju i dobrobytu”. Autor nie pozostawia wątpliwości, że obszar pokoju i dobrobytu, którym przez lata była Unia Europejska, aby przetrwać, potrzebuje takiego politycznego centrum, „a gdy chodzi o taki środek, wedle obecnego stanu rzeczy chodzić może tylko o Niemcy”.

Tytułowe „nowe zadania Niemiec w Europie”, jak podkreśla Münkler, nie mogą tylko polegać na umacnianiu własnych wpływów gospodarczych. Niemcy jako państwo środka mają przejąć także przywództwo polityczne w zjednoczonej Europie: „Przy całej swojej podatności

(Zuchtmeister), choć ze względu na XX-wieczną historię Niemiec mogą one odgrywać rolę jedynie „podatnego na zranienia hegemonu”, ale hegemonu.

ŹRÓDŁA „SIŁY MORALNEJ”

We wzmacnianiu tej hegemonicznej roli niemieckiego państwa środka dużą rolę przypisuje Münkler niemieckiej soft power, czyli niemieckim wpływom kulturalnym, które „w średniej i dłuższej perspektywie są ważniejsze niż potęgą militarna”. Niemiecki uczyony tylko opisuje tutaj to, co od 1990 r. kolejne ekipy rządowe w Bonn, a potem w Berlinie systematycznie realizowały w naszym regionie Europy za pomocą rozlicznych fundacji, programów stypendialnych oraz instytutów naukowych.

Warto również podkreślić wagę, jaką przykładą się w nowej niemieckiej strategii bezpieczeństwa do znaczenia soft power dla właściwego funkcjonowania hard power (Bundeswehry). Niech nie zmylą nas zapewnienia zawarte w opublikowanej

Wynika więc z tego, że dla autorów zaktualizowanej w 2016 r. niemieckiej doktryny bezpieczeństwa Prusy, a konkretniej politycy i oficerowie, którzy po 1806 r. usilnie i skutecznie pracowali nad powstaniem na nogi państwa Hohenzollernów, niemal całkowicie zdruzgotanego przez Napoleona, są źródłem soft power. To ważna deklaracja, którą należy rozpatrywać w szerszym kontekście renesansu pruskich tradycji – odpowiednio „przetworzonych” – we współczesnych Niemczech. W 2012 r. hucznie obchodzono 300-lecie urodzin króla Fryderyka II – inicjatora rozbiorów Polski – przedstawianego na eksponowanych w Poczdamie wystawach i w filmach emitowanych w niemieckich mediach przede wszystkim jako światłego Europejczyka i przyjaciela Woltera, oświeconego „pierwszego sługę państwa”. Po coś wydaje się setki milionów euro na odbudowę w centrum stolicy Niemiec dawnej królewskiej rezydencji Hohenzollernów.

W podobny sposób ożywia się tradycje „niemieckiego oporu” przeciw hitlerowskiej dyktaturze. Huczne obchody w 2014 r. zorganizowane z okazji 70-lecia zamachu Stauffenberga na Hitlera (20 lipca 1944 r.) były tego wyrazistym przykładem. Należy jednak pamiętać o tym, że zarówno pruscy reformatorzy po 1806 r., jak i Stauffenberg oraz jego współpracownicy z czasów II wojny światowej nie wyobrażali sobie istnienia niepodległej Polski, a Polaków traktowali jako „niewolników, z których dopiero należy uczynić ludzi” (jak mawiał jeden z przedstawicieli pokolenia pruskich reformatorów – Theodor von Schön).

Każdą nawet najbardziej wyrafinowaną strategię może zmienić trudny do przewidzenia czynnik, który nazywa się „wydarzenia”. Graniczące z histerią reakcje mediów niemieckich na wybór Donalda Trumpa (określanego w sierpniu 2016 r. przez ówczesnego szefa niemieckiej dyplomacji, a dzisiejszego prezydenta elekta Franka-Waltera Steinmeiera jako „siewcę nienawiści”) i jego pierwsze decyzje każą sądzić, że nad Sprewą ten nowy czynnik został rozpoznany w postaci zapowiedzianej przez nową administrację zmiany w polityce gospodarczej Waszyngtonu. Po Brexicie Unia Europejska przestała już być dla Ameryki jedynym najważniejszym partnerem za oceanem. Niemieckie państwo środka musi na nowo przemyśleć swoją strategię. A mury rezydencji królów pruskich w centrum Berlina rosną...

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



na zranienia, spowodowanej własną historią, niemiecka polityka nie może ograniczać się tylko do roli moderatora, ale musi sama pokazać przywództwo”. Przy czym, jak uczuła swoich niemieckich czytelników berliński profesor: „Będziemy musieli odzwyczaić się od chęci bycia lubianymi przez wszystkich, ponieważ dla potęgi w środku nie jest to możliwe, jeśli chce ona sprostać swoim zadaniom”. Te ostatnie zaś sprowadzają się do porzucenia roli moderatora i przejścia faktycznego przywództwa politycznego w całej UE. Niemcy, jak pisze Münkler, nie mogą być dłużej tylko „płatnikiem” (Zahlmeister) Europy. Nadszedł czas, by zostały jej „nadzorczą”

w czerwcu 2016 r. białej księdze, że sposób przekazywania tradycji i „pouczających przykładów” dawanych żołnierzom Bundeswehry „oparty jest na kulturze otwartego dialogu”. Istotny jest nie tyle sposób przekazywania, ile same tradycje.

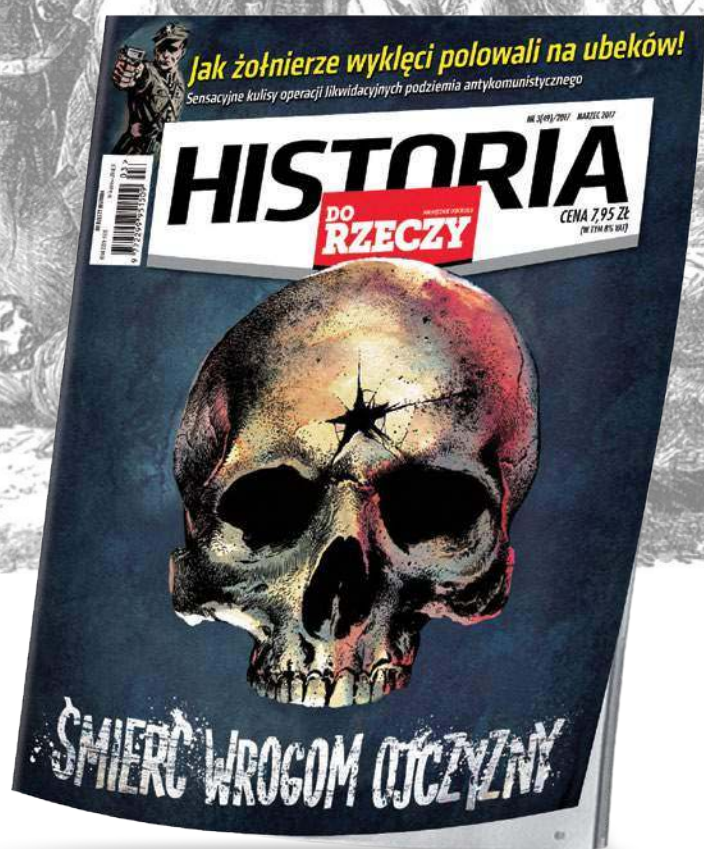
W tym kontekście warto zwrócić uwagę na passus, w którym autorzy białej księgi, podkreślając, że żołnierze Bundeswehry „dla realizacji ich wymagającej misji potrzebują nie tylko racjonalnego, ale i emocjonalnego fundamentu”, dodają zaraz, że „specjalne znaczenie zawsze będzie przyznane pruskim reformom i oporowi przeciw narodowosocjalistycznemu reżimowi”. Te przykłady „służą jako ważny wzór postępowania i jako źródło siły moralnej”.



TYLKO U NAS!
LEGENDA LWOWA: SZCZEPICIO I TOŃCIO

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

HISTORIA
DO RZECZY



NAJCHĘTNIEJ CZYTANY
MIESIĘCZNIK HISTORYCZNY

Arkadiusz Karbowskiak – **Akcje likwidacyjne wyklętych** / Grzegorz Motyka – **Wyklęci kontra Sowiet** / Jakub Ostromecki – „Braveheart” a prawda historyczna / Sławomir Cenckiewicz – **Jaruzelski i kopalnia Wujek** / Marian Zacharski – **Seks agentki PRL** / Marco Patricelli – **Kulisy porwania Mussoliniego** / Sławomir Koper – **Skandale rodziny Kossaków** / Piotr Zychowicz – **Samospalenie polskiego księdza w ZSRS**

i wiele, wiele więcej

eprasa.pl bd301d5ae4

Fragment kwestionariusza
ubeckiego agenta informatora
Edwarda Wasilewskiego
ps. Huragan FOT. IPN

Miejsce
na fotografię

Kwestionariusz Agent Informatora

1. Nazwisko Wasilewski 2. Pseudonim "Huragan"
3. Imię Edward 4. Imię ojca _____
5. Rok urodzenia 15-2-1923 r. 6. Miejsce urodzenia _____



1. Nazwisko i imię, oraz imię ojca
dziewięć.

Zdrajcy żołnierzy

Ktoś doniósł na „Ognia”, ktoś zdradził „Roję”, ktoś wydał ostatnią kryjówkę „Lalka”. Dzisiaj już nie są to anonimowi agenci ani donosiciele. Znamy ich imiona, nazwiska i konfidenckie pseudonimy. Wiemy dostatecznie dużo, aby odpowiednio ocenić ich kreację robotę przeciwko podziemiu niepodległościowemu. Możemy zorientować się, jakie były ich powojenne życiorysy i jakie robili kariery w PRL. Mamy również świadomość, jaka była cena ich zdrady i w jaki sposób niektórzy z nich zapłacili za swą nielojalność względem towarzyszy broni z konspiracji.

„HURAGAN”

Edward Wasilewski urodził się w 1923 r. w Stanisławowie w powiecie mińskim. Kiedy Niemcy zaatakowali Polskę, Edward miał 16 lat i nie został zmobilizowany do obrony ojczyzny. Szybko zaś, bo już w grudniu 1939 r., rozpoczął działalność konspiracyjną, początkowo w Korpusie Obronców Polski, później w Polskiej Organizacji Skautowskiej włączonej do ZWZ-AK. W podziemiu używał pseudonimu Wichura, w 1944 r. otrzymał awans na stopień podporucznika i walczył w ramach akcji „Burza”. Niestety na początku lipca



Szymon Nowak

O bohaterstwie i niezłomności żołnierzy wyklętych powiedziano i napisano już wiele. Przewijają się także nazwiska lub pseudonimy tych, którzy ich zdradzili. Nadszedł czas, by opisać losy zdrajców

oddziały AK zostały podstępnie rozbrojone przez swoich teoretycznych „sojuszników” z Armii Czerwonej. Edward Wasilewski wraz z grupą polskich żołnierzy znalazł się w obozie na Majdanku, ale nie czekał na wywózkę na wschód lub wcielenie do Ludowego Wojska Polskiego. Udało mu się uciec i powrócić w rodzinne strony. Musiał się ukrywać, a potem rozpoczął działalność w nowej antykomunistycznej konspiracji. Został dowódcą prężnie działającego oddziału samoobrony wywodzącego się z grupy AK i „Szarych Szeregów”. Wkrótce miał pod sobą 50–60 ludzi, z którymi przeprowadzał akcje na posterunki Milicji Obywatelskiej (MO), urzędy gminy i państwowe gorzelnie. Oddział „Wichury” z powodzeniem walczył z komunistycznymi i sowieckimi grupami operacyjnymi, a także rozbrajał milicjantów oraz żołnierzy.

Najważniejszą i najbardziej spektakularną akcją oddziału Wasilewskiego było jednak zdobycie obozu NKWD w Rembertowie w nocy z 20 na 21 maja 1945 r. i oswobodzenie kilkuset przetrzymywanych tam AK-owców. Według różnych źródeł wolność odzyskało wówczas 460, 600, 700 lub nawet 1 tys. więźniów.

Latem 1945 r. przełożeni „Wichury” zdecydowali, że należy zakończyć walkę, przeprowadzić „rozładowanie lasów” i ujawnić się przed służbami komunistycznymi. Ranny w nogę Wasilewski wziął udział w uroczystej akcji ujawniania pod Wolą Rafałowską we wrześniu 1945 r., gdzie stronę podziemną reprezentował komendant Obszaru Centralnego Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj (DSZ), ppłk Jan Mazurkiewicz „Radosław”. Niestety kilka miesięcy po ujawnieniu

Z gmachu Urzędu B. P. nie wynosić!

*Przed wypełnieniem przeczytać ankietę od początku do końca.
Odpowiedzi muszą być prawdziwe i dokładne*

*Nie przekreślać. Odpowiedzi winny brzmieć „tak”, „nie”,
„nie był”, „nie należał” i t. d.*

Nagłówek ankiety specjalnej
Henryka Wendrowskiego
sporządzonej na potrzeby UB
FOT. IPN

ANKIETA SPECJALNA

Odpowiedzi

1. *Wendrowski Henryk - Huragan.
Kossowski Henryk*

wyklętych

UB aresztował Wasilewskiego i oskarżył go o kontynuowanie działalności antypaństwowej, w której miał rzekomo planować napady z bronią w ręku. „Wichura” nie przyznawał się do zarzucanych czynów, a śledztwo ciągnęło się miesiącami. Był partyzant AK i DSZ przesiedział bez wyroku w więzieniu rok i doczekał kolejnej wielkiej rządowej amnestii. Został zwolniony w marcu 1947 r.

Po wyjściu na wolność miał się wielu prac zarobkowych, ale nigdzie na dłużej nie zagrzał miejsca. „Niepewny ideologicznie” Wasilewski musiał np. pracować w biurowym odpadów. Jego problemy z pracą i w życiu osobistym pilnie śledziła bezpieka. Kiedy Edward znalazł się na skraju depresji, funkcjonariusze UB zaczęli działać. Szybko znalazł pracę jako dziennikarz w piśmie „Wola Ludu” (co było jego marzeniem) i został przyjęty do Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego (ZSL). Za wszystko trzeba było jednak kiedyś zapłacić. Pewnej wrześniowej nocy roku 1950 w opustoszałym warszawskim parku „Wichura” już jako agent „Huragan” podpisał na kolanie zobowiązanie do współpracy z UB. W działalności agenturalnej Wasilewski używał pseudonimów: Huragan, Ramzes,

Wierny, Pewny, Znak i Marek, a za swoją działalność otrzymywał coraz wyższe wynagrodzenia pieniężne.

Wasilewski jako komunistyczny agent brał udział w działaniach operacyjnych prowadzonych m.in. przeciwko grupie Jana Tabortowskiego „Bruzdy”, Jana Sałatka „Orla” i patrolu „Leszczyny”. Jedną z akcji agenta Wasilewskiego była wymierzona w partyzancki oddział Jana Kmiołka „Fali” vel „Wira” na północnym Mazowszu. Jako emisariusz centrali „kpt. Marek” dostał się do oddziału i zdobył zaufanie partyzantów, by następnie wystawić ich komunistom. W trakcie działań agenta bezpieki oddział „Fali” został unicestwiony. Jana Kmiołka aresztowano i skazano na śmierć, a jego zbrojny patrol rozbito. W wyniku późniejszych aresztowań prawie 200 ludzi z konspiracyjnej siatki związanej z „Falą” znalazło się w areszcie. Ostatnim poważnym akordem pracy „Huragana” było uczestnictwo w wielkiej operacji komunistycznej, znanej pod kryptonimem Cezary (prowokacyjna i całkowicie zależna od UB V Komenda WiN), gdzie wcielił się w rolę szefa łączności obszaru WiN o ps. Znak.

W kwietniu 1960 r. Edward Wasilewski został wyłączony z agenturalnej sieci. Odstawienie na boczny tor i upokarzają-

ca praca w dziennikarstwie (pod koniec pisał porady w prasie kobiecej) doprowadziły do załamania nerwowego i nadużywania alkoholu. 22 sierpnia 1968 r. chory na gruźlicę Wasilewski wyskoczył z okna swego mieszkania i roztrzaskał głowę o bruk.

„LAWINA”

Henryk Wendrowski urodził się w 1916 r. w Saratowie w Rosji. Po I wojnie światowej rodzina Wendrowskich przyjechała do Polski i zamieszkała w Białymstoku. Kiedy we wrześniu 1939 r. wybuchła wojna, Henryk Wendrowski, który był nauczycielem, nie został zmobilizowany. Według porozumienia między III Rzeszą a ZSRS Białostoczczyznę zajęli Sowieci, ale nasz bohater w dalszym ciągu uczył w szkołach. Dopiero kiedy Hitler zaatakował Stalina i zmienił się okupant, Wendrowski rozpoczął działalność konspiracyjną w Polskiej Organizacji Zbrojnej „Racławice”, włączonej następnie w szeregi AK. W konspiracji używał pseudonimów: Narbutt, Kos oraz Nawrot i był odpowiedzialny za komórkę legalizacyjną w Inspektoracie Białostockim AK.

Latem 1944 r. przez Białostoczczyznę przeszedł front i Sowieci wyzwolili miasto. W tym czasie Wendrowski został zatrzymany przez Armię Czerwoną i w trakcie przesłuchania wyjątkowo szybko zdecydował się na pełną współpracę z sowieckim kontrwywiadem wojskowym Smiersz. Przy okazji zdekonspirował znaczną część białostockiego AK-owskiego podziemia, przekazując Sowiетom m.in. posiadany zbiór fotografii członków konspiracji. Jako tajny współpracownik po roku został przekazany polskiej bezpiece. Oficjalnie pracował w Powiatowym Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego (PUBP) w Olecku, ale jego tajne misje wykrczały daleko poza granice powiatu. Latem 1946 r. został przeniesiony do dyspozycji szefa Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Białymstoku, a następnie jesienią tego samego roku do Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego (MBP), skąd w dalszym ciągu kierowany był do niejawnych operacji prowadzonych przeciwko polskiemu podziemiu niepodległościowemu nawet w skali ogólnopolskiej.

Jako „kpt. Lawina” Henryk Wendrowski odpowiedzialny jest za rozbicie kilkuosobowej grupy z oddziału Józefa Zadzińskiego ps. Wołyniak, które

członków podstępnie zwabiono do Gliwic i zlikwidowano. Sukces akcji z tą grupą sprawił, że podobną operację na dużo większą skalę powtórzono w stosunku do oddziału Narodowych Sił Zbrojnych Henryka Flamego ps. Bartek. Wendrowski jako wysłannik podziemnej centrali nawiązał kontakt z grupą „Bartka” i nakłonił dowódcę oraz żołnierzy do zmiany miejsca działania. Ubecki agent zorganizował trzy transporty samochodowe, które przewoziły ochotników w rejon Wrocławia, gdzie partyzanci NSZ mieli osłaniać podziemną radiostację i walczyć przeciwko niemieckiemu Werwolfowi. Jednak żołnierze „Bartka” nigdy nie dotarli do miejsca docelowego, a cała akcja była ubecką prowokacją wykonaną wspólnie z sowieckim NKWD. Transporty były wyreżyserowane w podobny sposób, a polskich żołnierzy likwidowano w środku nocy podczas noclegu w drodze do celu podróży. Ginęli obrzuceni granatami, rozstrzelani czy wysadzeni w powietrze wraz z całymi budynkami. W taki bestialski sposób straciło życie ok. 100 polskich partyzantów, a kilku kolejnych zostało aresztowanych i skazanych na karę śmierci.

Wiosną 1947 r. Wendrowski z ramienia UB doprowadził do ujawnienia Białostockiego Okręgu WiN, a później uczestniczył w operacji „Cezary”, gdzie wcielił się w rolę fikcyjnego wysokiego oficera WiN, używając pseudonimów Kazimierz i Kos.

Sukcesy w prowadzonych przez Henryka Wendrowskiego akcjach łączyły się z kolejnymi awansami wojskowymi, odznaczeniami oraz karierą zawodową w MBP. W 1953 r. został wyłączony z sieci agentów, ale w dalszym ciągu pracował w Komitecie ds. Bezpieczeństwa Publicznego, a następnie w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, gdzie w 1959 r. otrzymał awans na stopień pułkownika. Przebywał w Wietnamie, był ambasadorem w Danii, a zwieńczeniem jego kariery dyplomatycznej było stanowisko ambasadora PRL w Islandii. Ubecki agent „kpt. Lawina” zmarł w 1997 r., nie poniosłszy żadnych konsekwencji



swej antypolskiej działalności i służby w zbrodniczym stalinowskim UB.

„REGINA”

Swoich przyjaciół zdradziła również doświadczona konspiratorka i dzielna łączniczka mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki” – Regina Mordas-Żylińska ps. Regina. Aresztowana pod koniec kwietnia 1946 r. i złamana w brutalnym śledztwie (według słów jej córki „Regina” była bita i miała odbite nerki), poszła na współpracę z UB, być może szukając okazji do wyjścia na wolność. Potem jednak chętnie zdradziła ponad 30 nazwisk oraz inne dane współpracowników grupy „Łupaszki”. W działaniach prowadzonych z komunistycznymi służbami używała pseudonimów Regina i Gina. Nie udało się UB poprzez nową agentkę trafić na ślad „Łupaszki”, ale współpraca „Reginy” przynosiła już początkowe owoce. Jako jeden z pierwszych 8 lipca w nocy w mieszkaniu w Sopocie aresztowany został Feliks Selmanowicz „Zagończyk”, a 20 lipca w mieszkaniu sióstr Mikołajewskich w Gdańsku-Wrzeszczu w ręce UB wpadła Danuta Siedzikówna „Inka”. Przypuszcza się, że „Regina” skonfrontowana przez UB z „Inką” usilnie namawiała swą młodszą koleżankę z partyzantki do ujawnienia wszystkich szczegółów konspiracji. Nic z tego nie wyszło, a młodziutka sanitariuszka okazała się twardsza niż doświadczona wywiadowczyni. I dlatego Danusia Siedzikówna pomimo swoich 17 lat musiała umrzeć, aby nie wyjawić zdrady „Reginy”. „Inka” i „Zagończyk” zostali skazani na śmierć, a wyrok wykonano 28 sierpnia 1946 r. Donosy „Reginy” doprowadziły m.in. do rozbicia koszańskiej

grupy Bojowego Oddziału Armii (BOA). W tym przypadku również wobec kilku aresztowanych konspiratorów zasądzono kary śmierci, a wyroki wykonano. W 1948 r. resort wykorzystywał współpracę „Reginy” w ramach wielkiej ogólnopolskiej akcji „X” wymierzonej w środowisko podziemia wileńskiego działającego na terenie pojałtańskiej Polski. Co ciekawe, UB aresztował ją wówczas na krótko, wzmacniając tylko jej słabnące alibi. W areszcie jednak nie próżnowała – pozostawiła po sobie własno-

ręcznie spisane wyczerpujące donosy na kolegów z siatki konspiracyjnej.

Działanie „Reginy” i jej współpraca z UB pozostawiły za sobą „spaloną ziemię”. Według komunistycznych dokumentów przyczyniła się do rozbicia 120 konspiracyjnych lokali oraz dostarczyła dane osobowe 121 konspiratorów i ludzi związanych z podziemiem. Przekazane przez nią informacje przyczyniły się do aresztowania wielu osób. Liczni skazani zostali później na wieloletnie kary więzienia. To jednak nie koniec. „Regina” ma na swoim sumieniu przynajmniej kilka istnień ludzkich. Były przecież przypadki, że w wyniku jej donosów aresztowani otrzymywali najwyższy wymiar kary i w majestacie ówczesnego prawa byli mordowani przez komunistów.

Jej oficjalna współpraca z UB trwała do 1950 r., ale i później była dorywczą konsultantką bezpieki, jeśli chodzi o środowisko konspiracji wileńskiej. Przyszedł taki czas, że odsunięta poza główny nurt wydarzeń sama dzwoniła na milicję, wymyślając różne rewelacje dotyczące dawnej konspiracyjnej działalności. Próbowала zainteresować Służbę Bezpieczeństwa rzekomo ukrytym na Litwie archiwum „Łupaszki”.

Udało się jej jednak przykuć uwagę bezpieki tylko na kilka miesięcy. Podobno za wierną pracę dla UB nie brała żadnych pieniędzy, a działała tylko przez sentyment do jednego z funkcjonariuszy. Chyba w przypływie wyrzutów sumienia w pewnym momencie mówiła ubekom, że ma takie „zobowiązania i długi, których żadnym pieniądzem nie spłaci do końca życia”. „Regina” zmarła w 1970 r. w nie do końca wyjaśnionych okolicznościach.



SYMON NOWAK
„ZDRAJCY
WYKLĘTYCH”
FRONDA 2017



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

„Łupaszka” w obiektywie

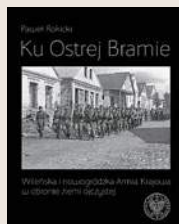
Paweł Rokicki, pisząc głośną książkę „Glinciszki i Dubinki”, pokazał, że jest jednym z najciekawszych i najbardziej wiarygodnych historyków młodego pokolenia. Wiernym zasadzie, że rasowego historyka powinny cechować obiektywizm i dążenie do prawdy, a nie uprawianie patriotycznego PR i pisanie „ku pokrzepieniu serc”.

Wydany właśnie przez Rokickiego album „Ku Ostrej Bramie” w pełni potwierdza pozytywną opinię o tym historyku. Jest to bowiem dzieło niesamowite. Nie miałem pojęcia, że zachowało się aż tyle zdjęć żołnierzy wileńskiej i nowogródzkiej AK! Rokicki wykonał iście tytaniczną pracę, odnajdując w archiwach i prywatnych kolekcjach imponujący materiał. Równie imponujące są jego własne zbiory.

Album oglądałem ze szczególnym wzruszeniem. Ze względów rodzinnych i ze względu na moje antykomunistyczne poglądy – właśnie te dwa okręgi AK darzę największym sentymentem. Tacy oficerowie jak Adolf Pilch „Góra”, Zygmunt Szendzielarz „Łupaszka”, Czesław Zajączkowski „Ragner”, Józef Świda „Lech” czy Gracjan Fróg „Szczerbiec”, należą do moich największych bohaterów. Ależ oni zadali bobu bolszewikom!

Na kartach albumu Rokickiego znalazłem zdjęcia tych oficerów lub ich żołnierzy. W walce, podczas odpoczynku, ćwiczeń, przemarszów, posiłków, mszy polowych, a nawet... wyszukiwania wszy w ubraniach. Dzięki takiemu doborowi fotografii możemy zobaczyć, jak wyglądało życie codzienne żołnierzy służących w podziemnej armii Wileńszczyzny i Nowogródzkiej. Jak wyglądała partyzantka od kulis. Wszystko to rozgrywa się na tle cudownych pejzaży ziemi rodzinnej. W małych miasteczkach Wileńszczyzny, we wsiach, w futorach, puszczech... Jaka szkoda, że ta historia tak fatalnie, tak tragicznie się skończyła.

Album Pawła Rokickiego został niezwykle starannie przygotowany. Oprócz fotografii znalazły się w nim mapy, zdjęcia lotnicze i skany unikatowych dokumentów. Historyk opatrzył całość fachowym komentarzem. „Ku Ostrej Bramie” będzie ozdobą mojej biblioteki. ©©



★★★★★

PAWEŁ ROKICKI

„KU OSTREJ
BRAMIE.
WILEŃSKA
I NOWOGRÓDZKA
AK W OBRONIE
ZIEMI OJCZYSTEJ”
IPN



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Krzysztof Komeda i film

Krzysztof Komeda miał już ugruntowaną pozycję w świecie jazzu, gdy zajął się muzyką filmową. Jego debiutem była etiuda studencka Romana Polańskiego „Dwóch ludzi z szafą”. Zapewne wówczas nie podejrzewał, że zaczyna nowy rozdział w swojej muzycznej biografii. Etiuda zdobyła brązowy medal w Międzynarodowym

ro jej słuchałem. Nie pytałem, co mi proponuje”.

Komeda miał nieprawdopodobny talent do komponowania chwytliwych melodii. Miał jednak specyficzny sposób pracy, o czym przekonała się Agnieszka Osiecka, gdy wspólnie tworzyli muzykę do „Prawa i pięści”:

„W zasadzie mogliśmy tę piosenkę napisać, siedząc spokojnie w domu, ale panowie reżyserzy [...] uparli się, że musimy przyjechać na plan do Torunia. [...] Krzyś był mrukiem, miał takiego małego volkswagena garbusa, bardzo typowego dla lat 60., i jechaliśmy sobie tym volkswagenem z Warszawy do Torunia. Szaro było, pusto było, mrodo było, Krzyś nie powiedział do mnie ani słowa. Ja też nie powiedziałam do niego ani słowa, bo jakże tak. Przyjechaliśmy tam, [...] ale nikt nam nie umiał wytłumaczyć, o co chodzi. [...] Wreszcie Hoffman czy Skórzewski bardzo się spiał i powiedział tak: »Mamy dla Was pomysł. Taką napiszcie piosenkę, żeby było country i refren«. [...] Nic z tego nie zrozumieliśmy, znowu wsiedliśmy w tego volkswagena i jechaliśmy, jechaliśmy, jechaliśmy. Strasznie nudno, wreszcie gdzieś już pod Warszawą Krzyś powiedział: »Słuchaj, ja ci coś powiem. Zrób tekst pod Okudżawę, ja zrobię muzykę pod western. I to będzie to, o co im chodzi«”.

I miał rację, powstała bowiem ballada „Nim wstanie dzień”, która w mistrzowskiej interpretacji Edmunda Fettinga weszła do kanonu polskiej muzyki. ©©

Najważniejszy dla kariery Komedy okazał się „Nóż w wodzie”

Konkursie Filmów Eksperymentalnych w Brukseli, otrzymywała wyróżnienia na przeglądach w San Francisco, Oberhausen i Montevideo. Polański stał się postacią znaną w świecie filmu, a Komeda wraz z nim.

Pełnometrażowym debiutem kompozytora byli „Niewinni czarodzieje”. Wajdy. W filmie tym wystąpił także przed kamerą, grając siebie samego. Pisał również muzykę do obrazów Jerzego Passendorfera, Janusza Morgensterna i Jerzego Skolimowskiego. Najważniejszy dla kariery Komedy okazał się „Nóż w wodzie” Polańskiego (premiera 9 marca 1962 r.).

„Lubiłem z nim pracować – wspominał reżyser: – Czuł muzykę filmową jak mało kto. [...] Dawałem mu całkowicie wolną rękę, carte blanche. [...] Już nagrał muzykę, a ja dopie-



Dominika Ćosić

Geert Wilders chce pozamykać meczety, a muzułmanów wypędzić, zrezygnować z euro, a może nawet wystąpić z Unii Europejskiej. Czy w Holandii dojdzie do politycznego trzęsienia ziemi?

Nadający ton kampanii poprzedzającej marcowe wybory parlamentarne 53-letni Geert Wilders pochodzi z miejscowości Venlo w południowo-wschodniej Holandii. Co prawda skończył liceum katolickie, ale potem jego drogi z Kościołem się rozeszły. Jako nastolatek mieszkał przez jakiś czas w Izraelu, a później wielokrotnie odwiedzał ten kraj. Zwykł powtarzać, że czuje się tam jak u siebie w domu. Opowiada się przeciwko prawom Palestyńczyków do tworzenia osiedli na terenie miast izraelskich. Po powrocie do kraju pracował m.in. jako agent ubezpieczeniowy. O jego życiu osobistym wiemy niewiele. Jego żona, Krisztina, jest węgierską Żydówką. Nie mają dzieci. Małżonka polityka pokazuje się publicznie jedynie sporadycznie. – Jego życie rodzinne? Jego rodziną i życiem jest polityka – mówi jeden z holenderskich dziennikarzy.

Z polityką zawodowo związany jest od kilkunastu lat, początkowo był członkiem partii liberalnej, którą opuścił po tym, gdy ta poparła starania Turcji o wejście do Unii Europejskiej. Założył własne ugrupowanie – Partię Wolności. Z jej ramienia dostał się do holenderskiego parlamentu. Jego kariera nabrała impetu po 2004 r. – wówczas zamordowano kontrowersyjnego reżysera i dokumentalistę, Theo van Gogha. Van Gogh, krewny słynnego malarza, nakręcił film o islamie uznany przez muzułmanów za bluźnierczy. Padł ofiarą politycznego mordu, został zabity przez muzułmanina. Ta tragiczna i głośna śmierć słynnego przeciwnika islamu i islamizacji Holandii utorowała drogę Wildersowi.

KSENOFOB

Szybko zajął on na scenie politycznej miejsce van Gogha. W 2008 r. nakręcił bardzo kontrowersyjny film – „Fitna”, w którym na przemian pokazywane są fragmenty Koranu i zdjęcia ataków terrorystycznych dokonanych przez islamistów.

Po tym filmie dla muzułmanów stał się wrogiem politycznym numer jeden i celem ataków. Dwa lata później Al-Kaida wpisała go na listę osób, które trzeba zlikwidować.

Polityczna agenda Wildersa sprowadza się do dwóch głównych tematów: niechęci do imigrantów i islamu. Ta antypatia nie dotyczy wyłącznie przybyszów spoza Europy i wyznania muzułmańskiego. Dotknęła także Polaków. Pięć lat temu Wilders założył portal, na którym Holendrzy mogli donosić o polskich robotnikach pracujących na czarno. W komentarzach roiło się od wulgarnych i obraźliwych wpisów na temat naszych rodaków, przedstawianych jako złodzieje i pijacy. Sprawa była na tyle bulwersująca, że zajęły się nią Parlament Europejski i Komisja Europejska. Skargi poskutkowały w końcu zamknięciem portalu.

coraz bardziej trafia ona w gusta mieszkańców Holandii i innych europejskich krajów.

AMSTERDAM ZAOSTRZA KURS

Przez całe lata kraj tulipanów i wiatraków uchodził za forpoczcie obyczajowej i politycznej postępowości. W Holandii w pierwszej kolejności eksperymentowano ze zmianami prawno-etycznymi, które potem implementowano w innych zachodnich krajach, a chodziło o legalizację aborcji, eutanazji, prostytucji, miękkich narkotyków, małżeństw par homoseksualnych i adopcji przez nie dzieci. Holandia, postrzegana zwłaszcza przez pryzmat Amsterdamu, jawiła się jako kraj niezwykle wyzwolony obyczajowo i jednocześnie przykład radosnego multi-kulti, bo też i przez całe lata Holendrzy przyjmowali pozaeuropejskich imigrantów. W tym także z byłych kolonii holenderskich, m.in. z In-

Holenderski czarny koń

W czym Polacy przeszkadzali Wildersowi? Jego zdaniem psuli rynek pracy zbyt konkurencyjnymi stawkami. I było ich za dużo. Ataki na Polaków nie zyskały jednak szerokiego poklasku. Nie z powodu jakiegś wyjątkowej sympatii do naszego narodu, ale z czystej kalkulacji. Holenderscy pracodawcy byli zadowoleni z Polaków, zarówno właściciele dużych firm, jak i ludzie zlecający np. remont domu. Rezygnacja, a na pewno zmniejszenie ataków na Polaków było zatem przemyślaną decyzją polityczną. Jak przystało na populistę.

Miejsce Polaków jako chłopców do bicia zajęli przede wszystkim Marokańczycy. Już kilka lat temu Wilders został ukarany za słowa, że „większość Holendrów chce, by Marokańczyków było u nich mniej”. Podczas obecnej kampanii posunął się jeszcze dalej – nazwał Marokańczyków „śmierciakami”. Wilders zastrzega retorykę, bo widzi, że

donezji. Gościli przybyszów i nie stawiali im żadnych wymagań, licząc na to, że ci sami z siebie dostosują się do tolerancyjnego holenderskiego ducha, który tak naprawdę polega na obojętności na zachowanie i poglądy innych. I choć ta integracja rzadko kiedy się udawała, tematu jej fiaszka oficjalnie nie było.

Dopiero Theo Van Gogh zaczął mówić o otwarciu o tym, że imigranci – zwłaszcza muzułmanie – się nie integrują. Przebiło się to do głównego nurtu sceny politycznej i w efekcie np. minister ds. wewnętrznych Rita Verdonk zaproponowała, by cudzoziemcy chcący miesz-

kać w Holandii zdawali obowiązkowy egzamin z języka niderlandzkiego oraz zaliczali test z poprawności politycznej. W jego ramach pokazywano np. zdjęcia kobiet w bikini czy całujących się par homoseksualnych i sprawdzano reakcję imigrantów. Ci, którzy reagowali agresywnym oburzeniem, wypadali z gry.

Wilders kontynuuje sceptyczną postawę wobec imigrantów, mocno ją jednak zastrzegając. Nie byłoby to możliwe bez poparcia społecznego. Jak zatem jest z tymi Holendrami? Są tak tolerancyjni, jak się wydaje, czy może jednak ksenofobiczni? Odpowiedź nie jest jednoznaczna. Holendrzy nadal są tolerancyjni obyczajowo (choć jednocześnie prowincja holenderska to nie postępowy i wyzwolony Amsterdam z dzielnicą czerwonych latarni, lecz raczej wspólnota ludzi hołdujących tradycyjnym

wartościom), ale jednocześnie zaczynają się bać, że ich styl życia zaczyna być zagrożony głównie za sprawą muzułmańskich imigrantów.

To, co ich niepokoi, to także wskaźniki demograficzne, a te są nieubłagane. W szpitalach w Rotterdamie ponad 60 proc. noworodków przychodzących na świat to dzieci nieholenderskiego pochodzenia. Liczba imigrantów i ich potomków, zwłaszcza w dużych miastach typu Rotterdam, Amsterdam i Utrecht, rośnie lawinowo, a proporcje między ludnością stałą a napływową zmieniają się ustawicznie na korzyść tej drugiej. Muzułmanie stają się też coraz bardziej roszczeniowi. W niektórych dzielnicach dużych miast pojawia się sporadycznie nieformalna policja szariatowa. Mięso halal jest wprowadzane do menu stołówek szkolnych i pracowniczych. Powstaje coraz więcej meczetów. Niepokojąco rosną wskaźniki przestępczości.

Strach i niechęć do obcych rosną. I to sprawiło, że prawie rok temu Holendrzy w referendum zagłosowali przeciwko porozumieniu Unii Europejskiej i Ukrainy. To Francja i właśnie Holandia opowiedziały się przeciwko przyjęciu konstytucji europejskiej, w dużej mierze z niechęci do napływu obywateli nowych krajów członkowskich Unii Europejskiej.

Na czym polega fenomen Wildersa? Na tym, że jest charzmatyczny i trafia dokładnie w oczekiwania ludzi. Łączy ksenofobię, strach przed islamem i imigrantami ze społecznym oraz obyczajowym liberalizmem.

Walczy z islamem dlatego, że zagraża on holenderskiemu modelowi tolerancji. Co więcej, chce się też pokazać jako polityk dbający o potrzeby finansowe

społeczeństwa. Jednym z jego postulatów jest obniżenie wieku emerytalnego z 67. do 65. roku życia.

Według powszechnego stereotypu na Wildersa głosują starzy, biedni, niewykształceni z prowincji. Częściowo to prawda, ale tylko częściowo. Jego hasła trafiają bowiem także do holenderskiej klasy średniej, która jednak oficjalnie nie obnosi się ze swoimi sympatiami politycznymi, a która chce zachować swój dotychczasowy sposób i poziom życia. Wilders trafia też do eurosceptyków, których niepokoi kurs przyspieszania integracji narzucanej przez Brukselę i przekazanie jej coraz większych kompetencji kosztem krajów członkowskich. Wilders idzie dalej i proponuje, by Holandia wystąpiła ze strefy euro i wróciła do guldena. Także dlatego, by nie musieć dokładać się do ratowania pogrążonej w kryzysie finansowym Grecji.

ZWYCIĘZCA W OPOZYCJI?

Na razie sondaże przedwyborcze dają Wildersowi zwycięstwo w nadchodzących wyborach. Według najnowszych obliczeń jego partia powinna wprowadzić do parlamentu 25 posłów z 76. To jednak nie wystarczy do stworzenia rządu. Holandię może czekać czas niepewności politycznej i chaosu. Ewentualna koalicja antywildersowska – a zostanie wokół jego partii prawdopodobnie stworzony kordon sanitarny – będzie się składała z kilku partii i będzie tworzyć nader egzotyczny sojusz, np. chadecko-liberalno-socjalistyczny. A ugrupowanie Wildersa może być silną, destrukcyjną opozycją. – Jego zwycięstwo przyniesie polityczny bałagan i zamieszanie – komentuje Rem Korteweg, ekspert z Centrum na rzecz Europejskich Reform.

Nawet jeśli Wilders nie wygra tych wyborów albo mimo przewagi nad konkurentami nie stworzy rządu, to jego mocne poparcie społeczne będzie wyraźnym znakiem politycznym. Na Wildersa trzeba bowiem patrzeć w szerszym kontekście, który obejmuje też Francję i Marine Le Pen z jej Frontem Narodowym, Wielką Brytanię już po Brexicie z Nigelem Farage'em i Niemcy z Alternatywą dla Niemiec. Można powiedzieć, że ta rosnąca popularność populistów to efekt taniej demagogii, ale można też na to spojrzeć inaczej – to bunt obywateli, zwłaszcza krajów starej Unii, przeciwko narzucanej im przez mainstream ideologii i ignorowanych przez tenże mainstream prawdziwych zagrożeń.



FOT. ULRICH BAUMGARTEN/GETTY IMAGES

Zamach na wybory we Francji



Olivier Bault

O wynikach wyborów prezydenckich we Francji mogą przesądzić działania prokuratury finansowej. Czy socjaliści wykorzystują instytucje państwowe do walki politycznej?

Zdawało się, że w wyborach prezydenckich, które odbędą się 23 kwietnia i 7 maja we Francji, kandydaci lewicy nie mają szans, i że ten, kto wygra prawyborów centroprawicy, będzie miał prezydenturę w kieszeni. W tych prawyborach z dużą przewagą zwyciężył François Fillon, premier za czasów prezydentury Nicolasa Sarkozy'ego w latach 2007–2012, który przedstawiał liberalno-konserwatywny program przeciwko liberałowi i faworytowi mainstreamowych mediów Alainowi Juppé. Dzięki konserwatywnym hasłom Fillon cieszył się w drugiej turze prawyborów poparciem już nie tylko centroprawicowego ruchu Sens Commun wywodzącego się z Manif pour Tous, czyli z wielkich manifestacji w obronie rodziny, lecz także kandydata niewielkiej Partii Chrześcijańsko-Demokratycznej (PCD) Jeana-Frédérica Poissona – katolika, obrońcy rodziny i przeciwnika aborcji. Powszechnie uznano, że to wyraźny skręt Fillona w prawo zapewnił mu zwycięstwo nad Juppé.

Zgodnie z przewidywaniami zaraz po wygranej Fillona sondaże wskazywały, że bez trudu wygra w kwietniu pierwszą turę razem z Marine Le Pen, którą pokona z dużą przewagą w drugiej turze. Marzenia Hollande'a o tym, że to on stanie do walki w drugiej turze przeciwko Marine Le Pen, stały się wtedy już tak nierealne, że urzędujący prezydent wołał zrezygnować z ubiegania się o drugą kadencję. Co więcej, ani oficjalny kandydat socjalistów, który miał w styczniu wyłonić się w prawyborach lewicy, ani niezależny lewicowy kandydat Emmanuel Macron, któremu

przychylnie przypatrywał się Hollande, nie miał żadnych szans, by znaleźć się w zwycięskiej dwójce pierwszej tury.

KŁOPOTLIWA PRACA ŻONY

Wszystko zmieniło się jednak po 24 stycznia, kiedy wyszły na jaw sprawy związane z długoletnią pracą żony François Fillona, Pénélope, na stanowisku jego asystentki parlamentarnej. Nie byłoby z tym problemu, gdyby nie wcześniejsze deklaracje małżeństwa Fillonów, że Pénélope nie angażuje się w polityczną działalność swojego męża i zajmuje się głównie dziećmi, domem oraz swoją niewielką hodowlą koni. Rodzi to podejrzenia, że doszło do jej fikcyjnego zatrudnienia w celu wyłudzenia pieniędzy publicznych. Według lewicowego, satyrycznego tygodnika „Le Canard Enchaîné”, który jako pierwszy podał te informacje do publicznej wiadomości, w grę wchodziło ok. 800 tys. euro brutto wypłaconych w latach 1988–1990 i 1998–2007.

Od kiedy informacje te wyszły na jaw, kandydatura wcześniej murowanego faworyta stoi pod znakiem zapytania, a jego notowania runęły z poziomu ok. 30 proc. i ustabilizowały się na poziomie ok. 20 proc., co w większości sondaży nie zapewnia mu przejścia do drugiej tury, gdyż byłby dopiero trzeci za Marine Le Pen (notowania na poziomie 25–27 proc.) i centrolewicowcem, byłym ministrem gospodarki w rządzie Manuela Vallsa – Emmanuelem Macronem (22–24 proc.). Co ciekawe, poza młodym wiekiem niewiele różni Macrona, obecnego pupila mainstreamowych mediów

i prezydenta Hollande'a od byłego faworyta tych samych – przeważnie liberalno-lewicowych mediów – Alaina Juppé.

W tej sytuacji zastanawia doskonała koordynacja działań tygodnika „Le Canard Enchaîné”, a później innych liberalno-lewicowych mediów, takich jak „Le Monde” i portalu internetowego Mediapart oraz prokuratury finansowej. 24 stycznia wieczorem wszystkie największe francuskie redakcje otrzymały materiały, które miały się ukazać nazajutrz rano w „Le Canard Enchaîné”. W tym samym dniu, według ustaleń prawnicowego tygodnika „Valeurs Actuelles”, szefowa prokuratury finansowej zadzwoniła do szefa paryskiej prokuratury generalnej, aby zastrzec sobie prawo do zajmowania się tą sprawą. W środę 25 stycznia po południu prokuratura finansowa otworzyła wstępne śledztwo na podstawie publikacji prasowych.

PROKURATURA SOCJALISTÓW

Niezwykle szybkie działania prokuratury finansowej i to, że na trzy miesiące przed wyborami ujawnione zostały fakty pochodzące sprzed 10 i więcej lat, rodzi wiele pytań i wątpliwości. Sama prokuratura finansowa to twór stworzony przez socjalistów po skandalu wywołanym ujawnieniem informacji o tajnych szwajcarskich kontach ministra budżetu w rządzie Jeana-Marca Ayraulta, pierwszego premiera Hollande'a. Prokuratura ta została oczywiście obsadzona przez socjalistów. W tym samym roku co prokuratura finansowa, tj. w 2013 r., została utworzona instytucja mająca zapewniać przejrzystość działalności osób publicznych pod nazwą Haute



Po ujawnieniu informacji o zatrudnieniu żony François Fillona jako jego asystentki notowania murowanego faworyta spadły z ok. 30 do 20 proc. FOT. FREDERIC STEVENS/GETTY IMAGES

Autorité pour la Transparence de la Vie Publique (HATVP), która może sprawdzać we współpracy z administracją podatkową majątek i dochody posłów, senatorów oraz ministrów i która informuje samego prezydenta o każdym zawiadomieniu skierowanym do niej. Dziwnym trafem kierowana przez byłego prokuratora generalnego, który od 2011 r. angażował się na rzecz Partii Socjalistycznej i otwarcie popierał Hollande'a w wyborach prezydenckich w 2012 r., HATVP zdaje się interesować głównie politykami prawicy (70 proc. prowadzonych spraw).

W tym kontekście uzasadnione są pytania: Kto i w jakim celu wygrzebał sprawy mogące kompromitować kandydata centroprawicy w nadchodzących wyborach prezydenckich? Kto mógł mieć dostęp do dokumentacji zarówno Zgromadzenia Narodowego, dotyczącej umów z asystentami parlamentarnymi, jak i ministerstwa finansów, dotyczącej dochodów i majątku państwa Fillonów?

Sam François Fillon oskarża najwyższe władze państwowe, a niektórzy na prawicy wskazują nawet na konkretną osobę, tj. sekretarza generalnego Pałacu Elizejskiego Jeana-Pierre'a Jouyeta, mającego bliskie związki z Emmanuelem Macronem.

W przeszłości ten sam Jouyet stwierdził w wywiadzie udzielonym dwóm dziennikarzom „Le Monde”, że Fillon podczas spotkania z nim domagał się przyspieszenia postępowań karnych wobec Nicolasa Sarkozy'ego, co zostało zdementowane przez inne osoby obecne na spotkaniu, ale mogło mieć na celu skłócenie liderów Les Républicains. Ci sami dwaj dziennikarze publiko-

wali po wybuchu skandalu Pénélopegate nielegalne przecieki mogące pochodzić wyłącznie z prokuratury finansowej lub policji, co potwierdza ich bliskie związki z obecną władzą. Co ciekawe, przygotowano również coś przeciwko Nicolasowi Sarkozy'emu, który także kandydował w prawyborach centroprawicy: 7 lutego francuska prokuratura postawiła w stan oskarżenia byłego prezydenta w sprawie przekroczenia dozwolonego pułapu wydatków na kampanię wyborczą w 2012 r. Sprawa ta powraca co jakiś czas, a Sarkozy już kilka lat temu musiał zwrócić część wydanych pieniędzy. Moment wybrany przez prokuraturę także tu wzbudza poważne wątpliwości.

Tak samo wzbudza wątpliwości mianowanie 24 lutego sędziego Sergé'a Tournaire'a jako tego, który ma przewodniczyć grupce trzech sędziów mających po zakończeniu wstępnych czynności prokuratury finansowej prowadzić śledztwo w sprawie Fillona. To właśnie sędzia Tournaire 7 lutego postanowił – pomimo zastrzeżeń drugiego sędziego śledczego zajmującego się tą sprawą – wznowić postępowanie sądowe przeciwko Sarkozy'emu. Już 1 marca adwokaci Fillona dostali wezwanie do stawienia się ich klienta 15 marca na przesłuchanie mogące zakończyć się postawieniem kandydata na prezydenta w stan oskarżenia. Data ta nie jest przypadkowa: to 2 dni przed ostatecznym terminem zgłaszania kandydatur. Dlatego też na konferencji prasowej zorganizowanej 1 marca kandydat centroprawicy dziwił się niezwykle tempu pracy prokuratury finansowej i oskarżył ją wprost o działanie na zlecenie polityczne w celu wykluczenia centroprawicy z wyborów prezydenckich.

Prowadząca w sondażach Marine Le Pen zamiast przyłączyć się do nagonki medialnej przeciwko Fillonowi, wyrażała od początku sprzeciw wobec instrumentalizacji instytucji państwowych będących w rękach socjalistów i podzieliła się przekonaniem, że przeciwko niej zostaną użyte podobne metody. Prognozy te potwierdziły kilkugodzinne zatrzymania jej ochroniarza i szefowej jej gabinetu politycznego oraz postawienie tej drugiej w stan oskarżenia 22 lutego w sprawie o podejrzenie fikcyjnego zatrudnienia na stanowisku asystenta parlamentarnego europosłanki Marine Le Pen. Jednakże w przeciwieństwie do François Fillona postanowiła wykorzystać swój immunitet parlamentarny i nie stawić się na spotkanie ze śledczymi mogące skutkować postawieniem zarzutów, uzasadniając to kampanią wyborczą i ryzy-

kiem wykorzystywania przez rządzących instrumentów prawnych w celu zakłócenia wyborów.

LE PEN OSTRZEGA URZĘDNIKÓW

Sprawa, o której tutaj mowa, została nagłośniona w marcu 2015 r. przez niemieckiego socjalistę Martina Schulza, ówczesnego przewodniczącego Parlamentu Europejskiego, dwa tygodnie przed francuskimi wyborami departamentalnymi. Uzasadnieniem uruchomienia śledztwa w sprawie wynagradzania z funduszy PE osób wykonujących prace niezwiązane z wykonywaniem mandatu posła miała być wyjątkowa skala tego zjawiska w szeregach europosłów Frontu Narodowego. Śledztwo miało dotyczyć bowiem kwoty 7,5 mln euro wypłacanych dla 20 asystentów. Sęk w tym, że zostało ono jednak zawężone do dwóch asystentów Le Pen, dotyczy łącznej kwoty 340 tys. euro i trudno będzie udowodnić, na ile wykonywane przez nich zadania nie mieściły się w zakresie obowiązków asystenta parlamentarnego. Poza tym znów nasuwa się pytanie, dlaczego doszło do tych zatrzymań i zarzutów prokuratorskich akurat dwa miesiące przed wyborami prezydenckimi.

Sprawy nabrały tempa w ostatnich dniach lutego, kiedy Francuzi stali się świadkami nagłego wzmożenia ujawnianych „afer” i postępowań wobec FN. 26 lutego Marine Le Pen poszła jeszcze dalej niż François Fillon i jasno ostrzegła urzędników administracji państwowej, którzy biorą udział w próbie – jej zdaniem – nielegalnej destabilizacji jej kampanii wyborczej: gdy obecnej władzy już nie będzie, oni będą musieli odpowiadać za swoje czyny przeciwko oponentom politycznym socjalistów.

Lewicowa władza nie powiedziała jednak jeszcze ostatniego słowa: na wniosek prokuratury (która nie jest we Francji niezależna) Parlament Europejski uchylił 2 marca immunitet parlamentarny Marine Le Pen. Ma to związek z publikacją na Twitterze w grudniu 2015 r. zdjęć z egzekucji dokonanych przez Państwo Islamskie w odpowiedzi na to, jak znany dziennikarz porównał Front Narodowy do najbardziej radykalnych islamistów. Oskarżona o rozpowszechnianie propagandy dżihadystycznej (!) czołowa kandydatka na prezydenta Francji mogłaby nawet trafić do więzienia.

Takiej sytuacji we Francji jeszcze nie było za czasów V Republiki.

PIOTR WŁOCZYK: Ile razy była pani w klinikach aborcyjnych?

LILA ROSE: Na pewno więcej niż 10 razy.

Jak wyglądały te wizyty?

Zawsze miałam ze sobą ukryte w torebce kamerę i mikrofon. Dokumentowałam w ten sposób potworności, które można zobaczyć i usłyszeć w tych miejscach. Jedną z tych wizyt szczególnie zapadła mi w pamięć. To było na początku mojej działalności w Live Action. Poszłam wtedy do jednej z klinik aborcyjnych w Indianie, żeby sprawdzić, jak personel tej placówki traktuje przypadki wykorzystywania seksualnego dzieci. Wyglądałam naprawdę młodo. Powiedziałam, że niedługo skończę 14 lat i jestem w ciąży z 31-letnim mężczyzną.

W Polsce taka sytuacja traktowana jest przez prawo jako gwałt.

W USA również. Słyszając te słowa, pielęgniarka powinna od razu zgłosić tę sprawę stanowym władzom. Nawet jeżeli ojciec dziecka byłby nieletni, to do aborcji w tym wieku prawo wymaga zgody rodziców.

Pielęgniarka, która mnie przyjęła, powiedziała jednak wyraźnie, że nie chce wiedzieć, ile mam lat, i „nie usłyszała”, ile lat ma ojciec dziecka. Jak gdyby nigdy nic chciała tę sprawę doprowadzić do „końca”. To wszystko widać na nagraniu dostępnym w Internecie. Ta kobieta nie okazywała przy tym żadnych emocji.

Co się z nią stało po upublicznieniu nagrania?

Najpierw została zawieszona, a potem straciła pracę.

Można tłumaczyć w ten sposób: w wielkiej firmie zawsze może się znaleźć czarna owca. Najważniejsze, że kierownictwo reaguje na przypadki łamania prawa i zwalnia takich pracowników.

Tylko że to nie był jedyny taki przypadek. Bardzo podobne sytuacje zarejestrowałam w innych klinikach aborcyjnych, m.in. w Los Angeles. Ciężko tu mówić o błędach ludzkich, to raczej cały system jest na wskroś zdemoralizowany – każda aborcja to przecież konkretny zarobek dla kliniki.

Tę demoralizację świetnie widać w naszych nagraniach pokazujących, na jaką pomoc mogą liczyć w klinikach aborcyjnych stręczyciele wykorzystujący nieletnie dziewczyny. Jeden z nas udawał stręczyciela, który miał pod swoją „opieką” nieletnie dziewczyny. Przemysł aborcyjny nie miał z tym jednak żadnego problemu. Stręczyciel otrzymał zapewnienie, że jego pracownice



Z Lilą Rose, szefową amerykańskiej organizacji Live Action rozmawia Piotr Włoczyk

Krucjata przeciw klinikom śmierci

zostaną w razie ciąży odpowiednio „obsłużone”, a nawet usłyszał porady, że pracujące dla niego dziewczyny mogą zarabiać nawet tuż po aborcji – będą jednak musiały pracować jedynie „od pasa w górę”.

Nigdzie nie natrafiłem na informację, żeby po upublicznieniu przez Live Action drastycznych przypadków łamania prawa jakaś klinika aborcyjna

została na stałe zamknięta. Nie ma pani poczucia, że to wszystko to syzyfowa praca?

Przemysł aborcyjny to trudny przeciwnik, dysponujący ogromnymi pieniędzmi, który ponadto ma potężnych sojuszników wśród polityków. Nawet odrażające przykłady łamania prawa, które wielokrotnie dokumentowaliśmy, kończyły się zazwyczaj na zamykaniu wszystkiego pod



Lila Rose (z lewej) na czele protestu pod jedną z klinik aborcyjnych FOT. REDALERTPOLITICS.COM

przedstawia się jako przyjaciółka kobiet, ale w rzeczywistości dobro kobiet liczy się tam najmniej.

W tych miejscach czuć śmierć, normalnemu człowiekowi robi się niedobrze, jeżeli pomyśli, że tuż obok są drzwi, za którymi codziennie brutalnie zgniata się ludzkie życie.

Miała pani jakieś problemy w związku z tymi nagraniami?

PP żądało usunięcia tych nagrań z Internetu i groziło mi nawet pozwami: 5 tys. dol. za każde nagranie. Ruch pro-life otoczył mnie jednak ochroną prawną i PP odpuściło ataki na Live Action. Było już jednak za późno – próba knebłowania nam ust przyczyniła się tylko do nagłośnienia naszych akcji demaskatorskich. Te przypadki były na tyle rażące, że zainteresowała się nimi nawet stacja CNN!

Amerykanie muszą wiedzieć, jak wyglądają kulisy tego zbrodniczego przemysłu – nawet przy ultraliberalnym prawie aborcyjnym kliniki i tak je łamią, żeby jak najwięcej zarobić. Ostatnio upubliczniliśmy wstrząsające opowieści dwóch byłych pracowników klinik aborcyjnych. Opowiedziały one o minimalnych kwotach aborcyjnych, które każda klinika musi wyrobić. Brzmi to makabrycznie, ale pamiętajmy, że to przede wszystkim biznes, w którym troska o dobro kobiet to tylko PR. Jeżeli klinika nie nadąża z wypełnieniem kwot aborcyjnych, to wdrażany jest „program naprawczy”.

Jak się nakręca sprzedaż usług aborcyjnych?

Pracownicy klinik są szkoleni do tego, by osiągać maksymalną skuteczność. Ideałem byłaby z ich punktu widzenia sytuacja, gdy każda kobieta, która przychodzi do kliniki z niepewnością w sercu, czy zatrzymać dziecko, decyduje się na aborcję.

Od byłych pracowników klinik wiemy, że wmawia się biedniejszym kobietom, iż nie będzie ich stać na dziecko. Można od nich usłyszeć np. „Skoro masz problem z utrzymaniem pieniędzy na opłacenie wizyty, to jak utrzymasz dziecko? Wiesz, ile kosztują pieluszkę?”. To tylko jeden z wielu trików.

Sama podczas jednej z wizyt z ukrytą kamerą byłam przekonywana przez menedżerkę kliniki do usunięcia ciąży. Ta kobieta twierdziła, że zaszła w ciążę, gdy była bardzo młoda, ale zdecydowała się zatrzymać dziecko. Powiedziała mi jednak, że gdyby tylko mogła się cofnąć, to wybrałaby aborcję. Jej życie miało być w ten sposób łatwiejsze.

Dlaczego amerykańskim obrońcom życia tak bardzo zależy na obcięciu federalnych funduszy dla PP, skoro prawo jasno stanowi, że te środki w żaden sposób nie mogą być przeznaczane na aborcje? PP zajmuje się też m.in. opieką prenatalną, badaniami USG...

Zacznijmy od funduszy federalnych – PP dostaje co roku 500 mln dol. z kieszeni amerykańskich podatników. Z tych pieniędzy aborcje nie są finansowane wprost, ale pośrednio przyczyniają się do nich. Między innymi z tych środków są przecież opłacane rachunki za użytkowanie budynków, w których dokonuje się aborcji. Pośrednio więc amerykańscy podatnicyłożą na przemyśle śmierci, czy tego chcą, czy nie.

Jeżeli zaś chodzi o opiekę prenatalną i badania USG – obdzwoniliśmy kliniki PP i okazało się, że te usługi są właściwie nieosiągalne. Wszędzie słyszeliśmy: „Przeprowadzamy tylko aborcję”.

Republikanie od lat zapowiadają obcięcie federalnych środków dla PP. Teraz mają ku temu najlepszą okazję – Kongres i Białe Dobre są w ich rękach.

Amerykańscy obrońcy życia czekali na ten moment. Byliśmy pewni, że będzie to jedna z pierwszych decyzji rządzących. Niestety, z nie do końca zrozumiałych względów wciąż na to czekamy. Jestem tym zawiedziona, ponieważ to naprawdę priorytetowa kwestia.

Jak się pani czuje w jednym obozie z Donaldem Trumpem, który również deklaruje się jako pro-life? Wszyscy słyszeliśmy jego komentarze na temat kobiet.

Nie ma co ukrywać – to było bardzo przykre, mnie również dotknęły te słowa. Najważniejsze są jednak konkretne czyny. To po nich widać, czy człowiek faktycznie jest za obroną życia – choćby wybór kandydata na sędziego Sądu Najwyższego pokazuje, że Białe Dobre jest po naszej stronie.

Jak rozumiem, Donald Trump nie jest z pani perspektywy ideałem, ale alternatywa byłaby koszmarem dla amerykańskiego ruchu pro-life?

Tak, Hillary Clinton w Białym Domu byłaby dla nas koszmarem. Ta kobieta jest pupilką biznesu aborcyjnego, który przeznaczył dziesiątki milionów dolarów na walkę z jej politycznymi przeciwnikami. Pamiętamy, że Hillary Clinton opowiadała się za pełnym dostępem do aborcji na życzenie przez całe dziewięć miesięcy ciąży. Dlatego proszę się nie dziwić, że rezultat wyborów prezydenckich wywołał moją radość.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



ZAPASY W STYLU TRANSGENDER

Od wielu lat temat płci sportowców budzi kontrowersje. Do tej pory jednak dotyczyły one głównie osób, które okazywały się hermafrodytami – ostatni głośny przypadek to sprawa Caster Semenya, południowoafrykańskiej lekkoatletki. Tymczasem świat sportu ma kolejny twardy orzech do zgryzienia. To sportowcy transpłciowi. W Teksasie stanowe zawody dziewczęce wygrał właśnie 17-letni Mack Beggs, który był kiedyś dziewczyną, a teraz jest chłopcem. Jego triumf krytykowano, uznając, że testosteron, który przyjmował, dał mu nieuczciwą przewagę nad rywalkami. Po wygranej, jeszcze na macie, okrzyki radości wśród kibiców

mieszały się z buczeniem i gwizdami. Rodzina broni chłopca i tłumaczy, że woli startować w zawodach męskich, ale stanowe przepisy dla zawodników dotyczące płci przyjmują to, co wpisano zawodnikowi w akcie urodzenia. Organizatorzy zawodów oficjalnie oświadczyli, że nie wydarzyło się nic takiego, co zobowiązywałoby do ponownego rozpatrzenia obowiązujących zasad. Sprawa w USA jest tym bardziej skomplikowana, że nowy prezydent niedawno zmienił prawo pozwalające na korzystanie z toalet zgodnie z odczuwaniem własnej płci, a nie tym, jaką się ją miało w trakcie narodzin.

FOT. AP/EAST NEWS

BO SNAJPER SIĘ POŚLIZGNAŁ

Snajperzy zwykle są po to, by zastrzelić tych, którzy chcieliby skrzywdzić VIP-a. Ważna osoba powinna więc przy nich czuć się bezpiecznie. I może – pod warunkiem że nie jest francuskim prezydentem ani nie osłania jej francuski żandarm. Podczas niedawnej uroczystości z okazji inauguracji nowego połączenia szybkiej kolei TVG, na której przemawiał François Hollande, jeden z żandarmów się potknął i przypadkowo postrzelił dwie osoby. Prezydenta nie ewakuowano.

OBAMA DO FRANCJI?

We Francji nie tylko słabo się chroni prezydenta, lecz także ruszyła inicjatywa, która na tę funkcję chce promować... byłego

prezydenta USA. Stworzyli internetową petycję Obama17. I chcą zebrać milion podpisów, by namówić Baracka Obamę do objęcia takiego samego urzędu nad Sekwaną. Akcja trwa nie tylko w sieci – w Paryżu pojawiło się blisko pół tysiąca plakatów wzywających do podpisania petycji. Internetowa grupa uważa, że Barack Obama ma najlepsze na świecie doświadczenie, by sprawować tę funkcję.

ROLLERCOASTER DLA PRACOWNIKÓW

Dawno temu w wielu zakładach pracy w świetlicach stały np. stoły tenisowe, przy których pracownicy czasem robili sobie krótką przerwę. Po kilkudziesięciu latach rozrywka dla pracowników została odkryta na nowo i wielu na świecie z zachwytem śledziło doniesienia o tym, że pracownicy Google mogą się w biurze rozerwać, grając

na konsoli, w minigolfa czy pływając w basenie. Pracownicy korporacji będą przy biurkach wdychać jeszcze bardziej, bo właściciel Tesli i Space X w dostarczaniu rozrywki pracownikom zdecydowanie przebiega właścicieli internetowej wyszukiwarki. Elon Musk zapowiedział, że przy fabryce samochodów zbuduje rollercoaster. A do tego będzie rozdawał podwładnym darmowe mrożone jogurty.

POBITY HIPOPOTAM

W Salwadorze niebezpiecznie jest nie tylko na ulicach, lecz także w zoo. Nieznani sprawcy pobili na śmierć ozdobę państwowego ogrodu i ulubieńca publiczności – hipopotama Gustavito. Zwierzę prawdopodobnie okładano prętem i kłuto nożem. Nie wiadomo, jak to się stało, że nikt nie zauważył napadu. ©

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ ŁUKASZ ZBORALSKI



SZEWACH WEISS

Kiedy kilka miesięcy temu odwiedziłem mój rodzinny Borysław, burmistrz tego miasta, młody człowiek mówiący po polsku, zaprosił nas na spotkanie. Naprzeciw wyjścia z ratusza stoi ogromny pomnik Bandery, człowieka, który w dzisiejszych czasach stał się bohaterem narodowym Ukrainy. Dla Żydów i Polaków w latach 40. był on zbrodniarzem stojącym na czele grupy morderców. Odwiedziliśmy centrum Borysławia, gdzie stoi czteropiętrowy ładny budynek, w którym mieści się poczta. Naprzeciw niego znajduje się pomnik ze słowami depeszy gratulującej armii sowieckiej wyzwolenia Borysławia. Na depeszy podpisał się generalissimus Józef Stalin. Dla większości ludzi Stalin jest mordercą. Dla nas w 1944 r. armia sowiecka była tą, która wyzwoliła nas spod diabelskiej okupacji niemieckiej i po prostu uratowała nam życie.

To tylko kilka, dość przypadkowych przykładów, jak różna może być pamięć osobista, narodowa czy religijna. O niektórych wydarzeniach sprzed setek lat zapominamy, pojawiają się w książkach historycznych, ale nie powodują bólu. Natomiast wszystko, co wydarzyło się w XX w., zwłaszcza podczas II wojny światowej, żyje w naszej pamięci, a dla Żydów zagłada ich narodu stała się bolesną religią. Wyobrażam sobie, że Polacy mają podobne odczucia, będąc podczas niemieckiej okupacji poniżanymi. Gdyby II wojna światowa nie skończyła się w maju 1945 r. totalną kapitulacją Niemiec, kto wie, czy Polaków nie czekałby podobny los do losu Żydów.

Polska ma tu specyficzne i nie zawsze sprawiedliwe miejsce. Jako przewodniczący Rady Instytutu Pamięci Yad Vashem i przewodniczący Knesetu gościłem wielu światowych

z hitleryzmem, jak tylko mogli. Ogromny grzech popełniła ta część Europy, która w różny sposób współpracowała z hitleryzmem. Mam nadzieję, że po latach porozumienia, pozytywnych stosunków między Polską a Izraelem to nierówne podejście się zmieni.

Pojawia się również problem: jak przełożyć pamięć na nowe pokolenia, które rodzą się z historycznym brzemieniem, przypomina im się – nie tylko na naukowych konferencjach, lecz także m.in. w sztuce – wydarzenia, w których ich przodkowie byli sprawcami diabelskich czynów, a grzech historyczny idzie dalej i dalej. Pojawia się zatem problem moralny – do kiedy pamiętać. Odpowiedzialność kryminalną ponoszą wyłącznie sprawcy. Niestety, większość z nich uniknęła sądu.

Co do odpowiedzialności historycznej, problem jest bardziej skomplikowany. Jeśli zrezygnujemy z tej pamięci już po pierwszym pokoleniu, to te wieczne grzechy, które miały tak ogromny wpływ na historię ludzi, narodów i kultur, też tak po prostu wymażemy. Wymażemy także kontekst odpowiedzialności narodowej.

Uczestnicząc w uroczystościach rocznicowych powstania w getcie, powstania warszawskiego czy wyzwolenia Auschwitz, zadaję sobie pytanie: Do kiedy powinna trwać i jak powinna wyglądać pamięć o tych tragediach? Wydaje mi się, że nie mamy prawa wybaczać w imieniu zamordowanych. Ich prawa człowieka, zamordowanego człowieka, są wieczne. Takie wybaczenie, nawet motywowane powodami religijnymi, mogłoby doprowadzić do inflacji tych dziejów i lekceważenia barbarzyńskich zachowań. Natomiast to, jak działać w imię pamięci, jest zapisane na wielu tablicach w Polsce i Izraelu: „Nigdy więcej”. Te dwa słowa i jedno z 10 przykazań – „Nie zabijaj” – powinny być celem pedagogicznym i moralnym naszego pokolenia oraz przyszłych. ©© oprac. raw

Dlaczego od Polaków wymaga się więcej

Niedawno miałem spotkanie w szkole w miasteczku pod Warszawą, w której znajduje się muzeum poświęcone Władysławowi Grabskiemu. Dla Polaków jest on ważnym i zdolnym premierem. Dla Żydów stał się jednak wrogiem. Pod jego rządami nałożono specjalne podatki na żydowskie sklepy, których ich właściciele nie byli w stanie płacić. W czasach premierostwa Grabskiego Polskę opuściło ponad 100 tys. Żydów. Wydaje mi się, że i Polacy, i Żydzi mają wyjątkowy sentyment do Józefa Piłsudskiego. Żydzi darzą go szczególną sympatią, bo szanował prawa człowieka i prawa obywatelskie mniejszości, w tym żydowskiej.

liderów. Część z nich, w imieniu swoich narodów i ich historii, prosiła o wybaczenie. Tak robili polscy prezydenci. Nigdy nie usłyszałem takich przeprosin z ust prezydenta Francji (która współpracowała z Niemcami i utworzyła faszystowski rząd), przywódców Belgii, Słowacji czy Włoch. Od polskich liderów oczekuje się takich słów, a kiedy nie wypowiadają ich przywódcy innych państw, nie wybucha z tego powodu afera. Prawdą jest, że największe nieszczęście narodu żydowskiego rozgrywało się głównie na ziemiach polskich. Prawdą jest również, że to naród pruski w historii zachowywał się najgorzej, a Polacy walczyli



Tomasz P. Terlikowski

Istnienie ufoludków nie jest sprzeczne z wiarą ani niczego w kwestii istnienia Boga Stwórcy nie dowodzi

Odkrycie układu planet, na których mogą panować warunki podobne do tych ziemskich, i to stosunkowo niedaleko od nas, ponownie rozпалиło debatę nad możliwością życia pozaziemskiego. Wojujący ateści już zacierają ręce i dowodzą, że ich istnienie jest dowodem na to, iż Ziemia, a co za tym idzie – istnienie człowieka nie są niczym wyjątkowym we wszechświecie, chrześcijaństwo zaś (a szerzej – judaizm i chrześcijaństwo) jako religia tak mocno dowartościowująca człowieka i człowieczeństwo jest do wyrzucenia na śmietnik historii. Kłopot z taką argumentacją jest tylko jeden, że – jak dotąd – nie ma najsłabszych choćby dowodów naukowych na to, że w układzie TRAPPIST-1 istnieje czy choćby może istnieć życie. A jakby tego było mało, ewentualne istnienie kosmitów nie jest sprzeczne z wiarą w Boga Stwórcę.

ISTNIENIE KOSMOSU DOWODZI ISTNIENIA STWÓRCY

Odkryty właśnie układ planetarny, choć niewątpliwie istnieje i jest nieco podobny do naszego, różni od Układu Słonecznego bardzo wiele. I tak planety, choć mają rozmiary Ziemi czy Wenus, albo są mniejsze, i przynajmniej w części są skaliste, a do tego obiegają słońce na o wiele mniejszych orbitach niż nawet Merkury (są one umiejscowione względem tamtego słońca w mniej więcej takiej odległości jak księżyc od Jowisza). Nie oznacza to, że warunki na nich muszą być dramatyczne, bo... gwiazda, wokół której krążą, ma o wiele słabsze promieniowanie, więc do niektórych planet dociera mniej więcej tyle samo energii co do Ziemi.

Samo istnienie miejsca, w którym mogą panować warunki niezbędne do zaistnienia życia (choć na podstawie danych przedstawionych przez uczonych trudno stwierdzić, czy rzeczywiście tak jest, bo wcale nie jest jasne, że na nowo odkrytych planetach istnieje odpowiednia atmosfera itd.), wcale nie dowodzi, że życie, czy – tym bardziej – inteligentne formy życia, rzeczy-



wście tam istnieje. Uznanie, że tak musi być, to efekt nieprzemyślanego przyjęcia, iż życie, w tym życie człowieka, jest jedynie efektem absolutnie przypadkowych (ateistyczni ewolucjoniści nieustannie przypominają – co nie ma nic wspólnego z nauką, lecz jest ideologicznym założeniem – że ewolucja jest ślepa) mutacji, które najpierw doprowadziły do przekształcenia się materii nieożywionej w ożywioną, a później do powstania istot żywych, aż w końcu człowieka. Prawdopodobieństwo takich przypadkowych i ślepych zmian jest minimalne i dlatego nawet jeśli przyjmuje się koncepcję „ślepej” ewolucji, to i tak jest ona na tyle mało prawdopodobna, że już samo istnienie życia na Ziemi graniczy z „cudem” i nie widać powodów, by taki ewolucyjny cud miał się powtórzyć gdzie indziej.

Z punktu widzenia kreacjonizmu (nie ma znaczenia, czy ewolucjonistycznego, czy nie) także nie widać powodów, by przyjmować na wiarę (na razie o niczym więcej mówić się nie da) istnienie innych istot żywych czy inteligentnych. Nieogarniony ogrom kosmosu, jego przestrzenie, setki stworzonych gwiazd to dla człowieka przyjmującego istnienie Boga przecież analogia wielkości i „nieogarnioności” Boga. Odkrywając kosmos, jego matematyczne uporządkowanie, geometryczny schemat, wielkość, dotykamy rozumności stworzenia, które kieruje nas ku stwierdzeniu o istnieniu Boga. „To bowiem, co o Bogu można poznać, jawne jest wśród

nich, gdyż Bóg im to ujawnił. Albowiem od stworzenia świata niewidzialne Jego przymioty – wiekuista Jego potęga oraz bóstwo – stają się widzialne dla umysłu przez Jego dzieła, tak że nie mogą się wymówić od winy” (Rz 1,19-20) – pisał św. Paweł Apostoł. Istnienie kosmosu, nawet pustego, jest więc raczej „dowodem”, „drogą” do poznania Boga, a nie „dowodem” na istnienie kosmitów czy innych form inteligentnego życia.

Brak argumentów przemawiających za istnieniem inteligentnych form życia (czy szerzej jakichkolwiek form życia) poza Ziemią w niczym nie zmienia zaangażowania tabunów naukowców w jego poszukiwanie. Dlaczego? Odpowiedź wydaje się prosta.

BEZ WIARY W BOGA MOŻESZ UWIERZYĆ NAWET W KOSMITÓW

Pusty kosmos i pusty wszechświat, w którym nie ma nikogo poza człowiekiem, z którego wyrzucono sens i cel, przeraża człowieka. Obecność innych jest lekarstwem na ten lęk, a ich szukanie próbą jego oswojenia. Istnienie obcych byłoby także mocnym dowodem na to, że absolutnie przypadkowa ewolucja doprowadzić może do powstania różnych istot rozumnych. A to wzmacniałoby ateistyczną interpretację teorii ewolucji. Stąd takie zaangażowanie w poszukiwania, które niczego istotnego do naszego życia ani naszej wiedzy nie wnoszą.



FOT. FOTOLIA

zwiedzenie

Zagłuszanie lęków to niejedyny powód, dla którego opowieści o życiu pozaziemskim i jego poszukiwanie zdobyły taką popularność. Amerykański prawosławny mnich i teolog o. Seraphim Rose zwraca uwagę także na inne przyczyny. „Ludzie odeszli od chrześcijaństwa i oczekują zbawicieli z kosmosu” – wskazuje w znakomicie napisanym esej „Znaki z kosmosu”. A skoro tak, to – jego zdaniem – demony, które dotąd ukazywały się w postaci odmiennej, zaczęły zwodzić ludzi do poszukiwania istnienia poza Ziemią, a także do ukazywania się w postaci UFO. „Jest oczywiste, że pojawianie się w dzisiejszych czasach »latających talerzy« pozostaje całkowicie w zasięgu demonicznej »techniki« i rzeczywiście dla zjawisk tych nie ma lepszego wytłumaczenia. Rozmaite »objawienia« demoniczne, znane z pism prawosławnych, przystosowane były do ówczesnej mitologii kosmosu; podobnie jest obecnie [...]. Także cel »niezidentyfikowanych« obiektów jest przy tych spotkaniach bardzo wyraźny: przyprowadzić świadków o drzenie, wywołać u nich poczucie »tajemniczości« oraz dać »dowody« na istnienie »wyższych form rozumu« (aniołów, jeśli ofiara w nie wierzy, lub gości z kosmosu dla współczesnego człowieka). Tym sposobem zabezpiecza się wiarę w »przesłanie«, które istoty te chcą przekazać” – wskazuje o. Rose. A w rozważaniach takich sekunduje mu abp Chryzostom z Etny, który także nie ma wątpliwości co

do demonicznego pochodzenia objawień kosmitów.

Obie wypowiedzi dotyczą rzecz jasna UFO, a nie samego faktu istnienia istot pozaziemskich, ale... trudno nie dostrzec, że u swoich podstaw oba zjawiska (wiary w UFO i wiary w istnienie istot pozaziemskich) mają takie same źródła. Związane są one zazwyczaj z zanegowaniem wiary w istnienie Boga Stwórcy, a także wiarą w to, że rzekomo istniejące istoty w kosmosie będą (lub nawet już są) od nas inteligentniejsze, lepsze, że będą jakąś formą aniołów, które pomogą nam w istnieniu (ewentualnie będą jakąś formą złych duchów, które nam w nim zaszkodzą). Wiara w kosmitów i życie pozaziemskie pozostaje więc, z tej perspektywy, formą zlaicyzowanej angelologii, która łatwo może przekształcić się w... demonologię.

CZY KOSMICI MOGĄ ZOSTAĆ ZBAWIENI?

Katolicy są o wiele ostrożniejsi w takich wypowiedziach. Ojciec Święty Franciszek pytany o ewentualne istnienie kosmitów odpowiedział, że nie jest w stanie odpowiedzieć na to pytanie, bo zanim odkryto Amerykę, nikt nie wiedział, że ona istnieje. – Myślę jednak, że powinniśmy mieć świadomość, iż Stwórca jest nieskończenie większy od naszej wiedzy – mówił papież, a później dodawał, że istnieje jedna rzecz pewna dotycząca wszechświata i naszego w nim istnienia: nasze i jego istnienie nie

jest owocem przypadku ani chaosu, ale Boskiego rozumu. – Jest to wynik miłości Boga, który nas stworzył, który nas pragnął i który nie da nam spokoju – mówił papież.

Jeszcze dalej w takich rozważaniach poszedł szef watykańskiego obserwatorium astronomicznego Jose Gabriel Funes SJ. – Moim zdaniem jest możliwość istnienia życia na innych planetach – powiedział Funes i dodał, że nie widać powodu, by dostrzegać sprzeczność między wiarą w Boga a wiarą w istnienie życia w kosmosie. – Tak jak na Ziemi, gdzie mamy wielość i różnorodność istot żywych, tak również na innych planetach mogą występować inteligentne byty stworzone przez Boga – wyjaśnił astronom i dodał, że trudno odpowiedzieć, jaki miałby być status ontologiczny czy teologiczny owych pozaziemskich istot. Być może tylko Ziemianie są „zagubioną owieczką”, a inne pozaziemskie cywilizacje mogą „żyć w pełnej przyjaźni ze Stwórcą”. Nawet jeśli tak jest, to nie ma też wątpliwości, że... „Jezus stał się człowiekiem, raz na zawsze. Wcielenie jest wyjątkowym wydarzeniem” – podkreślał astronom.

Ujmując rzecz jeszcze bardziej wprost – najważniejszy akt w historii wszechświata, a nawet mocniej – najważniejszy akt we wszechświecie dokonał się na Ziemi. Jest nim Wcielenie Boga. Poczęcie, a potem narodzenie Jezusa – czyli Boga-człowieka – zmienia wszystko. I to nie tylko w świecie, lecz także w Bogu. Po Wniebowstąpieniu ludzkie ciało zostaje przebóstwione, a człowiek pozostaje otwarty na stawanie się stworzonym Bogiem. To akt kosmiczny, metafizyczny, a nie tylko historyczny. I tak się składa, że nie ma możliwości jego powtórzenia. Jeśli Chrystus stał się człowiekiem, to nie mógł jednocześnie stać się kosmitą, wcielić się w jakąś inną istotę inteligentną. Słowo stało się Ciałem, jednym Ciałem, stało się człowiekiem, więc nie może już stać się kosmitą. Największa kosmiczna katastrofa, jaką był upadek aniołów, związana jest, zdaniem wielu teologów, właśnie z odkryciem, że Bóg chce Wcielenia (do którego, zdaniem wielu ojców Kościoła, doszłoby nawet wtedy, gdyby Adam i Ewa nie zgrzeszyli), że Słowo stanie się człowiekiem, a Maryja będzie najbliższą Bogu. Tych prawd ewentualne istnienie kosmitów (których także byłoby istotami stworzonymi) zmieniać nie może. Jeśli więc kosmici mają żyć w jedności z Bogiem, to tę prawdę (niezależnie od tego, czy sami upadli, czy nie) muszą przyjąć. A cała reszta jest gdybaniem!

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

WOJCIECH WYBRANOWSKI: Syrię znasz całkiem dobrze, byłeś tam w 2012 r., czyli już po wybuchu wojny domowej. Co skłoniło cię, by wybrać się tam ponownie?

MARCIN MAMOŃ: Po 2012 r. kilkakrotnie chciałem się przedostać do Syrii, ale za każdym razem coś uniemożliwiała realizację tych planów. Chciałem się przedostać do Państwa Islamskiego. Wydawało się to realne. Miałem otrzymać zaproszenie od Abu Muhammada al-Adnaniego, nieformalnego rzecznika Państwa Islamskiego, uchodzącego za osobę numer dwa w kalifacie [zginął w sierpniu 2016 r. – przyp. red.]. Niestety, kiedy czekałem jesienią 2014 r. w Turcji na przerzut do Syrii, lotnictwo USA zaczęło bombardować dżihadystów. Niebawem przyszła odpowiedź z Ar-Rakki – nieformalnej stolicy Państwa Islamskiego w Syrii, że teraz to niemożliwe, że będę musiał poczekać, aż sytuacja się wyjaśni. Czekałem, ale odpowiedź nigdy nie nadeszła. Może dzięki temu dzisiaj rozmawiamy. Mogłem przecież nigdy stamtąd nie wrócić, tak jak James Foley i inni dziennikarze ścięci przez islamistów. Rok później niemiecka dziennikarka Janina Findeisen zaproponowała mi współpracę przy jej debiucie filmowym, dokumencie pt. „Paradiesvögel” („Rajski ptak”). Janina chciała nakręcić film o swojej najbliższej przyjaciółce z liceum, która razem ze swoim arabskim mężem i nowo narodzonym dzieckiem dołączyła do jednej z radykalnych organizacji dżihadystycznych powiązanych w Al-Kaidą, walczącej w północno-zachodnim Pakistanie i Afganistanie przeciwko Amerykanom. Wiedziała, że mam dobre kontakty z tzw. braćmi w Syrii. Potrzebowała mnie. Przy najmniej tak mi się wydawało.

Zgodziliście się?

Tak, potraktowaliśmy to jako zlecenie na wykonanie konkretnej usługi. Janina Findeisen miała jednak swój plan i nie zamierzała się nam z niego zwierzać. Przygotowujesz mozolnie przerzut do Syrii, a ona oświadcza nagle, że twoja praca jest już skończona. Masz wracać do Berlina. Wróciliśmy, a Janina kilka dni później przedostała się do Syrii. Sama, z małą kamerą, w odwiedziny do przyjaciółki, której nie widziała od lat szkolnych. Dziesięć dni później nie było już wątpliwości, że Janina została porwana. Była wtedy w siódmym miesiącu ciąży, ale to jej nie powstrzymało przed podjęciem ekstremalnego ryzyka. Nie powstrzymał jej też partner, ojciec dziecka. Gdy zniknęła, dzwonił i prosił, żebym pomógł ją od-



Z Marcinem Mamoniem,
dziennikarzem, autorem książki „Wojna braci”
rozmawia Wojciech Wybranowski

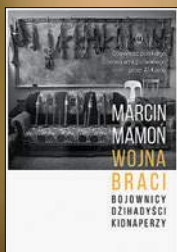
Od miliona dolarów za głowę

naleźć. W takiej sytuacji nie ma wyboru. Trzeba działać. Miałem kontakty w Syrii. Co mogłem zrobić innego, niż pojechać i spróbować wyciągnąć ją stamtąd?

Zostałeś porwany. Jak to wyglądało?

Banalnie. Nie jak na planie filmu w Hollywood. Po przejściu granicy przejęli nas bojownicy z An-Nusry. Nic nie zapowiadało tego, co stało się kilka godzin później. Początkowo byli przyjaźni. Podwieźli nas do swojego check pointu, herbata, rozmowa. Mogłem dzwonić do Hamzy. Pytałem, kiedy po nas przyjedzie. On jednak powiedział, że jest już późno, niebawem zapadnie zmrok. Po zmroku lepiej nie podróżować. Zapewnił, że bracia z An-Nusry zawiozą nas do niego. Wkrótce przyjechał ktoś ważny – jak się okazało – z Al-Kaidy. On nie był już wobec nas miły. Zapakowano nas do samochodu. Kilka minut później z miłej atmosfery pozostało wspomnienie.

Zażądali paszportów. Kilka kilometrów za miastem Azas dojechaliśmy do głównej drogi, autostrady północ-południe prowadzącej do Aleppo, Hamy i Damaszku. Wiedziałem, że jeśli skręcimy w prawo, to znaczy, że wiozą nas rzeczywiście do Hamzy. Oni jednak skręcili w lewo i pogнали w kierunku Aleppo. Kilka, może kilkanaście kilometrów dalej nagle zwolnili. Zrównał się z nami inny samochód, bus wypakowany brodatymi bojownikami. Przez okno przekazali „naszym” kawałki materiału, którymi natychmiast zasłonięto nam oczy. Demonstracyjnie przeładowali broń, kiedy się opieraliśmy. Nie było już żadnych wątpliwości. Jesteśmy porwani. Nie związali nas wtedy, ale bacznie pilnowali, abyśmy nie zsuwali opasek z oczu. Zawieźli nas do wschodniego Aleppo. Zrewidowali, zabrali wszystko. Przesłuchanie wyglądało, jak gdyby było formalnością. Wiedzieli, że jesteśmy



MARCIN MAMOŃ
„WOJNA BRACI.
BOJOWNICY,
DŻIHADYŚCI,
KIDNAPERZY”
WYDAWNICTWO
LITERACKIE
2017

sprawę waszego porwania trzymało w tajemnicy aż do uwolnienia.

Nie chcę o wszystkim mówić. Nie o wszystkim też mogę opowiedzieć, bo przecież to jasne, że w sprawę mojego uwolnienia zaangażowały się służby. Mogę jedynie potwierdzić, że nasze MSZ i służby potraktowały sprawę bardzo poważnie, priorytetowo. Pomogła też lista osób i namiarów, które zostawiłem żonie na wypadek, gdyby stało się coś złego. Powiem tylko, że na liście byli wyłącznie tzw. bracia. Oni mogli coś wiedzieć i mogli też pomóc w poszukiwaniach. Gdy wyjeżdżam, staram się być z żoną na łączach najczęściej, jak to możliwe. Wiem, jak bardzo martwi się wtedy o mnie. Gdy po przekroczeniu granicy wbrew ustaleniom się nie odezwałem, a telefon przestał działać, ona od razu się domyśliła, że sytuacja jest fatalna, i zaczęła działać. Powiadomiła MSZ, ale zanim to się stało, skontaktowała się z moim przyjacielem Czechenem. Dostał listę i zaczął dzwonić. Nawązał kontakt z „braćmi” w Syrii, którzy mnie zaprosili i – jak przyznali – dopiero po dwóch tygodniach „zgubili”. Mówili, że pracuję z jakimś innym dżamaatem [islamską grupą terytorialno-narodowościową – przyp. red.] w miejscu, gdzie nie ma zasięgu, ale że wszystko jest z nami w porządku. W końcu jednak musieli powiedzieć prawdę.

Jak doszło do uwolnienia?

Dowiedziałem się, że jestem wolny, w Wigilię 24 grudnia 2015 r., po zmroku. Wyprowadzono nas z piwnicy, bez opasek, wyjechaliśmy z Aleppo i już dobre kilka kilometrów za miastem porywacze powiedzieli nam, że jesteśmy wolni. Wciąż jednak, aż do południa następnego dnia, byliśmy w ich rękach. Przyjechał wtedy po nas Hamza. Nie sam. Byli z nim ludzie, których spotkałem wiele lat temu w Czechenii. Dzisiaj świadczą prawdopodobnie usługi dla tureckiego wywiadu. Negocjacje trwały może 1,5 godziny, a może trochę dłużej, bez naszego udziału, za zamkniętymi drzwiami. Nie ufali nam, ale sobie też nie. Dopiero później dowiedziałem się, że miejsce, w którym przebywaliśmy, zostało otoczone przez kilka oddziałów islamskich, czecheńskich i gdyby nie doszło do porozumienia, mogłoby dojść do bitwy i próby odbicia nas siłą. Na szczęście Al-Kaida ustąpiła. Nagrano smartfonami nasze oświadczenia, że tak i tak się nazywamy, że byliśmy aresztowani, że przebywaliśmy w dobrych warunkach i na mocy wyroku sądu szariackiego zostaliśmy uwolnieni.

Po zwolnieniu długo byłeś przesłuchiwany przez służby?

Tureckie służby były w miarę życzliwe i sprawne, ale natychmiast po przesłuchaniu wsadzono nas w Turcji do więzienia za „nielegalne przekroczenie granicy”. Na szczęście dzięki interwencji naszego MSZ siedzieliśmy tylko trzy dni. W gruncie rzeczy cieszę się, że trafiłem do tureckiego więzienia; niesamowite przeżycie. Siedzisz w zonie, gdzie masz takich samych „turystów” jak ty, tyle że ja jestem dziennikarzem, a oni ochotnikami do Państwa Islamskiego, Al-Kaidy i innych dżihadystycznych organizacji. Są „braćmi” z całego świata. Trafili tu nawet z Indonezji, Malediwów, Nigerii, ale też z Ukrainy, Kosowa, Dagestanu, Palestyny, Libii. To raj dla dziennikarza. Nie uprawiasz żadnego durnego dziennikarstwa wcieleniowego. Nie udajesz kogoś innego, niż jesteś. A jesteś taki jak oni. Znajdujesz się w takiej samej sytuacji jak oni. Złamałeś prawo. Czekasz na deportację, więc oni się otwierają. Mają dużo czasu. W więzieniu, jak wiadomo, czasu zawsze jest za dużo. Siedzisz, pijesz herbatę i rozmawiasz.

A polskie służby?

Mogę jedynie powiedzieć, że mam wobec nich dług wdzięczności. A one – mam nadzieję dzięki mojemu przypadkowi – dowiedziały się więcej o świecie, który jest dla nas obcy, którego się boimy, który może nam zagrażać, ale przede wszystkim, o którym niewiele wiemy. Polskie służby zadziałały niestandardowo, zaryzykowały, a finał jest taki, że dzisiaj możemy ze sobą rozmawiać.

Co się stało z Niemką, od której zaczęła się cała historia?

Została uwolniona po roku. Sama zaprzecza, że zapłacono za nią okup. W Aleppo urodziła syna. Takie miejsce urodzenia będzie miał wpisane kiedyś do paszportu, choć podejrzewam, że nikt nie wie, nawet matka, gdzie dokładnie się urodził.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Marcin Mamoń – dziennikarz, reżyser filmów dokumentalnych, autor „Wojny braci” – pierwszej polskiej książki o bojownikach islamskich. W 2015 r. w Syrii został porwany przez terrorystów z syryjskiej Al-Kaidy.

dziennikarzami z Europy. Nie bili i wrzucili nas do celi. Straszne miejsce.

Od samego początku było wiadomo, że chodzi o okup, czy pojawiały się inne kwestie?

Drugiego dnia usłyszeliśmy, że chodzi o kasę. Im szybciej nasz rząd zapłaci, tym krócej tu posiedzimy. Nie mieli najmniejszych wątpliwości, że prędzej czy później dostaną pieniądze. Nie powiedzieli, ile za nas chcą. Po kilku tygodniach przyznali jednak, że cena za zakładnika to od 1 do 10 mln dol. Najbardziej pożądana są Amerykanie. Za nich żądają najwięcej. To, można powiedzieć, „uczciwa” cena. Bywało, że dżihadysty z Państwa Islamskiego domagali się nawet 100 mln dol. za głowę porwanego. Gdy im odmówiono, ścinali zakładników.

Uwolniono was bardzo szybko, bo po miesiącu. Wiesz, jak wyglądały działania służb? W Polsce



Z Adamem Abramowiczem,
przewodniczącym Parlamentarnego Zespołu
na rzecz Wspierania Przedsiębiorczości
i Patriotyzmu Ekonomicznego, posłem PiS
rozmawia Edyta Hołdyńska

Polska podatkowym rajem?



EDYTA HOŁDYŃSKA: Czy prezydencka nowelizacja ustawy o swobodzie działalności gospodarczej to już wielkie uwolnienie gospodarki, czy będzie więcej działań?

ADAM ABRAMOWICZ: To dopiero pierwszy krok w tym kierunku. Już teraz większość polityków deklaruje, że chce pomóc przedsiębiorcom. Wszystkie partie ciężko nad tym pracują, ale praktyka pokazuje, że w czasie, kiedy usuwało się jedną barierę, wprowadzało się trzy następne. Donald Trump powiedział niedawno, że jeśli ktoś proponuje mu rozwiązanie komplikujące przedsiębiorczość, to musi pokazać dwie inne bariery, które można usunąć. I nasza ustawa powinna zadziałać w podobny sposób. To, czy zadziała, będzie zależało od całego Sejmu. Teraz bowiem każda ustawa, która będzie wprowadzana, będzie musiała zawierać w ocenie skutków regulacji oddziaływanie na małe i średnie firmy. Czy posłowie, widząc tę ocenę, coś z tym jednak zrobią? To już zależy od nich.

Związek Przedsiębiorców i Pracodawców podkreśla, że to jest krok w dobrą stronę. Czy to nie jest jednak za mało? Jaki będzie następny ruch?

Zaproponowaliśmy w Zespole na rzecz Wspierania Przedsiębiorczości i Patriotyzmu Ekonomicznego, żeby powołać specjalną komisję zajmującą się sprawdzaniem każdej ustawy pod kątem oddziaływania na przedsiębiorczość. I usuwaniem tych barier administracyjno-prawnych. Nie znalazło to jednak na razie uznania wśród prezydium Sejmu. Cała nadzieja – jeśli chodzi o ułatwianie życia przedsiębiorcom – w pakiecie wicepremiera Mateusza Morawieckiego. Już 30 zmian zostało wprowadzonych. Ważna jest klauzula pewności prawa. Do momentu jej wprowadzenia żaden przedsiębiorca nie znał dnia, w którym mógł stracić wszystko. Interpretacje Ministerstwa Finansów, w zasadzie od początku transformacji, mogły być z dnia na dzień zmienione. I to działało wstecz. Teraz to niemożliwe.

Jednakże razem z powstaniem Krajowej Administracji Skarbowej możliwe będą niezapowiedziane kontrole w firmach. Można powiedzieć, że obawiać się kontroli mogą tylko nieuczciwi, ale to także pewne utrudnienie dla przedsiębiorców.

Tylko technicznie. Jeśli ktoś otrzymywał zawiadomienie, że będzie kontrola, i tak nie zmieniał dokumentów, bo to jest niemożliwe. Zawiadomienie było po to, żeby przygotować się w sensie organizacyjnym. Oddelegować pracownika lub samego

wygospodarować czas na uczestniczenie w kontroli. Nic to więcej nie zmieniało, jeśli przedsiębiorca był uczciwy. Za to umożliwiało nieuczciwym dokonywanie przestępstw. Zaostrzone prawo nie jest kierowane do przedsiębiorców, ale do przestępców. To oni mają być eliminowani.

Podobnie jak z karą 25 lat więzienia za fałszerstwo faktur VAT? Czy to odpowiednia kara za oszustwa podatkowe?

Odpowiednia za sfałszowanie faktury. Jeżeli za sfałszowanie pieniędzy również grozi do 25 lat więzienia, to dlaczego w tym przypadku miałyby być inaczej? Poza tym 25 lat pozbawienia wolności grozi w przypadku sum powyżej 10 mln zł. Na taką kwotę nie można się po prostu pomylić w fakturze. Taki przedsiębiorca, fałszując dokument, nie dokonuje żadnego obrotu gospodarczego. A ustawa o VAT ma w sobie tę wadę, że na podstawie takiej pustej faktury można dostać zwrot pieniędzy z budżetu.

25 lat więzienia grozi również za zabójstwo. Czy to nie nazbyt drastyczna kara?

Złodzieje, którzy przez osiem lat za rządów PO nas okradali, na bezczelnego

wyprowadzili z budżetu miliardy złotych. I ten proceder z roku na rok rósł. Jak szacuje PwC, w 2016 r. było to już 53 mld zł. To jest kwota ogromna. Prawie dwukrotnie większa niż wpływy do budżetu z podatku CIT i o blisko półtora raza większa niż odsetki, które płacimy od długu publicznego. I jest tak nie tylko w Polsce, lecz także w całej Europie. Gangi, które kiedyś sprzedawały narkotyki, przerzuciły się na VAT. A z gangami nie można walczyć łagodnymi metodami. Z mafią walczyć się za pomocą drastycznych środków.

Oprócz srogich kar rząd PiS zapewniał, że luka w VAT zostanie uszczelniona na poziomie ustawy. Mówi się jednak o tym, że problem mogłaby rozwiązać Unia Europejska. Jakie mamy możliwości?

Ten problem jest nierozwiązywalny. VAT ma immanentną cechę wyłudzenia. Jego konstrukcja do tego prowadzi. Unia Europejska wywiesza białą flagę. W styczniu na wniosek Czech i Austrii Komisja Europejska pozwoliła na stosowanie tzw. odwróconego VAT pod pewnymi warunkami. To jest całkowite zaprzeczenie idei tego podatku. Ja oceniam, że VAT prędzej czy później będzie zastąpiony innym podatkiem. Tego się nie da utrzymać.

A jednolita stawka VAT?

Ona nie zapobiegłaby oszustwu w ogóle, ale by je utrudniła. Jest to jednak politycznie trudne w tej chwili do wprowadzenia. Musiałoby to spowodować podniesienie podatku VAT na żywność. A tego teraz nie chcemy. Jako zespół proponujemy więc, żeby przynajmniej zostawić dwie stawki VAT, czyli zlikwidować tę zerową, najbardziej prowokującą oszustwa. I zostawić 8 i 23 proc. VAT. Z opcją stopniowego obniżania stawek. To będzie jednak możliwe wtedy, kiedy budżet będzie w dobrej formie.

Czyli będzie obniżka, a nie podwyżka podatków?

Powinny być jak najniższe, bo wysokie podatki niszczą gospodarkę. Z tym że ich wysokość musi być dostosowana do budżetu. Polska w porównaniu z innymi europejskimi krajami nie ma bardzo wysokich podatków. Nie to podnoszą przedsiębiorcy jako ich główny problem. W Polsce podatki są zbyt skomplikowane. Żeby się w tym systemie dobrze poruszać, trzeba zatrudniać księgowych i prawników, co powoduje dodatkowe koszty. Przedsiębiorcy woleliby zapłacić podatek nawet większy niż dzisiejszy, ale prosty.

REKLAMA

IL VOLO

UNA NOTTE MAGICA

A TRIBUTE TO THE THREE TENORS
WITH FULL ORCHESTRA

26 CZERWCA 2017
HALA TORWAR WARSZAWA

BILETY: PRESTIGEMJM.COM EBILET.PL, EMPIK

Prestige
MJM

REGENT
WARSAW HOTEL

TYGODNIK
POMIESZCZNIK

Multikino

wprost

STRÖER

PO
RZECZY

VIXON

GAZETA BANKOWA

cgm.pl

DlaWas.info

Prēsto

WP

► Generalnie odpadłyby koszty księgowych i doradców podatkowych.

Te problemy miała rozwiązać jednolita danina, jednak rząd nie przyjął tego rozwiązania. Dlaczego? Będzie powrót do tych planów, ale w innej formie?

Prace zostały zawieszone. Argumentacja była taka, że za dużo reform naraz może gospodarce nie pomóc. My, jako zespół, w porozumieniu z organizacjami społecznymi, takimi jak ZPP, Centrum im. A. Smitha, Stowarzyszeniem Przedsiębiorców Polskich, Forum na Rzecz Wolności i Rozwoju, Instytutem Jagiellońskim, opracowaliśmy reformę, która spełniałaby wszystkie oczekiwania przedsiębiorców. Podatki byłyby bardzo proste. Jedna stawka.

W jakiej wysokości?

Liczymy jeszcze, w jakiej wysokości powinien być podatek przychodowy, żeby zrealizować nasze cele. Dopiero niedawno dostaliśmy dane z Ministerstwa Finansów i ZUS. A nasze cele to obniżenie obciążeń nakładanych na wynagrodzenia. Dzisiaj to ponad 60 proc. My proponujemy jeden podatek od funduszu płac w wysokości 25 proc. z zamrożeniem kwot wypłacanych brutto dla pracowników. To spowoduje podwyżkę wynagrodzeń o ok. 25 proc. Na przykład ktoś, kto dzisiaj na rękę bierze 3 tys. zł, będzie zarabiał 3750 zł. Te pieniądze, które mają zostać u pracowników, pójdą na rynek i będą kołem zamachowym gospodarki.

Przy poprzednim pomysle była wielka awantura, że po kieszeni dostaną nie tylko najbogatsi, lecz także klasa średnia. Czy rzeczywiście wszyscy skorzystamy na tej reformie?

Tamta konstrukcja zakładała, że mamy ulżyć małym i drobnym, ale ktoś musi za to zapłacić. I to mieli być średniacy i bogaci. My proponujemy inną filozofię. Po pierwsze, duża podwyżka dla pracowników, po drugie, duża obniżka ZUS dla przedsiębiorców. Składka ZUS z 1,2 tys. zł spadłaby do 550 zł. I płaciłyby tę składkę zarówno osoby fizyczne, jak i prawne. Dla małej działalności gospodarczej cała danina wynosiłaby 15 proc. przychodu do 5 tys. zł. Chcemy wziąć na to pieniądze z jednolitego podatku przychodowego głównie dla korporacji, czyli z CIT. Dzisiaj CIT to ok. 29 mld zł. A jak mówi się w środowisku przedsiębiorców, płaci go ten, kto chce. A ten, kto nie chce, wynajmuje kancelarię, która podatek zoptymalizuje.

Jak sprawić, żeby płacili wszyscy zobowiązani?

Wprowadzając jedną stawkę CIT i reformując PIT. Z poprzednich dostępnych danych wynikało, że wystarczy CIT w wysokości ok. 1,5 proc. od przychodu zamiast kilkunastu procent od dochodu. Dla PIT byłyby to obecne stawki ryczału ewidencjonowanego obniżone o połowę. Ostateczne wyliczenia jeszcze podamy. Ten podatek pokryje podwyżki wynagrodzeń dla pracowników i zrekompensuje ubytki w budżecie spowodowane obniżką podatków nakładanych na pracę i składki na ZUS. Efekt będzie taki, że damy prosty podatek powszechny. Przedsiębiorcy i państwo zostaną uwolnieni z obecnej gry operacyjnej o uznawanie wydatków za koszty obniżające podatek. A PIT dla pracowników zakończy ciągłe boje o umowy śmieciowe. Przedsiębiorcy nie będzie interesowało, jaką formę umowy ma zawrzeć, bo w każdym wypadku będzie musiał zapłacić 25 proc.

Wszystkie umowy będą uzusowane?

To już sprawa państwa. Podatek będzie wynosił 25 proc. i to państwo zajmie się tym, czy podzielić ten podatek, i w jakich proporcjach, na ZUS i inne ubezpieczenia. Przedsiębiorca zapłaci jednym przelewem. A dziś robi ich cztery, wyliczając skrupulatnie ułamkowe części w ośmiu różnych tytułach dla każdego pracownika.

Pracownika będzie jednak interesowało, czy odkładane są składki na jego emeryturę.

System emerytalny można zostawić w takim stanie, w jakim jest, czyli dzielić ten podatek na poszczególne składniki, albo wprowadzić emeryturę obywatelską. Taka propozycja pojawiła się nawet na stronach ZUS. W Polsce ten pomysł popiera większość, bo widzimy, jaki to jest niesprawiedliwy system. Ktoś, kto ciężko pracuje, płaci ZUS, najczściej ten najniższy, jako przedsiębiorca otrzyma emeryturę zbliżoną do najniższej. Przy naszej marnej średniej płacy poziom świadczeń emerytalnych u większość pracowników też nie będzie wiele wyższy. A ktoś, kto załapie się na kierowniczy etat do instytucji państwowej, dostanie emeryturę kilkakrotnie wyższą od najniższej. Rok do roku coraz więcej dopłacamy do Funduszu Ubezpieczeń Społecznych. I tak czeka nas reforma.

Czyli żeby mieć większą niż minimalna emeryturę i tak trzeba będzie odkładać na własną rękę?

Tak. Po tak znaczącej podwyżce wynagrodzeń będzie z czego. Nie rozstrzygamy o tym, czy państwo od razu po naszej

reformie powinno wprowadzić emeryturę obywatelską, czy nadal będzie dzieliło podatek na składki według takich zasad jak dzisiaj. Rekomendujemy jednak wprowadzenie emerytury obywatelskiej.

Jak zmiany w podatkach wpłyną na budżet państwa?

CIT w formie, jaką proponujemy, spowoduje wysoki wzrost inwestycji zagranicznych w Polsce. Myślę, że jeśli się nasi konkurenci dowiedzą, co planujemy, to zrobią wszystko, żeby to zablokować. Bylibyśmy rajem podatkowym dla wysokomarżowych przedsięwzięć, a to są głównie innowacyjne i wysokotechnologiczne biznesy. W Polsce, po wprowadzeniu naszej reformy, taka firma zapłaciłaby 1,5 proc. podatku i zapomni o kłopotach. Podobny podatek został wprowadzony w przemyśle stoczniowym i już działa.

A w świetle prawa Komisja Europejska nie będzie miała powodów do zakwestionowania tej zmiany?

Mamy ekspertyzę prof. dr hab. Adama Mariańskiego, która pokazuje, że podatek przychodowy nie narusza prawa europejskiego. Ten podatek byłby w konstrukcji podatku dochodowego bez możliwości odliczania kosztów. Nasi przeciwnicy, którzy mówią o tym, że nasze pomysły są niezgodne z prawem unijnym, mylą się.

Wicepremier Mateusz Morawiecki mówił ostatnio o konieczności zreformowania specjalnych stref ekonomicznych, by nie uprzywilejowywały głównie zagranicznych firm. Powinna powstać polska strefa ekonomiczna obejmująca cały kraj?

Nasza reforma to jest właśnie próba utworzenia w Polsce jednej wielkiej strefy ekonomicznej. Reforma, o której tak długo opowiadałem, nazywa się „Podatek minus, płace plus” i właśnie na tym się skupia. Idea stref ekonomicznych została u nas wypaczona całkowicie. Strefy miały powstawać wyłącznie w rejonach, do których inwestorzy nie chcieli przychodzić. To głównie wschód kraju. Tam jednak stref jest mało, a zostały ustanowione w Warszawie lub Gdańsku. To całkowita paranoja. Te regiony w ogóle nie potrzebują takiej stymulacji. Korzystali na tym głównie inwestorzy zagraniczni. Aby oni nie płacili podatków, muszą się zrzucić pozostali. Te przywileje nadane w strefach będą stopniowo wygasać, a prosty, powszechny i równy dla wszystkich podatek będzie obowiązywał polski i zagraniczny kapitał na jednakowych zasadach.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYCZAKIEM

Kto zrobił sobie z Polski raj?

Masz mały kredyt – masz problem, masz duży kredyt – problem ma bank. To stare porzekadło śmiało można dziś sparafrazować także w ten sposób: jeśli jesteś właścicielem małej polskiej firmy – płacisz relatywnie wysokie podatki, bo państwo zdziera z ciebie, ile wlezie; jeśli jesteś właścicielem dużej firmy, najlepiej zagranicznej – płacisz relatywnie niskie podatki, bo polskie państwo nie jest w stanie wyegzekwować od ciebie całej należności.

Inaczej mówiąc: duże koncerny, zwłaszcza międzynarodowe, uczyniły sobie z Polski raj podatkowy. I dokonały tego – mniemam – całkowicie wbrew intencjom władz państwa. Wpływy z CIT – podatku dochodowego od przedsiębiorstw – spadają u nas bowiem od lat na łeb na szyję, mimo rosnących w tym samym czasie przychodów firm, a więc zapewne także ich rzeczywistych zysków. A to oznacza tylko jedno: firmy coraz sprawniej ogrywiają nasze państwo i pozbawiają je – a zatem wszystkich obywateli Polski – należnych pieniędzy.

Przy tym znacznie sprawniej okpiwają nasz kraj duże firmy zagraniczne. Według wywiadowni Bisnode Polska w 2015 r. 500 największych koncernów międzynarodowych, które działają w Polsce, zapłaciło z tytułu CIT 6,3 mld zł – aż o 16 proc. mniej niż w roku 2014. Wpłaty stanowiły już zaledwie 1,27 proc. ich przychodów, gdy rok wcześniej jeszcze 1,46 proc. Natomiast 500 największych polskich firm uiszczyło w 2015 r.

7,2 mld zł z CIT – o 13 proc. mniej niż w 2015 r. W ich przypadku stanowiło to 1,45 proc. ich przychodów; w 2014 r. – 1,74 proc.

Władze niektórych państw świadomie zamieniają swe kraje w raje podatkowe. Czynią to jawnie lub niejawnie – jak władze Luksemburga za czasów premierostwa Jeana-Claude’a Junckera – lecz zwykle w pełni świadomie. I w jasno określonym celu: by korzystając z efektu skali – a więc dużej liczby firm chcących w ich kraju płacić niskie podatki – wychodzić na swoje.

W przypadku Polski jest odwrotnie: to duże koncerny same sobie urządziły raj podatkowy, wykorzystując nieporadność służb skarbowych. I Polacy nie mają z tego żadnego pożytku, bo liczba firm, które chciałyby się u nas rozliczać z fiskusem z racji obowiązujących u nas – wszystkich legalnie – niskich podatków, nie przyrasta ani na jotę. Takich niskich podatków dla wszystkich po prostu u nas nie ma.

Jak sobie z tym kłopotem poradzić? Można na dwa sposoby: albo zmusić urzędników skarbowych do wyciśnięcia z gigantów należnych podatków, albo zalegalizować w Polsce niskie podatki, czyli zamienić nasz kraj w raj podatkowy i cieszyć się pieniędzmi wpłacanymi do kasy państwa przez coraz liczniejsze firmy, które będą u nas szukały schronienia przed rozpasanym fiskalizmem w innych krajach. I to drugie rozwiązanie jest o niebo lepsze, bo skorzystałyby na nim także polskie firmy. ©©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Punkt odniesienia

Przeprowadzono eksperyment. Oficer został poproszony o ocenę swoich żołnierzy w kilkunastu kategoriach, takich jak: odpowiedzialność, samodzielność, zdolność krytycznego myślenia itd. Po analizie okazało się, że żołnierze, którzy wyglądali lepiej, zostali ocenieni lepiej we wszystkich kategoriach. Dokładnie we wszystkich. Podobnie jest z wyborami konsumentów – nie są oni w stanie przeanalizować wszystkich parametrów towaru, decyzję opierają więc na porównaniu kilku pro-

Podobnie jest przy wyborach politycznych. Wyborcy formułują opinie o polityku lub partii na podstawie wyglądu bądź kilku kluczowych atrybutów. Prawie nikt nie zna programu partii ani szerokiego wachlarza poglądów danego polityka. A gdy mamy do czynienia ze zbyt wieloma opcjami wyboru, wielu ludzi w ogóle przestaje głosować.

Inaczej decyzje podejmują eksperci lub osoby, które mają wyobrażenie idealnego produktu czy osoby. Dokonują porównania z ideałem bądź szczegółowo analizują parametry. Trudno oczekiwać, że każdy wyborca stanie się politologiem, ale aby umożliwić ludziom lepsze wybory, można stworzyć właściwy punkt odniesienia, z którym będą mogli porównywać to, co jest dostępne.

Na przykład można stworzyć wzorzec polityka i antypolityka, przeciwstawiając sobie dwie cechy, pożądane i niepożądane. Człowiek z zasadami i kretacz, który zmienia poglądy lub partie co chwila. Osoba umiejąca zarządzać organizacją i patałach, który swoim nieodpowiedzialnym zachowaniem jest zagrożeniem dla partii czy organizacji. Mąż stanu mówiący językiem wartości i dobra kraju oraz szuja, która regularnie opluwa swój kraj, jego tradycję i kulturę w zagranicznych mediach. Itd. Stworzenie takich wzorców i antywzorców w świadomości społecznej może pomóc ludziom w podejmowaniu właściwych wyborów. ©©

Można stworzyć wzorzec polityka i antypolityka, przeciwstawiając sobie dwie cechy, pożądane i niepożądane

stych cech, które są w stanie ocenić. I nie dotyczy to tylko nieznających decyzji, takich jak kupno mleka czy nawet nowego telefonu komórkowego, lecz także bardzo ważnych decyzji życiowych, np. wyboru sposobu oszczędzania na emeryturę. Okazało się, że w amerykańskich firmach, w których pracownikom dano wybór kilkuset różnych funduszy emerytalnych, znacznie mniej osób w ogóle oszczędzało na emeryturę niż w firmach, gdzie pracownicy mogli wybierać spośród kilku czy kilkunastu funduszy.



Jacek Przybylski

Cięcia podatków oraz program infrastrukturalny na miarę Reagana mają ponownie rozruszać gospodarkę USA. Słowa Trumpa wywołały więc euforię na światowych giełdach

Donald budowniczy

Na to wystąpienie z niecierpliwością czekali inwestorzy i analitycy na całym świecie. Występując po raz pierwszy na połączonej sesji obu izb Kongresu 45. prezydent USA w rzeczowy, stonowany sposób opowiadał, jak zamierza wydobyć kraj ze stagnacji. – Właśnie zaczynamy kolejny rozdział wielkości Ameryki – powiedział, wygłaszając przemówienie o wiele dostojniejsze i poważniejsze niż podczas inauguracji.

TRZY FILARY TRUMPONOMIKI

Prezydent Donald Trump zapowiedział też, że doprowadzi do przywrócenia „amerykańskiego ducha”. Jednym z filarów jego planu gospodarczego jest stworzenie specjalnego programu modernizacji infrastruktury, składającego się zarówno z funduszy federalnych, jak i prywatnych. Jego wartość ma wynieść aż bilion dolarów. Reguła działania ma być zaś oparta na dwóch prostych zasadach, o których Trump – mimo krytycznych głosów oskarżających go o izolacjonizm i nacjonalizm – konsekwentnie mówi: kupuj amerykańskie towary i zatrudniaj amerykańskich pracowników.

– Umierające gałęzie przemysłu powrócą do życia... Rozpadająca się infrastruktura zostanie zastąpiona nowymi drogami, mostami, tunelami, lotniskami i liniami kolejowymi, które będą błyszczeć w każdym zakątku naszej pięknej

ziemi – podkreślał następca Baracka Obamy.

Amerykański prezydent zamierza też pobudzić wzrost gospodarczy. Jednym ze sposobów realizacji tego celu ma być ściągnięcie z powrotem do USA miejsc pracy utworzonych poza granicami kraju. Jak zapowiedział w Kongresie – aby ponownie uruchomić silnik amerykańskiej gospodarki, Biały Dom zamierza

1 bilion dol.

AŻ TYLE MA BYĆ WART NOWY PROGRAM INFRASTRUKTURALNY W USA

54 miliardy dol.

O TAKĄ KWOTĘ DONALD TRUMP ZAMIERZA ZWIĘKSZYĆ ROCZNY BUDŻET PENTAGONU

ułatwić firmom robienie interesów na terenie Stanów Zjednoczonych i sprawić, że przedsiębiorcom będzie „dużo, dużo trudniej opuścić nasz kraj”.

Sytuacja na rynku pracy w Stanach Zjednoczonych już teraz jest wyjątkowo dobra. Stopa bezrobocia wynosi 4,8 proc. Jak poinformował Departament Pracy, liczba nowych wniosków o zasiłek dla

bezrobotnych wyniosła w poprzednim tygodniu 223 tys., czyli najmniej od 44 lat.

Jednymi ze sposobów na zwiększenie bezpieczeństwa, a także na podwyżkę płac i ułatwienie życia bezrobotnym mają być również forsowana przez Trumpa reforma imigracyjna oraz przyspieszenie deportacji nielegalnych imigrantów.

LEWICA PROTESTUJE

Dobłą wiadomością dla gospodarki USA są też prezydenckie plany zwiększenia wydatków na obronność. W tym przypadku również nie ma to być działanie symboliczne, lecz „historyczny wzrost” wydatków. Trump chce bowiem, aby roczny budżet Pentagonu zwiększył się aż o 54 mld dol. (to wzrost o 9,2 proc.). Świetna wiadomość dla przemysłu obronnego – pieniądze mają być przeznaczone m.in. na budowę kilkunastu okrętów, a także produkcję nowych samolotów wojskowych – natychmiast wywołała lament po lewej stronie sceny politycznej. Gospodarz Białego Domu chce bowiem uzyskać kilkadziesiąt miliardów dolarów rocznie dzięki cięciom wydatków na Agencję Ochrony Środowiska (EPA), a także na programy pomocy zagranicznej realizowane przez Departament Stanu oraz inne urzędy niezwiązane z obronnością Ameryki. Tymczasem – jak podkreślają liberałowie – USA już dziś wydają na obronność niemal 600 mld dol. rocznie, nieporównywalnie więcej niż jakikol-

wiek inny kraj na świecie. Propozycje Trumpa muszą być zaakceptowane przez Kongres. I chociaż Partia Republikańska ma w nim większość, to negocjacje i polityczne przepychanki mogą trwać miesiącami.

Donald Trump zapowiedział także wprowadzenie „historycznej reformy podatkowej”. Jej założenia przewidują znaczące obniżenie daniny płaconej przez przedsiębiorców – aby łatwiej im było konkurować „gdziekolwiek i z kimkolwiek” – a także wprowadzenie „ogromnej ulgi podatkowej dla przedstawicieli klasy średniej”.

I chociaż konkretów nadal znamy niewiele, to na reakcję rynków nie trzeba było długo czekać. Już podczas środowej sesji giełdowe indeksy rosły po obu stronach Atlantyku. Rozpalona słowami Trumpa wyobraźnia inwestorów sprawiła, że w górę poszły indeksy spółek notowanych zarówno na giełdzie warszawskiej, paryskiej, londyńskiej, jak i nowojorskiej (Dow Jones pierwszy raz w historii przebił poziom 21 tys. pkt, po najszybszym wzroście od 1999 r.).

Wydaje się więc, że rynki uwierzyły, iż Trump jest w stanie wcielić w życie

pakiet stymulujący gospodarkę na miarę Ronalda Reagana. Na razie najważniejsze pytanie brzmi jednak: Skąd wziąć na to pieniądze? Szybko rosnący deficyt mógłby mieć bowiem istotny wpływ na światową gospodarkę.

Sam Trump tłumaczy, że pieniądze niezbędne na inwestycje zamierza pozyskać m.in. dzięki wyższemu wzrostowi gospodarczemu, a także znaczącemu zmniejszeniu obciążeń regulacyjnych i znaczącemu odchudzeniu rządowych kadr. 45. prezydent USA nie zapomina także o jednej ze sztandarowych obietnic przedwyborczych: jednym z jego celów jest więc demontaż powszechnego systemu opieki zdrowotnej. Trump wezwał Kongres do jak najszybszego uchYLENIA Obamacare i przyjęcia opracowanego przez Partię Republikańską nowego programu ubezpieczeń. Zła wiadomość dla obozu demokratów jest taka, że trudniej im będzie krytykować pomysły nowego prezydenta. Donald Trump chce bowiem, aby zreformowany system był istotnie tańszy, a jednocześnie, aby mogło z niego korzystać jeszcze więcej Amerykanów.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Polowanie na czarownicę?

Przemówienie Trumpa wysoko ocenili nie tylko inwestorzy, lecz także przeciętni wyborcy. Chociaż o jego prezydenturze pozytywnie mówi tylko 42 proc., to wystąpienie przed Kongresem zdobyło już uznanie 57 proc. pytanym. Wygląda więc na to, że Trump wyciągnął wnioski z pierwszych tygodni rządów i postanowił nie eskalować konfliktów. Przemawiając przed Kongresem, nie wspominał więc np. o ewentualnej współpracy z Władimirem Putinem. Dzień po przemówieniu Trumpa „The Washington Post” ujawnił jednak, że nominowany przez Trumpa minister sprawiedliwości i prokurator generalny Jeff Sessions zataił kontakty z ambasadorem Rosji Siergiejem Kisłakiem. Kłopot w tym, że nowy prokurator generalny podczas przesłuchania przed senacką komisją wprost oznajmił, że nie kontaktował się z Rosjanami. Nowa afra może przyspieszyć prace komisji ds. wywiadu, która ma zbadać kwestie ingerencji Moskwy w przebieg wyborów prezydenckich w USA. Prezydent Trump nazwał tego typu przecieki „polowaniem na czarownicę”.

REKLAMA

SWISS MILITARY HANOWA W KLASYCZNEJ ODSŁONIE

Mechanizm automatyczny zegarka to mały wszechświat ukryty w kopercie. Dzieło ludzkich rąk, niesamowite połączenie wielu precyzyjnie ustawionych elementów. Dlatego po dzień dzisiejszy zegarek z takim mechanizmem pozostaje obiektem pożądania pasjonatów czasomierzy.

Wychodząc naprzeciw oczekiwaniom, słynąca z tradycyjnego szwajcarskiego rzemiosła, sportowego designu oraz funkcjonalności marka SWISS MILITARY HANOWA prezentuje wyjątkowy zegarek z linii Helvetus Automatic.

To bardzo elegancyjny, męski zegarek mechaniczny z naciąganiem automatycznym. Dzięki temu nakręca się on sam, już od drobnych gestów ręki czy spaceru. Dodatkowo gromadzi rezerwę energii. Nienoszony pozostaje sprawny nawet do 44 godzin! W zegarkach z kolekcji Helvetus Automatic mechanizm można podglądać przez dokręcany przeszklony dekiel.

Najnowsza propozycja SWISS MILITARY HANOWA posiada kopertę o średnicy 40 mm. Stalowa bransoleta doskonale kontrastuje z tarczą w kolorze głębokiego granatu. Jej styl jest klasyczny, ozdobiony wyraźnymi arabskimi cyframi i indeksami liniowymi.

Innymi słowy, klasyka, która zawsze się sprawdza.

CENA: **2580** zł



To, co mu zostało, to serce największego uwodziciela na świecie, dwukrotnego zdobywcy tytułu najseksowniejszego mężczyzny (w latach 2003 i 2009). Z resztą gorzej. Zarobione przez kilkanaście lat 650 mln dol. może za chwilę całkiem wyparować.

Na 14 luksusowych nieruchomościach położonych w najpiękniejszych miejscach planety kładą łapę wierzyciele. Johnny miota się w bezsilnej wściekłości. Wytoczył sprawę swoim doradcom finansowym, którzy pracują dla niego od 1999 r. Zarzuca im niepłacenie podatków lub płacenie ich z opóźnieniem, nieinformowanie go o stanie finansów i zbliżającym się bankructwie. Czuje się zdradzony i żąda 25 mln dol. odszkodowania. Pozwana firma, The Management Group, broniąc swej repu-

25 tys. Jednak już za pierwszy odcinek „Piratów z Karaibów” w 2003 r. dostał 10 mln dol., za „Alicję w Krainie Czarów” w 2010 – 50 mln. W sumie cztery pierwsze odcinki serii „Piratów z Karaibów” przyniosły mu 350 mln dol. Piąty odcinek – 55 mln, „Rango” – 7,5 mln, „Turysta” – 20 mln...

Żeby przy takich dochodach zbankrutować, trzeba się sporo napracować. Johnny’emu przychodziło to bez trudu. Jego pasją były nieruchomości. Gdy widział dom, który mu się spodobał, nie mógł się oprzeć. Szaleńczo kupował wszystko, co nawinęło się pod rękę. Bez zastanowienia.

Johnny Depp



Joanna Bojańczyk

Jak zarobić i stracić 650 mln dol.? Instrukcji udziela najbardziej kasowy aktor świata

tacji, odpowiada szczegółowym, ponad 30-stronicowym sprawozdaniem, w którym przedstawia wszystkie zaniedbania bad boya i zarzuca mu nieodpowiedzialność oraz nieinteresowanie się stanem swoich finansów. „Zrobiliśmy wszystko, żeby uchronić naszego klienta przed nierozsądnym wydawaniem pieniędzy”. Diagnoza doradców jest bezlitosna: Johnny Depp ma alergię na pieniądze, która objawia się tym, że gdy coś zarobi, musi natychmiast to wydać. Do końca.

PODOBA SIĘ? KUPUJEMY

A było tak pięknie. Pieniądze płynęły strumieniem. Żaden europejski aktor nie otrzymywał tak zawrotnych honorariów jak Johnny Depp. Te wzrastały skokowo od 1994 r., gdy aktor nakręcił pierwszy film, horror „Koszmar z ulicy Wiązów”. Wtedy zainkasował nędzne

Pałac w Wenecji na Canal Grande – podoba się? Kupujemy! To jedyne 12 mln. Wyspa na Bahamach? Fajna, bierzemy. Penthouse’y w Los Angeles, wiejska posiadłość w Anglii. Johnny brał wszystko, jakby grał w gigantyczny monopol w realu. W ciągu kilku lat nabył 14 nieruchomości, w tym olbrzymie ranczo w rodzimym Kentucky, palazzo z frontonem z korynckich kolumn za 17,5 mln. Skromne gniazdko w Hollywood z czterema sypialniami i pięcioma łazienkami, które miało służyć pierwszej żonie, Vanessie Paradis, i dwójgu dzieciom, kosztowało tylko 4 mln. Chociaż właściciel nie miał czasu nawet wpadać



FOT. PHOTOSHOT/REPORTER

do tych licznych posiadłości, nie mówiąc o tym, żeby w nich zamieszkać, każda była kupowana razem z wyposażeniem i personelem. Ten ostatni oczywiście należało utrzymywać.

Obok poważnych inwestycji były mniejsze. 45 samochodów i luksusowych motocykli, 70 kolekcjonerskich gitar. Jacht „Vajoliroja” (nazwa jest skrótem od imion: Vanessa, Johnny, Lily Rose i Jack). Dzień i noc grupa ochroniarzy. Miesięczny koszt: 150 tys. dol.

40 obsługujących aktora osób to skromne 300 tys. dol. Jaśnie panu nie przyszłoby nawet do głowy, by przemieszczać się komercyjnym lotem, nawet pierwszą klasą. Z powodu „burdelu, jaki by to spowodowało z paparazzimi” – tłumaczy. Rozumiemy go. Konfrontacja z tłumem pospółstwa, konieczność

Kerouaca, szpilki Marilyn Monroe i masa innych drobnych rzeczy kupionych na aukcjach po hollywoodzkich aktorach.

DŁUGI TO STAN UMYŚŁU

Problemy zaczęły się w roku 2008, potem było coraz gorzej. Tak przynajmniej wynika z dokumentów finansowych, które ujawnili doradcy. Panowie w szarych garniturach próbowali opanować sytuację. Johnny obiecywał, że się poprawi, ale słowa nie dotrzymał. W końcu co to są długi? Długi to stan umysłu – twierdził. Jeden z e-maili ujawnionych przez doradców brzmi: „Zadzwoń do mego agenta i adwokata, żeby znaleźli mi te idiotyczne kontrakty, żeby odzyskać przekłętą płynność. Nie ważne, co chcę kupić, zrobmy to. Musimy kupić ten dom”.

dzali mu ślub z modelką Amber Heard bez zawarcia przedślubnego kontraktu o rozdzielności majątkowej. Nie słuchał. Oślepiiony miłością, a może alkoholem, poszedł na całość. Minęło zaledwie pół roku, a cały świat usłyszał o awanturach, biciu, oglądał posiniaczoną twarz dziewczyny. Rozwód kosztował Deppa 7 mln dol. Zaraz po nim piękna Amber, zainkasowawszy okrągłą sumkę, pocieszyła się związkiem z miliarderem. Tym razem prawdziwym, właścicielem Tesli Elonem Muskem.

Czy do Deppa nie dociera, że przestał być aktorem tak kasowym jak za czasów „Piratów z Karaibów”? Że złote czasy się skończyły i mogą nigdy nie wrócić? Dawno przekroczył pięćdziesiątkę, ale jeszcze nie jest tak źle. W roku 2015 honoraria przyniosły mu 45 mln. Dro-

efektowne bankructwo

dźwigania walizek, kontrole bezpieczeństwa – to naprawdę wielki stres. W końcu korzystanie z gulfstreama V to tylko 200 tys. miesięcznie.

DROBNE PRZYJEMNOŚCI

Są także drobne przyjemności życia. Czy można porównać smak romanée-conti (w skrócie DRC, wino z Burgundii, jedno z 10 najdroższych na świecie, butelka kosztuje od 1,3 tys. do 15 tys. euro) z byle chateau za parę stówek? Skądinąd najnowsza żona, modelka Amber Heard, relacjonowała, że mężowi w trakcie awantur zdarzało się rozbijać butelki powyższego o ścianę...

Pralnia kosztuje też jakieś 200 tys. miesięcznie. Tylko ciuchy nie stanowią istotnej pozycji w budżecie gwiazdora. Garniturów szytych na miarę brak. Od lat Johnny chodzi w wytartych dzinsach...

Za to sztuka, owszem. W końcu każdy zdobywca nowych pieniędzy musi sukces finansowy przypieczętować bardziej ambitnymi wydatkami. Basquiat, Warhol, Klimt, Modigliani to na początek kolekcji, niestety rozwój już nie nastąpił. Raczej trzeba było sprzedawać... W kolekcji znajdowały się także przedmioty ocierające się o fetyszizm: rękopisy Jacka

Był głuchy na rady, żeby jak najszybciej pozbyć się ogromnej posiadłości, właściwie całej wsi, na południu Francji – Plan-de-la-Tour. Nie chciał o tym słyszeć, bo tam przeżył szczęśliwe chwile z Vanessą i dziećmi. Kiedy wreszcie się zdecydował, olbrzymi wiejski dom wyceńiony na 13 mln dol. chciał sprzedać za dwa razy tyle. W roku 2015 pojawili się potencjalni kupcy, ale odmówił wpuszczenia ich do środka. Pozbyć się czegośkolwiek, co miał, graniczyło z cudem.

Jedno trzeba mu przyznać – był nieobliczalny, ale hojny. Nie liczył się z pieniędzmi, jeśli chodzi o wydatki na bliskich i przyjaciół. Matka i siostra żyją na jego koszt – niech będzie. Przyjaciół z dzieciństwa otworzył własny biznes muzyczny – zainwestował w to miliony. Inny przyjaciel, dziennikarz Hunter Thompson, marzy o tym, żeby jego prochy wystrzelono z armaty. Za 3 mln Johnny zbudował stosowne urządzenie i spełnił prośbę. Pożyczył pieniądze, gdy go poproszono. Tylko dłużnicy jakoś nie zawsze pieniądze oddawali, uważając, że wierzyciel sobie poradzi.

Jednak rzeczywistość uciekała Johnny'emu coraz bardziej, także w życiu prywatnym. Rodzina i przyjaciele odra-

biażdżek. Gdyby sprzedał parę domów, w których nie powstała nawet jego stopa, odzyskałby równowagę finansową lub chociaż jej część.

JACHEM DO SZCZĘŚCIA

Na swoim koncie na Twitterze Depp umieścił dewizę: „Pieniądze nie kupią szczęścia, ale można za nie kupić jacht, którym można ku szczęściu żeglować”. Na razie żegluga została przerwana, bo jacht sprzedano autorce bestsellerowych powieści o Harrym Potterze, J.K. Rowling.

Mimo kryzysu na razie nie zanosi się na to, by Johnny miał zebrać o drobne na chodniku Bulwaru Zachodzącego Słońca. Może zacznie słuchać doradców? Do tej pory jedyną osobą, którą darzył zaufaniem, był Gerry, ochroniarz od 15 lat.

Pieniądze jakoś się rozeszły. Czyja wina? Depp oskarża doradców, którzy za swoje usługi zainkasowali 28 mln dol. Jednak gdy jest się dużym chłopcem, nawet Johnnym Deppem, nawet najbardziej znanym aktorem Hollywood, nawet najseksowniejszym facetem na świecie, trzeba czasem rzucić okiem na bilans wydatków i dochodów.



JACEK KOMUDA

PODRÓŻE SARMACKIEGO KUCHMISTRZA

Postne ucztę

Już średniowieczni mnisi dokładali starań, aby monotonne postne jadło uczynić przyjemniejszym dla podniebienia. Barokowa zaś kuchnia francuska, a po niej polska, celowała w wymyślanie najróżniejszych frykasów. Czytając przepisy z „Compendium ferculorum” Stanisława Czernieckiego albo „Mody bardzo dobrej...”, czyli radziwiłłowskiej książki kucharskiej, ma się wrażenie, że po Popielcu rozpoczynał się nie post, ale kulinarny festiwal dobrego smaku. W dodatku wśród potraw królowały te, które przypominały zakazane dania mięsne z cielęciny, wołowiny i dziczyzny, ale jednocześnie przygotowane były z zupełnie innych, postnych składników. W taki sposób robiono z ryb pasztety czy... kiszki postne, do których przyrządzania używano np. szczupaka. Dorodną rybę pozbawiano ości, siekano drobno, dorzucano cukru, cynamonu i pieprzu, drobnych rodzyneków i białego tartego chleba. Mieszano to wszystko, a potem napychano farszem dużą kiszkę, obtaczano ją w mące i smażyło na wrzącej oliwie, gdyż masło uznawano za produkt zwierzęcy.

Innym sposobem było napychanie siekanym łososiem mniejszych

kielbas, jednak nie dodawano wówczas chleba, rodzyneków ani cukru. Zamiast tego farsz mieszano z kwiatem muskatołowym i pieprzem, potem kielbasy obtaczano w mące i smażyło w oliwie albo po prostu łamano i pieczono na rożnie. Często też pieczoną lub siekaną rybę przyprawiano tak, że przypominała kawałki cielęciny, albo pasztet z ryb układano na talerzach na kształt zająca albo kuropatwy, aby zaskoczyć gości.

Cały traktat można napisać o postnych potrawach rybnych, nieudających już niczego innego. W książce kucharskiej Wojciecha Wielądka z XVIII w. znajdujemy przepis na turbota (fazyana) duszonego w sosie hiszpańskim albo przygotowywanego z winem czy zaprawą z trufli albo pieczarek. Znacznie prostszy jest łosoś krojony w dzwonka, marynowany najpierw w oliwie, posypany solą oraz pieprzem i pieczony, polewany marynatą albo po prostu gotowany w bulionie. Stanisław Czerniecki podaje z kolei przepisy na bigos z ryb, a pamiętajmy, że w XVII w. słowo to nie oznaczało kapusty z grzybami, ale różne rodzaje siekanin. Bigoski postne podawano na ciepło i na zimno – z ryby pieczonej na ruszcie,

siekanej, zmieszanej z oliwkami, oliwą, winem, cukrem, octem, pieprzem i cynamonem. Inny ciekawy przepis, który i dziś jest smaczny, to ryby z chrzanem – pieczone na ogniu, a potem polewane sosem z chrzanu zmieszanego z rozartymi migdałami, octem winnym, solą i kwiatem muskatołowym.

Aciasta i słodczyce? Wbrew temu, co można sądzić, nie znajdujemy zbyt wiele postnych słodkości. Pewnie dlatego, że masło, jaja, mleko i ser, główne składniki słodkości, uważano za produkty zakazane. Zachowało się ledwie kilka polewek postnych winnych i migdałowych, barszcz przygotowywany... właśnie – z zielonego barszczu rosnącego w polu, z makiem i migdałami oraz mąką. A także bianka warzona z ryżową mąką. Natomiast Czerniecki podaje sposób na postne ciasto z rodzynekami, jabłkami albo gruszkami przygotowywane w ciekawy sposób. Otóż rozczyniano mąkę pszenną z wodą i drożdżami, odstawiano ciasto, aby urosło, zaprawiano szafranem, a następnie nabijano na drewniane szpilki wielkie rodzyнки, kawałki jabłka albo gruszek, obtaczano je w cieście i smażyło na gorącej oliwie, a potem podawano na stół pocukrowane. ©



Cielęcina postna ze szczupaka

Smażymy szczupaka albo pieczemy na ruszcie, przyprawiamy cynamonem, kwiatem muskatołowym, ziarnami pieprzu, nadziewamy rodzynekami, cukrem i tartym chlebem, kładziemy na patelni lub w rondlu i podduszamy na oliwie, zalewając białym winem. Osobno gotujemy pokrajaną pietruszkę, po czym dorzucamy do szczupaka, dodając jeszcze wina i trochę rozrobionego miodem octu winnego. Szczupaka można też pokroić „w sztuczki”, żeby bardziej przypominał kawałki cielęciny.

Polewka na post

Rozcieramy obrane migdały, dolewamy do nich po pół litra wina i przegotowanej wody, zaprawiamy cukrem, możemy też dodać trochę szafranu. Gotujemy długo, aż zostanie połowa płynu, a polewka zgęstnieje. Podajemy z grzankami z białego chleba, dodając jeszcze trochę cynamonu.

KONTRABANDA W KUCHNI MARIANA KOWALSKIEGO

Kiedy na początku lat 80. zaczynałem trenować kultury-
stykę, nie miałem takich moż-
liwości, jakie są dziś. Tuńczyk
i inne dostępne teraz produkty
były poza zasięgiem. Z tego, co
było dostępne na kartki, sta-
rałem się coś gotować. Mięso
musieliśmy przemycać ze wsi.
Ktoregoś razu podczas stanu
wojennego z dwoma kolegami
wracałem do Lublina samocho-
dem ojca z bagażnikiem peł-
nym mięsa. Była straszna mgła,
widoczność na dwa metry. Na
rogatkach Lublina natknęliśmy
się na ZOMO-wców. Byłem
przekonany, że jesteśmy zała-
twieni, a wtedy za taki przemyt
można było stracić samochód.
Poza tym na mięso czekało
kilka rodzin, bo przywoziło się je
jednym rzutem dla wielu osób.
Jakoś udało nam się przejechać,
ale kosztowało nas to mnó-
stwo nerwów.

Od lat 90. gotowałem już bar-
dzo różne potrawy. Przy mojej
wadze, ok. 100 kg, trzeba zjeść
dziennie ok. 250 g białka, co
w przeliczeniu oznacza ok.
kilograma piersi kurczaka
każdego dnia. Trenując kultu-
rystykę, trzeba więc stosować
różne przepisy, żeby niektóre
składniki śmiertelnie się nie
znudziły. Dzisiaj proponuję
prostą i szybką w przygotowa-
niu potrawę z tuńczykiem.

Makaron ze szpinakiem i tuńczykiem

Składniki:

- makaron z pszenicy durum
lub razowy (świderki, wstążki
albo rurki – wedle uznania)
- 2 puszki tuńczyka w sosie
własnym
- świeży szpinak
- ser feta
- czosnek (w główce
lub granulowany)

Przygotowanie:

Gotujemy makaron, żeby był
al dente. Na patelni podsma-
żamy szpinak z dodatkiem
czosnku, można to zrobić bez
tłuszczu, dolewając trochę
wody. Jeśli ktoś nie przestrze-
ga diety niskokalorycznej,
to można dodać odrobinę
sera feta. Do tego wrzucamy
tuńczyka z puszki. Miesza-
my wszystko razem na patelni
i przyprawiamy wedle gustu.
Ja unikam soli, dodaję maggi
lub sos pomidorowy. Całość
miesza my z makaronem. ©©

not. raw

**Marian Kowalski jest
działaczem politycznym
(był wiceprezesem Ruchu
Narodowego, kandydatem na
prezydenta Polski, współtwórcą
stowarzyszenia Narodowy RP),
felietonistą i kulturystą.**



FOT. KRYSZTAŃ NAWIŁK



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Wstrząśnięty i zmieszany

Kto parę lat temu
słyszał o smoothies?
Nikt. Teraz buteleczki
z kolorową mieszanką
owoców można dostać
w każdym bardziej ambitnym
supermarkecie, starbucksie
i knajpach z etykietką
„organic”. Smoothies wydają
się idealnie odpowiadać
zaleceniom żywieniowców,
żeby jeść dziennie pięć porcji
owoców i warzyw. Modny
temat to superżywność,
nieprzetworzone produkty,
które zawierają dużo cennych
dla organizmu składników.

Otym, jak skonsumować
te dobrodziejstwa, jest
książka „Zielone koktajle”,
papierowa wersja bloga o tej
samej nazwie (nazwiska
autorki brak). Wystarczy
mieć mikser lub blender. Nie
trzeba umieć gotować, należy
jedynie kupić parę składników,
najlepiej z listy superżywności,
obrać je, wrzucić do maszyny
i puścić ją w ruch. Opisywane
koktajle to więcej niż słodkie
owocowe smoothie:

365 podanych
przepisów może
obsłużyć całodzien-
ny jadłospis.

Żeby niepo-
trzebne, wszystko
przyjmujesz jak
dzidziuś, zmikso-
wawszy ze sobą
kolejne składniki:
owoce, warzywa,
ziarna, kasze, pestki,
nasiona. To według
autorki (zdaje się jest
nią kobieta) najlepszy
sposób na dostar-
czenie organizmowi
niezbędnych skład-
ników. Koktajl z ja-
glanki lub quinoa na



**„ZIELONE
KOKTAJLE.
365 PRZEPISÓW”
PUBLICAT 2016**

śniadanie, koktajl odchudzający
z grejpfrutem, ananase lub
aloesem, oczyszczający z zielo-
nymi warzywami, pobudzający
libido, odmładzający z pomido-
rami i marchewką. Lecznicy
– na wątrobę, sportowcy – dla
energii i wytrzymałości. Na
obiad – z warzywami korzen-
nymi, kapustą, kaszą i kiełka-
mi; desery i lody. A ponieważ
w czasach rozczarowania prze-
mysłowym jedzeniem szukamy
wartości w roślinach z pola
i lasu, nie może tu zabraknąć
chwastów i kwiatów. Szczaw,
fiolki, lubczyk, pokrzywa
(zwłaszcza w maju), koniczy-
na... Dlaczego nie?

Sporo fajnych pomysłów.
Mało prawdopodobne, żeby
wszystko dało się wdrożyć, ale
rozszerzenie spektrum nasze-
go codziennego jadłospisu jest
wskazane. Przy tych wszyst-
kich zaletach jest jedno „ale”. Za
dużo tego dobrego – ostrzegają
przed koktajlami owocowymi
naukowcy. Ich nadmiar może
być równie niebezpieczny
jak nadmiar napojów słodzo-
nych – twierdzi Barry Popkin,
profesor University of North
Carolina, którego cytuje
brytyjski „The Guardian”. Jedno
owocowe smoothie zawiera
tyle cukru, ile butelka coca-
-coli albo pięć pomarańczy.
O ile jednak pomarańcza potrafi
zaspokoić głód na jakiś czas,
o tyle takiego pocucia nie dają
zmiksowane smoothies. A za-
tem – pijmy, jedzmy smacznie,
ale bez przesady. ©©

NASZ TEST: AUDI SQ7



Najmocniejszy SUV z silnikiem Diesla na światowym rynku motoryzacyjnym to jedno z aut z garażu kapitana polskiej reprezentacji Roberta Lewandowskiego (obok zabawek takich firm jak Ferrari, Maserati, Mercedes i Porsche). Audi SQ7 pod maską kryje silnik o mocy aż 435 koni mechanicznych i niesamowicie wysokim momencie obrotowym, wynoszącym aż 900 Nm.

Wrażenie robią też majestatyczne rozmiary SUV-a. I chociaż na pierwszy rzut oka model ten mocno przypomina tradycyjne Q7, to takie detale jak odmieniony grill, dwie podwójne końcówki wydechu i zmodyfikowany spoiler w dyskretny sposób nadają autu z literką „S” sportowy charakter.

W KABINIE

SQ7 to flagowy model niemieckiego koncernu i widać to na pierwszy rzut oka (oczywiście, po cenie także, ale o tym później). Kabina jest luksusowa i elegancka, a materiały użyte do jej wykończenia najwyższej jakości.



Jak przystało na auto rodzinne, miejsca w środku jest ogromnie dużo. Na tylnej kanapie komfortowo można więc przewozić nie tylko troje rosnących nastolatków, lecz także – gdyby pierwsze wiosenne wieczory nastroiły kogoś na pomysł romantycznej randki pod gwiazdzystym niebem – wygodnie przyjąć pozycję horyzontalną i... grzecznie obserwować pięknie rozświetloną Wenus przez olbrzymi szklany dach. Przepastny jest również bagażnik.

JAZDA

Czy auto pakowne niczym mały autobus może dawać frajdę z jazdy? Okazuje się, że tak. Można powiedzieć, że projektantom SQ7 niemalże udało się stworzyć mocno wyrośniętego hot hatcha.

Uśmiech na twarzy kierowcy, zwłaszcza po przełączeniu trybu jazdy na dynamiczny, może wywołać już piękne brzmienie silnika V8. Pod maską jest co prawda ośmiocylindrowy diesel, ale dzięki inżynierskim sztuczkom i odpowiedniemu użyciu elektroniki brzmi niczym najprawdziwsze benzynowe чудо.

Po przerzuceniu dźwigni zmiany biegów na tryb sportowy i mocnym wciśnięciu pedału gazu ważąca 2,3 t bestia leci do przodu niczym wyrzuciona z katapulty. Potężny silnik pozwala się rozpędzić do pierwszej setki w zaledwie 4,8 s. Ograniczona elektronicznie prędkość maksymalna wynosi zaś 250 km/godz. Inżynierowie Audi świetnie poradzili też sobie z wyeliminowaniem zjawiska słynnej turbodziury – ładując do środka tyle różnych technicznych rozwiązań, że łatwiej można chyba wyjaśnić budowę reaktora atomowego. Napiszmy więc w skrócie – działa świetnie.

Auto nieźle radzi sobie nie tylko na autostradach. Również na serpentynach potężny SUV prowadzi się pewnie i stabilnie, a wychylanie się auta na boki jest niemal nieodczuwalne. Mimo ogromnej masy nie zaobserwowałem żadnych

problemów z podsterownością. Świetne jest również pneumatyczne zawieszenie, choć jest ono nieco twardsze niż w tradycyjnej Q7. Usportowiony, luksusowy SUV raczej nie nadaje się jedynie do terenowej jazdy. Prześwit jest co prawda odpowiedni, ale trzeba by wozić ze sobą komplet innych opon. Na szczęście autem o wartości średniej wielkości apartamentu zapewne nikt w trudny teren i tak nie będzie się pakował.

Model SQ7 jest też – jak na swoją masę i osiągi – stosunkowo oszczędny. Podczas testu spalał średnio 8,5–10 l/100 km. Obniżeniu spalania służy m.in. asystent wydajności, który poradzi, aby zdjąć nogę z gazu, np. gdy będziemy zbliżać się do terenu zabudowanego.

BEZPIECZEŃSTWO

Audi chwali się 24 elektronicznymi systemami, które wspierają kierowcę. SQ7 potrafi więc w razie potrzeby samodzielnie zahamować lub ostrzec kierowcę przed niezamierzoną zmianą pasa.

To ostatnie rozwiązanie jest w tym przypadku szczególnie przydatne, bo chociaż konstruktorzy zrobili wiele, by kierowca nie czuł, że ta bestia waży 2,3 t i ma prawie 2 m szerokości, to jeśli akurat pasy są zwężone lub próbujemy przecisnąć się po ciasnych uliczkach pełnych nielegalnie zaparkowanych aut, wówczas prowadzenie może wymagać od kierowcy nieco więcej koncentracji.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Komputer pokładowy poprawnie rozpoznaje znaki drogowe. Świetnie sprawdza się też aktywny tempomat, dzięki któremu poruszając się w okropnych korkach, można zostawić prowadzenie komputerowi, a samemu nieco się zrelaksować.

CENA

Auto w podstawowym wariantie kosztuje 428 tys. zł. Wystarczy jednak nieco się zapomnieć podczas wypełniania formularza zamówienia, by po dołożeniu kilku fajnych dodatków końcowy rachunek wzrósł do ponad 600 tys. zł.

KONKURENCJI

Bentley Bentayga, Mercedes GLS 63 AMG, Porsche Cayenne Turbo S, Range Rover Sport SVR. ©

JACEK PRZYBYLSKI

TEST „DO RZECZY”: PILOT DO PREZENTACJI LOGITECH SPOTLIGHT

Stres, trema czy wręcz glassofobia, czyli paniczny lęk przed występowaniem publicznym. Takie uczucia towarzyszą wielu osobom, które z racji wykonywanego zawodu zmuszone są do prowadzenia prezentacji przed licznym audytorium.

Testowany gadżet może chociaż trochę zwiększyć pewność siebie prezentującego, sprawiając, że publiczność będzie bardziej zaangażowana i zainteresowana tym, co mamy do pokazania.

Pilot do prezentacji pozwala bowiem nie tylko na przerzucanie slajdów. Funkcja „spotlight” umożliwia wskazywanie konkretnych informacji na ekranie (reszta ekranu jest wówczas przyciemniona). Urządzenie pozwala również np. na łatwe powiększanie wybranego fragmentu slajdu, bez utraty jakości obrazu, co ułatwia wskazywanie detali.

Aby w konkretnej chwili skupić uwagę słuchaczy na tym, co mamy do powiedzenia, a nie do pokazania, można też w dowolnym momencie łatwo zaciemnić wyświetlany obraz.

Przydatną funkcją dla osób, które mają problem ze zmieszczeniem się w czasie – dostępną po zainstalowaniu specjalnej aplikacji – są alarmy wibracyjne. Po upływie wprowadzo-

nego wcześniej czasu pilot zaczyna delikatnie wibrować w dłoni (np. pięć minut przed wyznaczonym końcem prezentacji).

Prezenter można też łatwo przełączyć w tryb kursora, który umożliwia np. odtwarzanie lub wstrzymywanie filmików, a także otwieranie łączy w prezentacji bez konieczności podchodzenia do laptopa (jedno naciśnięcie guzika na pilocie działa wówczas jak lewy przycisk myszy).

Pracownicy dużych korporacji docenią zapewne również to, że – w przeciwieństwie do tradycyjnych laserowych wskaźników – zarówno

podświetlane fragmenty slajdów, jak i kursor mogą zobaczyć nie tylko osoby śledzące prezentację na żywo, lecz także ci, którzy oglądają ją podczas videokonferencji.

Pilot Logitecha daje też możliwość sterowania poziomem głośności za pomocą gestów.

Urządzenie współpracuje z różnymi programami do prezentacji (PowerPoint, Keynote, Prezi i Google Slides).

Niewielki i lekki prezeser ma minimalistyczny, nowoczesny design.

Z komputerem łączy się za pomocą Bluetooth lub radiowo poprzez odbiornik USB. Jego zasięg wynosi ok. 30 m. Według producenta akumulator na jednym ładowaniu powinien działać do trzech miesięcy.

Zaledwie jedna minuta ładowania umożliwia zaś przeprowadzenie nawet trzygodzinnej prezentacji.

Największą wadą testowanego urządzenia jest bardzo wysoka cena, która wynosi aż 569 zł. Jeśli ktoś wykonuje prezentację jedynie sporadycznie, to mniej więcej za połowę tej kwoty kupi już wystarczająco dobry prezeser laserowy. Osoby, dla których praca ze slajdami to chleb powszedni, zapewne docenią nowe możliwości pilota Logitecha. ©©

Jacek Przybylski

BLACKBERRY DLA KONSERWATYSTÓW

Jeżeli wydawało się wam, że smartfony z klasyczną klawiaturą z przyciskami już całkowicie zniknęły z rynku (wyłączywszy starocie walające się tu i ówdzie w komisach), to macie rację – tylko się wam wydawało. Niebawem do sprzedaży wejdzie BlackBerry KEYone. W elegancki sposób łączy on nowoczesny, dotykowy, wielofunkcyjny ekran i konserwatywny image, którego sercem jest przyciskowa klawiatura QWERTY. Czy się sprawdzi, trudno powiedzieć, ale nowy BlackBerry KEYone zapowiada się ciekawie.

Nawet bardzo.

Dlaczego? Urządzenie pracuje pod Androidem 7.1 Nougat, a więc już jest dobrze. Będzie lepiej. Do tego dochodzi ośmiordzeniowy procesor Qualcomm Snapdragon 625. Mało? No to jest jeszcze 4,5-calowy ekran o rozdzielczości 1620 × 1080 pikseli odporny na zarysowania. Dla miłośników fotografowania też gratka: telefon wyposażony jest w aparat 12 Mpix z przesłoną f/2.0 i możliwością nagrywania wideo w 4K 30 kl./s, przy czym główna kamera to sensor Sony IMX378 znany niektórym z modelu Google Pixel; najkrócej mówiąc – jeden z najlepszych obecnie na rynku.

Do tego kamera do selfie’ów – 8 Mpix z nagrywaniem w Full HD, inteligentna klawiatura QWERTY i bateria – uwaga – 3505 mAh z opcją szybkiego

ładowania. Jest jednak w tej beczce miodu i kropla dziegciu. Ekran wydaje się zbyt mały jak na dzisiejsze potrzeby optymalnego wykorzystania go do pracy w Internecie. Zbyt duża jest za to cena – ok. 2,6 tys. zł. W Europie smartfon trafi do sprzedaży latem.

CHIŃCZYCY Z KAMERKĄ

Nigdy nie byłem wielkim zwolennikiem chińskich technologicznych gadżetów, poczynając od różnej maści aphonów, hejfonów, ejfonów i tym podobnych podróbek, które zalewały rynek w okresie największej popularności pierwszych modeli iPhone’ów od Apple. Firmę Huawei zacząłem jednak doceniać po zetknięciu się z ich smartfonem Honor 7, do którego – muszę przyznać – raczej nie mam większych zastrzeżeń (wyjątkiem jest słaby aparat fotograficzny), a szczerze cenić wraz z kolejnymi produktami rzucającymi na rynek. Niebawem ma na niego trafić 360-stopniowa kamera, którą Huawei wyprodukuje wspólnie z firmą Insta360. Produkt o nazwie Honor VR Camera do pracy będzie wymagał sparowanego smartfona. Możliwości? Na przykład transmisje live 360 stopni na portalach społecznościowych, a także robienie zdjęć w rozdzielczości 3K. Cena Honor VR Camera nie jest jeszcze znana, ale produkty tej firmy nie należą do najtańszych. ©©



Wojciech Wybranowski



MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Pokaz jedności

MARCIN MAKOWSKI: Pod Waszyngtonem, jak co roku, odbyła się największa konferencja amerykańskich konserwatystów – Conservative Political Action Conference. Wśród mówców: Trump, Pence, Bannon. A jakie nastroje? Euforyczne?

MATTHEW TYRMAND: Tegoroczny CPAC był manifestem jedności z Trumpem i jego polityką. Poparciem populizmu, protekcjonizmu, interesu narodowego – czegoś, co moglibyśmy nazwać „trum-pizmem”. Co ciekawe, CPAC nigdy nie był tego typu konferencją, a istnieje w przestrzeni publicznej od 1973 r. Do tej pory – jak sama nazwa wskazuje – debatowano poważnie na temat wartości konserwatywnych, tymczasem Trump nie jest z krwi i kości konserwatystą. Na tym polega jego uniwersalność – i tego nie zrozumieli elity – że nie tylko potrafi się dostosować do tradycyjnego elektoratu republikanów, lecz także zjednoczyć milczącą większość po obu stronach barykady. Wykracza poza standardowe definicje „liberalizmu” i „konserwatyzmu”, w tym sensie również CPAC i panująca tam atmosfera były zapowiedzią nastania epoki nowego populizmu.

Pod względem napięcia politycznego i nowych idei nie było chyba fajerwerków?

To prawda. Zazwyczaj na CPAC w okresie wyborczym swoje kandydatury ogłaszali przyszli prezydenci, senatorzy, kongresmeni. Kotłowało się na korytarzach od walki o reelekcję, politycy próbowali projektować Amerykę po Obamie i walczyć o swój elektorat. 2017 r. to jednak okres przestoju wyborczego, republikanie zgarnęli pełną stawkę, dlatego tradycyjne napięcie opadło. Może właśnie dlatego jedynym senatorem, który wziął czynny udział w konferencji, był Ted Cruz, który ma sobie coś do udowodnienia po wyborach. Reszta została w swoich okręgach, co jest typowe dla polityków bez względu na wyznawane poglądy. W tę próżnię weszła ekipa Trumpa, i dlatego właśnie mogła zdominować tradycyjny wydźwięk i znaczenie CPAC.

À propos dominacji. Bannon i Priebus okazali się ulubieńcami tłumów po tym, jak zaczęli mówić o skorumpowanych lewicowych mediach i zepsutym establishmentie. Wyborcza narracja sprawdza się nawet po wygranej bitwie?

Nie chodziło nawet o sprzedawanie dwa razy tego samego dania, ale

pokazanie, jak Reince Priebus, który z pozycji elit republikańskich atakował prowadzony przez Bannona portal breitbart.com, pracując z nim w tym samym gabinecie, nagle zaczął się z nim dobrze dogadywać. To się ludziom spodobało, ale nie zmienia to faktu, że początek nowej administracji jest dosyć chaotyczny. W dużej mierze przez bezprecedensową obstrukcję demokratów, którzy maksymalnie opóźniają wybór nominatów Trumpa. Nie pamiętam, aby miesiąc po wyborach brakowało ośmiu z 22 członków rządu. Oczywiście to nie precedens w historii USA, ale trzeba mieć świadomość, że tegoroczny CPAC to głównie manifestacja jedności środowiska, które z perspektywy lewicowo-liberalnych mediów przedstawiane jest jako tonący statek. Ciekawie było również obserwować, jak Trump uzupełnia się z Pence'iem. Prezydent mówił przez ponad godzinę jak na wiecu wyborczym – trochę o wszystkim naraz, wiceprezydent w pół godziny punkt po punkcie wyłożył całą agendę polityczną Białego Domu. Dobrze się to uzupełniało.

Zakończmy Europę. Martin Schulz cieszy się coraz większym poparciem w wyścigu do fotela kanclerza Niemiec. Z perspektywy Polski nie ma powodów do zadowolenia?

Dlaczego? Moim zdaniem Warszawa powinna się cieszyć. Im więcej lewicowych eurocentrystów w rządach, tym szybciej i wyraźniej się skompromitują. Czasami, żeby doszło do prawdziwej zmiany, jak w przypadku Brexitu, potrzebna jest najpierw gorzka pigułka. Poza tym nie ufam Angeli Merkel. Teraz zmiekcza swoje stanowisko w sprawie migracji, ale to ona i Schulz otworzyli drzwi do Europy. Skończy się kampania, Merkel przestanie być przyjaciółką Kaczyńskiego. Jeśli ten porządek ma upaść, to lepiej, żeby z hukiem. ©©

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE



Polska na Dzień Dobry

7:00 - 9:00

Flesz informacyjny

7:20 Kalendarz Historyczny

Flesz informacyjny

7:35 Gość programu

Flesz informacyjny

7:50 Chłodnym Okiem - Ziemkiewicz, Terlikowski, Nisztor, Stankiewicz

Flesz informacyjny

8:20 Kultura

Flesz informacyjny

8:35 Ekonomia

Flesz informacyjny

8:50 Chłodnym Okiem II



www.telewizjarepublika.pl



KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

Biedroń, pilnuj własnego interesu

ROBERT BIEDROŃ: *Gdyby to był lans, to takich polityków byłoby wielu, i ci, którzy głaszczą kota, i ci, którzy dzisiaj ścigają innych, i ci, którzy robią wiele innych rzeczy, by już mieli dawno coming out za sobą, ale cena jest bardzo wielka. Ilu ma pani polityków wyoutowanych? Ilu ma pani dziennikarzy wyoutowanych, wielu nawet jest w szafie, nawet w Polsce, przecież wie pani o tym. Chyba musimy się po tym programie umówić na kawę i poplotkować. Zrobimy kolejny odcinek i ujawnimy.*

Gdyby outowanie dziennikarzy zapowiedział jakikolwiek polityk prawicy, Biedroń jako dyżurny gej oblatywałby właśnie wszystkie telewizje ze skargą, że prawica zagląda ludziom pod kołdrę. I miałby rację. Nie podołało mi się, jak „Gazeta Polska” publicznie roztrząsała szczegóły prywatnego życia Krzysztofa Śmieszka – partnera Biedronia – po tym, jak dziennikarze „dotarli” do jego rzekomego profilu na portalu randkowym i odkryli, że ponoć umawia się także z innymi

mężczyznami. Nie może mi się podobać sugerowanie orientacji seksualnej tego czy innego polityka ani szantażowanie przymusowym wyoutowaniem. Tak to trochę zabrzmiało.

A jeśli już ktoś uważa ujawnianie czyjejś orientacji seksualnej za swoją misję, niechby przynajmniej miał odwagę zrobić to bez kluczenia i podał nazwisko „oskarżonego”, dając mu szansę zareagowania bez narażania się na komentarz „o, nożyce się odezwały”. Gdyby Biedroń był tak samo odważny, jak jest chamski, podałby do publicznej wiadomości nazwisko „polityka głaszczącego kota” i dał mu szansę załatwienia sprawy raz na zawsze w sądzie. Sama jestem ciekawa, jak Biedroń by Kaczyńskiemu udowadniał orientację homoseksualną, mając na razie za jedyny dowód tylko jego starokawalerstwo. Niestety, Biedroniowi odwagi wystarczyło tylko na insynuacje czynione w sposób pozbawiający zaatakowanego możliwości obrony, co samo w sobie jest dość obrzydliwe. Jednak jak się

przyjmie i ktoś kiedyś powie w wywiadzie, że „znany polityk gej” jest pedofilem, trudno się będzie oburzać. A życie uczy, że chamstwo raz wprowadzone na salony lubi się na nich zadomowić. Szkoda tylko tych gejów z Polsatu, którzy niekoniecznie chcą ogłaszać światu swoją orientację seksualną. Jeśli ktoś kiedyś zrobi internetową listę gejów, to będą mieli komu dziękować.

Nie pierwszy to raz, kiedy Biedroń daje publiczny popis chamstwa, wykorzystując prymitywne skojarzenia. Mamy chyba jedynego w cywilizowanej części Europy polityka geja nakręcającego nienawiść do innego polityka z wykorzystaniem najgorszych homofobicznych stereotypów.

ROBERT BIEDROŃ: *Jeśli miałbym kiedykolwiek robić ilustracje dla książki Witkowskiego, która opisuje takie PRL-owskie cioty, ludzi, którzy nie do końca są dopasowani społecznie, to na pewno na ilustracji znalazłby się Jarosław Kaczyński.*

Biedroń. Taki był ładny, postępowy. Prezydent 2020. ©

PODSŁUCHANE

Wycinka

Blżej, panie ministrze, blżej proszę. Nie, nie, proszę nie siadać. Pan tu położy rękę, tutaj, na biurku. Dobrze. Joachim, podaj tę siekierkę, która tam stoi w rogu. Ale... Panie prezesie! Co pan... Co pan chce... Joachim, przytrzymaj tutaj pana ministra, tutaj, tylko za palce, żebyśmy sobie czegoś nie uciął.

Panie... prezesie! Ja nie rozumiem! No dobrze, żeby pan nie opowiadał, że się zjęcam. Chodzi o to, żeby pan zrozumiał, co czuje ścinane drzewo.

Jak to, co czuje? Nic nie czuje. To drewno jest. Drewniane. Tak pan sądzi? Ciekawe, ciekawe... A kot? Co pana zdaniem czuje kot? Ale... kiedy? Jak się go uderzy siekierą?

Chciałby pan, co? Nie, jak sobie po prostu łązi. Albo leży. Matko jedyna, skąd ja mam wiedzieć? Nie wiem. Głodny jest?

Właśnie. Głodny albo nie, zadowolony albo nie, śpiący albo pobudzony. Całkiem jak pan. To żywe stworzenie jest. I drzewo też jest żywym stworzeniem! Ale drzewo...

Cicho! Ja mówię! Drzewo jest żywym stworzeniem, powiedziałem. Czy to jasne?!

Jasne, panie prezesie! Tym razem rękę panu daruję. Ale jak jeszcze raz usłyszę coś o jakichś drzewach, myśliwych czy czymś podobnym, to... ©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Państwo polskie próbuje mi bez przerwy zmienić płęć, bez żadnej mojej ochoty”.

MAŁGORZATA FUSZARA,
*była pełnomocnik ds. równego traktowania,
w TOK FM*



fol. Jerzy Gumowski

Partia to człowiek

delkiem słuchającym tuby gramofonu („His Master's Voice”). Lizusostwo, będące nieodłącznym elementem gry w każdej „partii wodzowskiej”, jest (jako zarzut) rytualnym retorycznym odwetem konkurentów, którzy też mogą się wspomóc wierszem Hemara:

„Jak kto u nas lizus — to wirtuoz.
Wszystkie witaminy pobiera z wazeliny”.

W takiej partii nie ma miejsca na drugą bardzo silną osobowość, i to polityczne zjawisko swoiście przypomina poezję — Nicolás Gómez Dávila: „W cieniu wielkiego malarza mogą rozwijać się dziesiątki utalentowanych malarzy, natomiast cień wielkiego poety jest śmiercionośny” (tłum. Krzysztof Urbanek). Vulgo: zbyt utalentowana indywidualność prędzej stamtąd wyleci niż przyłapaną grzesznik, ten bowiem zawsze się może wybronić odpowiednią dawką pokory i demonstracją strachu, niekoniecznie nawet tak ekstremalną jak okazana przez księcia-jenerała Nikołaja Repnina-Wołkońskiego. Ową gubernatora poławskiego dokonał dużej malwersacji, a gdy szef bezpieczeństwa, Benckendorf, ryknął nań — popuścił w gacie ze strachu. Car Mikołaj I, usatysfakcjonowa-

peronie kolejowym) nie bez pewnej nonszalancji, demonstrując herbową wyższość, „Naczelnik” to przecież nie król. Co było dalej? „... Z salonki zeskoczyli dwaj polscy adiutanci i wyprężyli się po bokach stopni. Chwila czekania i ukazał się ten Polak. Miał coś takiego we wzroku, że wyprostowałem się jak struna, mimowolnie. Zerkam ku ojcu i widzę, że ten rzucił papierosa i przeży się na baczność jak wystraszony kapral. Nie zapomnę tego nigdy”.

W termitierze zwanej III Rzeczpospolitą nie brakowało i nie brakuje „partii wodzowskich”. Kaczyński, Tusk, Miller całe lata robili co chcieli wewnątrz swego partyjnego ogródka, dokonując sanacyjnych czyszek, ergo: relegując lub dołując tabuny „podpadziochów” (dużo gorzej szło to Pawłakowi i Palikotowi — przywództwo obu było sezonowe). Dziś Tusk na dochodowej emigracji, Miller na „zielonej trawce” — na tronie ostał się ino car „Kaczor”. Dobrze rokowania posiadają dwie „supernowe”, znaczy: nowe gwiazdy politycznej sceny — Kukiz i Petru. Każdy z nich ma zadatki na wodza, a charyzma (której pierwociny niektórzy dostrzegają u jednego i u drugiego) może się jeszcze wykluc. Nie da się zaprzeczyć, że jeden i drugi własnymi osobowościami (bardziej niż programami, bannerami, spotami czy deklaracjami) wpełnili do Izby sporo „nonejmów”.

Wielce ciekawy jest przypadek neomarksistowskiej partii Razem, której koncepcje są tylko z pozoru majączeniami nachlanego bolszewika, bo przecież 75-procentowe podatki wprowadził już we Francji salonowiec Hollande. Na razie nie jest to „partia wodzowska”, ale ma ku temu perspektywę, gdyż media wykreowały już kandydata. Kiedy u Lisa (TVP 2) wystąpiła (tydzień przed wyborami) szefowa Razem — była to klęska, ponieważ dziewczę nadawało się do publicznej dysputy niczym przysłowiowy wół do karety. Ale kiedy trzy dni przed wyborami w „debatie ośmiu” pojawił się współlider Razem, Adrian Zandberg, media gotowały mu nazajutrz gałę promocyjną, jakiej Polska dawno nie widziała: był to koncert „ochów” i „achów”. Jest stosunkowo młody, nigdy nie przyłapaną na wożeniu forsy z Kremla w plastikowej torbie, chce budować ludowi czerwony raj, więc może Fortuna (dziwka wielce złośliwa i przewrotna) zezwoli mu kiedyś stworzyć między Tatrąmi a Bałtykiem silny rodzimy odpowiednik greckiej Syrizy czy hiszpańskiej Podemos.

Czytelnikom trochę zdziwionym, że w felietonie o partyjnych wodzach i „wodzowskich” partiach całkowicie pominąłem Janusza Mikkego, który już ćwierć wieku gra cezara — przypominam, że przez ten czas wywalano go z każdej partii (ileż ich było!), jaką stworzył. ©©

Waldemar Łysiak

Konkretnie: jeden człowiek. Mowa o partiach politycznych zwanych „wodzowskimi”, które jak glob okrążyły najlepiej sobie radzą, bo te z kolegiąlnym kierownictwem/przywództwem szybko są rozsadzane od środka wskutek procesów gnilnych zwanych elegancko demokracją. Musi być jeden silny przywódca — jak Merkel w Niemczech, Orbán w Węgrzech, Erdoğan w Turcji — co oznacza swoisty (wewnątrzpartyjny) autorytaryzm, który czasami uenergetycznia też rządzenie państwem, i wówczas może być przezywany „demokratą”. O takich silnych przywódcach partyjnych funkcjonujących wewnątrz demokracji pisał już dawno temu Marian Hemar:

„Demokrata z natchnienia,
Z programu, z tradycji —
Dyktator mimo woli,
Na skutek pozycji.
Dyktator demokracji —
Jeszcze demokrata,
Już dyktator —
Czasami tak się właśnie splata”.

Człowiek ten ma swych faworytów („prawe ręce”), swój sztab (najbardziej zaufani), ścisły krąg zewnętrzny sztabu (bezpośrednia rezerwa kadrowa), wreszcie swoje komando operacyjne („fedawici”, mówiąc po asasyńsku). Wewnątrz tych kamaryl panuje obowiązkowa idolatria, czyli ubóstwienie wodza (jej przeciwieństwo, czyli drobne choćby zlekceważenie wodza, kończy się dla frajera tragicznie, czego przed wyborami parlamentarnymi zakosztował pan Mastalerek, przybożny pani Szydło — zaimportował kłopotom w pubie nie odbierając telefonu od „Prezesa”). Prócz ubóstwienia — pełna lojalność oraz korna usługowość. Tak jak to wersyfikował świetny poeta do by oświeceniowej, Stanisław Trembecki:

„Z tobą chcę się cieszyć, smucić,
Te ci pienia będę nucić,
I wszystko zrobić,
Bym twe serce zyskał”.

O ile przesadna idolatria np. historiograficzna lub reliktozna bywa niepożądana, bo skutkuje szyderstwami („Tu, pod tą gruszką, siusiał Kościuszko”), o tyle ta wewnątrzpartyjna (prowodzowska) nie musi bać się granic, aczkolwiek, gdy są one przekraczane, konkurencja polityczna wytyka fanom partyjnego idola lizusostwo przypominające znane logo firmy fonograficznej z kun-

Wodzowski syndrom

ny tym objawem wiernopoddanego lęku, przebaczył winowajcy i dochodzenie karne zamknął.

W potyczkach międzypartyjnych przeciwnicy wytykają sobie nie tylko prowadzowską unizoność, lecz nawet lojalność (obiegowe szyderstwo: „mierny, ale wierny”), co jest o tyle bzdurne, że bez niej (i bez pełnej dyspozycyjności tudzież dyscypliny) nie mogłaby sprawnie funkcjonować żadna bojowa grupa wykonawców: ani wojsko, ani ratownicy, ani strażacy, ani mafia czy choćby drugorzędny gang. Lojalność podwładnych stanowi nieodzowny fundament partyjnego tronu. Wszakże jego trwałość nie byłaby długa bez mechanizmu zwanego charyzmą. Pewni ludzie rodzą się do tego, by zostać poskromicielami, treserami, przewodnikami — liderami. Mark Twain: „Kiedy byłem jeszcze smarkaczem, widziałem, jak pewien odważny jegomość szydził z motłochu — zmyślał go i zmusił do cofnięcia się. Są tacy ludzie, którzy niczym Savonarola potrafią błyskiem swych oczu uśmierzć tłum, i nie ma takiego tłumy, który by nie skapitulował przed człowiekiem znanym ze swej odwagi” (1901). Być może nie ma charyzmy bez odwagi, ale ważniejsze niż odwaga jest chyba coś innego — „to coś”. Wspominając wizytę Marszałka Piłsudskiego w Bukareszcie następcę rumuńskiego tronu, księżę Mikołaj, wyznał, że jego ojciec, król Ferdynand, chciał przywitać Polaka (na



Mecenas filmu **PGE Polska Grupa Energetyczna**
z dumą zaprasza do kin.

Więcej informacji o sponsoringu kultury
na www.gkpge.pl/sponsoring-kultury
oraz na profilach GK PGE na Youtube i Facebooku

PGE - Zapewniamy energię artystom



**Polska Grupa
Energetyczna**